

Pamięć i pytania o tożsamość

Fundacja im. Stefana Batorego

Warszawa 2013



Projekt współfinansowany przez Departament Dyplomacji
Publicznej i Kulturalnej Ministerstwa Spraw Zagranicznych
w ramach konkursu *Współpraca w dziedzinie dyplomacji
publicznej 2013 roku*

oraz
z dotacji Open Society Foundations

*Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana
z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.*



FUNDACJA
IM. STEFANA
BATOREGO



Pamięć i pytania o tożsamość Polska. Ukraina

pod redakcją
Tomasza Horbowskiego i Piotra Kosiewskiego



Fundacja im. Stefana Batorego

ul. Sapieżyńska 10a

00-215 Warszawa

tel. |48 22| 536 02 00

fax |48 22| 536 02 20

batory@batory.org.pl

www.batory.org.pl

Opracowanie redakcyjne: Izabella **Sariusz-Skąpska**

Tłumaczenie tekstów i wypowiedzi z języka ukraińskiego: Bogdan Huk, Bazyli Nazaruk,
Natalia Rymska, Andrzej Zelwak

Korekta: Joanna **Liczner**

Projekt graficzny: Teresa **Oleszczuk**

Teksty

– udostępniane na licencji Creative Commons. Uznanie autorstwa

– na tych samych warunkach 3.0 Polska (CC BY 3.0 PL)

Zdjęcia: © Copyright by artysta i Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Skład elektroniczny:

TYRSA Sp. z o.o.

© Copyright by Fundacja im. Stefana Batorego

Warszawa 2013

ISBN 978-83-62338-32-0

Publikacja jest rozpowszechniana bezpłatnie

Warszawa 2013

Spis treści

Aleksander Smolar, Pamięć, historia, polityka	7
I. Polityka tożsamości i pamięci na Ukrainie	
Maksym Stricha, Polityka pamięci, która nie istniała	15
Dyskusja (Wołodymyr Baran, Kost' Bondarenko, Antin Borkowski, Wiaczesław Briuchowiecki, Ola Hnatiuk, Heorhij Kasjanow, Mykoła Kniażycki, Wołodymyr Kutyk, Myrośław Marynowycz, Wołodymyr Maslijczuk, Andrzej Mencwel, Oleh Miedwiediew, Andrzej Nowak, Andrij Portnow, Wasyl Rasewycz, Adam Daniel Rotfeld, Dariusz Stola, Władysław Werstiuk, Leonid Zaskilniak)	21
II. Polityka tożsamości i pamięci w Polsce	
Andrzej Friszke, Pamięć w centrum uwagi	65
Dyskusja (Antin Borkowski, Mirosław Czech, Dariusz Gawin, Ola Hnatiuk, Łukasz Kamiński, Wołodymyr Kutyk, Joanna Kurczewska, Jacek Kurczewski, Tomasz Łubieński, Michał Łuczewski, Myrośław Marynowycz, Andrzej Mencwel, Grzegorz Motyka, Andrzej Nowak, Andrzej Olechowski, Andrij Portnow, Wasyl Rasewycz, Aleksander Smolar, Dariusz Stola, Tomasz Stryjek, Robert Traba, Rafał Wnuk, Henryk Wujec, Paweł Zalewski, Marcin Zaremba, Leonid Zaskilniak)	71

III. Spory o pamięć na Ukrainie	
Heorhij Kasjanow, Między pragmatyką a idealizmem	121
Kost' Bondarenko, Gra w historię	125
Wołodomyr Kułyk, Kociot pamięci	127
Mykoła Kniażycki, Co się pamięta?	131
Wiaczesław Briuchowiecki, Pytanie, które stało się banałem	135
IV. Ukraina: pamięć a relacje z sąsiadami	
Mykoła Riabczuk, Granice kompromisu	143
Andrij Portnow, Ukraina, Rosja i inni sąsiedzi	147
Taras Wozniak, Historia czy historie?	151
Maksym Stricha, Triada Maksyma Rylskiego	155
V. Wołyń i pojednanie	
Dyskusja (Bogumiła Berdychowska, Jarosław Hrycak, Łukasz Kamiński, Myrostaw Marynowycz, Grzegorz Pac)	163
Piotr Kosiewski, Monument	183
Od redakcji	187
Noty biograficzne	189
Indeks nazwisk	197

Aleksander Smolar

Pamięć, historia, polityka

Proponujemy Państwu dyskusję na temat nietatwy: o tożsamości oraz pamięci w Polsce i na Ukrainie. Pamięć i tożsamość ściśle się ze sobą wiążą. W prestiżowym wykładzie imienia Thomasa Jeffersona, wygłoszonym w Stanach Zjednoczonych, Leszek Kołakowski wypowiedział sąd, po jego śmierci cytowany często w poświęconych mu na świecie artykułach i wspomnieniach: „Nie po to uczymy się historii, by wiedzieć, jak postępować czy jak odnosić sukcesy, ale by poznawać, kim jesteśmy”. Jest to radykalnie odmienne sformułowanie zadań historii niż sławna odpowiedź – *historia magistra vitae est* – idea historii jako nauczycielki życia na użytek moralistów i polityków. Idea, której początki sięgają antyku. Kołakowski widzi bezpośrednie związki wiedzy o przeszłości z naszą samoświadomością i tożsamością. W istocie nasza tożsamość i poczucie wspólnoty są budowane na wiedzy i wyobrażeniach dotyczących przeszłości. Kiedyś mówił o tym Ernest Renan w sławnym wykładzie *Czym jest naród?* (1882): „Wspólna pamięć tworzy poczucie współodpowiedzialności, uczucie solidarności. Solidarność wyrastająca z przeszłości jest też wyrazem woli życia razem”.

Granice wspólnej pamięci kształtują wspólną tożsamość, zakreślają granice odczuwanej wspólnoty politycznej. Tak dzieje się w przypadku narodów, szczególnie tych, które od niedawna mogą się cieszyć swoją państwowością. Ale tak jest także np. w przypadku takiej wspólnoty, jak Unia Europejska. Utrwalanie i pogłębianie Unii wymaga stałego wysiłku zbliżania naszych

wizji przeszłości. Utopią jest postulowanie budowania wspólnej pamięci, ale ich zbliżanie, poznawanie się wzajemne – również w tym, historycznym, wymiarze – wydaje się nie tylko możliwe, ale i konieczne.

To, co prawdziwe w przypadku państw członkowskich Unii, jest co najmniej równie prawdziwe, gdy chodzi o państwa, które swoją przyszłość chcą widzieć w jej obrębie. Nie chodzi tu tylko o zbliżanie wizji historii poprzez konfrontowanie własnych ze spojrzeniem innych, ale również – jeden z istotnych wskaźników kultury demokratycznej – o zdolność otwartego dyskusowania o trudnych problemach przeszłości u siebie.

Problemy przeszłości są zawsze obecne w stosunkach Polski i Ukrainy. Nie były one bowiem łatwe. Dzisiaj kwestie te nabraty, z różnych powodów, nawet bardziej intensywnego znaczenia, a 70. rocznica mordów wołyńskich sprawiła, że nagle w obu naszych krajach stały się żywo i ostro dyskutowane. Problem pamięci i tożsamości, zarówno polskiej, jak i ukraińskiej, okazał się sprawą bardzo aktualną.

Wagę naszym dyskusjom nadaje sytuacja w obu krajach. W przypadku Ukrainy mamy do czynienia z problemem tożsamości nowego państwa, państwa, które integrowało się z różnych części i obecnie w trudnych warunkach stara się stworzyć podstawy dla wspólnej pamięci i tożsamości. W naszym przypadku jest widoczna wola – ale towarzyszy też jej silny opór – redefinicji tożsamości demokratycznej Polski. Trwa dyskusja o tym, czym jest polskość, jakie powinny być stosunki między obywatelem a państwem, o relacjach między wspólnotą narodową i wspólnotą polityczną, dyskutowane są często bolesne doświadczenia ze współżycia z mniejszościami narodowymi w II RP, stawiany jest wreszcie problem relacji religii i Kościoła (chodzi oczywiście przede wszystkim o Kościół katolicki) z demokratyczną wspólnotą polityczną. To wszystko dotyczy różnych wymiarów tożsamości Polski, ale podobne pytania padają dziś w wielu innych krajach.

Tradycyjnie w stosunkach międzynarodowych potęgą państwa była funkcją jego potencjału militarnego, ekonomicznego i demograficznego.

Zależała ona od sprawnej organizacji państwa, jego zdolności zawierania sojuszy, geniuszu przywódców i dowódców. W dzisiejszej Europie, wraz z wyeliminowaniem konfliktów zbrojnych, wzrosło znaczenie tego, co Joseph Nye nazwał „miękką potęgą” (*soft power*). Na pozycję państw istotny wpływ ma ich zdolność wpływania na innych ze względu na posiadany autorytet, atrakcyjność własnych rozwiązań instytucjonalnych, możliwość budowania koalicji, bogactwo kultury i osiągnięć naukowych. Również historia – zarówno heroiczne dokonania, jak i wielkie cierpienia narodów – ma pewien wpływ na ową miękką potęgę. Wielkie znaczenie ma też odwaga, otwartość w konfrontowaniu trudnych rozdziałów własnej historii.



Mykoła Ridnyj, *Pomnik (Monument)* [kadr z filmu], 2012, zbiory Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Część I

Polityka tożsamości i pamięci na Ukrainie

Maksym Stricha

Polityka pamięci, która nie istniała

Dyskusja o ukraińskiej polityce pamięci ostatnich 20 lat może okazać się zadziwiająca. Dlaczego? Bowiem *de facto* taka polityka nigdy nie istniała. Zamiast o polityce, możemy raczej mówić o tendencjach, pewnych działaniach rządu, prezydenta czy społeczeństwa obywatelskiego, które nierzadko były ze sobą sprzeczne i na które dodatkowo nakładały się działania inspirowane spoza granic naszego kraju.

Podstawową przyczyną takiego stanu jest realizowana z sukcesem przez ponad 70 lat radziecka polityka pamięci. Przypominała ona kult religijny, gdzie demiurg wykorzystywał wszystkie możliwe środki – przede wszystkim oświatę, ale również propagandę, toponimikę, świętowanie różnych dat – w celu stworzenia człowieka radzieckiego, który miał być przekonany, że w historii były dwa ważne wydarzenia: Wielka Rewolucja Październikowa i zwycięstwo w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Oprócz tego zakładała ona, że zjednoczenie narodu ukraińskiego z wielkim narodem rosyjskim jest dziejowym kresem tego pierwszego narodu i jego punktem docelowym. Niejako „przy okazji” pojawiła się niechciana przez tę władzę narracja kozacka. Nie sposób było jej pominąć, bo mityczne zjednoczenie odbywało się w czasie, gdy kozactwo odgrywało ogromną rolę (jego pominięcie musiałoby oznaczać zanegowanie części ukraińskiej literatury klasycznej).

Podczas *pieriestrojki* nagle ujawniły się odstępstwa od oficjalnej linii. Był to świadkiem, gdy latem 1990 roku odbyło się wielkie spotkanie kozackie.

Na Zaporozie z własnej inicjatywy zjechały tysiące ludzi. To doskonale pokazuje, że owa kozacka narracja nie tylko istniała w czasach ZSRR, ale też odgrywała ważną rolę w ukraińskiej świadomości. Po części jest to także odpowiedź na pytanie, dlaczego wydarzenia na Ukrainie po upadku ZSRR rozegrały się inaczej niż na Białorusi. Tam bowiem nie było takich narracji niezgodnych z ogólnoradziecką.

Politycy, którzy w 1991 roku przejęli władzę na Ukrainie, nie chcieli do końca zerwać z projektem człowieka radzieckiego. Należy jednak zaznaczyć, że sfera humanistyki została oddana w ręce opozycyjnych pisarzy i dysydentów. Za prezydentury Leonida Krawczuka to oni właśnie otrzymali różne posady w sferze kultury i edukacji. Mimo to w polityce pamięci nie nastąpiło jakieś zerwanie czy radykalna zmiana. Proszę zobaczyć, jakie postacie znalazły się na ukraińskich banknotach, które – choć hrywna weszła do obiegu w 1996 roku – zaprojektowano kilka lat wcześniej, bo w roku 1992. W pierwszej serii znalazło się na nich siedem postaci – dwóch książąt: Włodzimierz Wielki i Jarosław Mądry, dwóch hetmanów: Bohdan Chmielnicki i Iwan Mazepa, dwóch pisarzy: Iwan Franko i Taras Szewczenko oraz jeden działacz, naukowiec i polityk Mychajło Hruszewski. Łesię Ukrainkę i Hryhorię Skoworodę wprowadzono do obiegu później wraz z emisją banknotów o nominałach 200 i 500 hrywien. Tylko dwóch z pierwszych siedmiu bohaterów nie znajdziemy w radzieckiej narracji. Pozostali byli obecni w czasach ZSRR i traktowano ich jako ważne postaci wchodzące w skład radzieckiego kanonu. Oczywiście poddawano je nieco innej interpretacji, ale zasadniczo ukraińskie państwo unikało ruchów rewolucyjnych.

W pierwszych latach niepodległości podjęto próby odgórnego oddziaływania na nazewnictwo, ale nie można mówić o jakimś przetomieniu. W centralnej i zachodniej Ukrainie, tam, gdzie to było możliwe, dokonano zmian w nazewnictwie, a na wschodzie i południu niczego nie zrobiono. Tym sposobem do dziś w dziewięciu obwodach południowej i wschodniej Ukrainy funkcjonuje nazewnictwo z czasów radzieckich, a obwód kijowski tradycyjnie pozostaje terenem neutralnym. Zainicjowano także akcję likwidacji radzieckich pomników, z podobnym skutkiem. Ostatecznie te

działania zostały wstrzymane wraz z dojściem do władzy Leonida Kuczmy, choć, jak na ironię, pierwszą dużą uroczystością w sferze pamięci, w której wziął udział nowy prezydent, były – zaplanowane jeszcze przez poprzednią ekipę – obchody 400-lecia urodzin Bohdana Chmielnickiego.

Jednak istnieje sfera, w której udało nam się odnieść pewne sukcesy: edukacja. Z nielicznymi wyjątkami wszyscy ministrowie do 2010 roku (kiedy to doszło do tragicznej zmiany) realizowali spójną politykę w sferze nauk humanistycznych, zwłaszcza historii i literatury. Udało się stworzyć nowy kanon literatury, wydano kilka dobrych podręczników. Jakkolwiek nie były to działania radykalne, to zmierzały w jakimś wspólnie wytyczonym kierunku. Udało się tym samym pokonać stary schemat, zgodnie z którym nasza historia ciążyła do historii ogólnorosyjskiej i w efekcie stawiała się jej mało znaczącym epizodem. Dzięki wprowadzonym zmianom nauki historyczne rozwijały się według nieco zmodyfikowanego schematu, który zaproponował na początku XX wieku Mychajło Hruszewski.

Pewne zmiany nastąpiły wraz z dojściem do władzy w 2005 roku Wiktora Juszczenki, którego polityka była próbą powielenia części polskich doświadczeń. Stworzono ukraiński Instytut Pamięci Narodowej, ale już nikt nie dopilnował tego, by miał on uprawnienia, w jakie wyposażono polski IPN. Zaczęto upamiętniać wydarzenia narodowej martyrologii, w tym w szczególności Wielki Głód, ale także bitwę pod Krutami (1918) czy tragedię miasta Baturyn podczas trzeciej wojny północnej. Juszczenko podjął jeszcze jedną niezwykle drażliwą kwestię: nadania statusu bohaterów osobom, które brały udział w tworzeniu OUN i UPA. Ten temat zawsze był drażliwy dla ukraińskiego państwa. Z jednej strony, od dawna cieszyli się oni statusem szanowanych bojowników o sprawę narodową na Ukrainie Zachodniej, z drugiej strony – na wschodzie funkcjonowały dawne radzieckie stereotypy banderowców-faszystów.

Działania Wiktora Juszczenki być może zakończyłyby się sukcesem, gdyby nie pojawili się inni potężni gracze, którzy nie dopuścili do pojednania ukraińskich weteranów obu frontów drugiej wojny światowej. Tym sposobem działania prezydenta zakończyły się porażką. Przy czym

należy zaznaczyć, że ani Juszczenko, ani jego poprzednicy nie odważyli się wprowadzić do ukraińskiego panteonu tych, którzy w sposób naturalny mogli się w nim znaleźć. Mam na myśli chociażby twórców sowieckiego programu kosmicznego, który *de facto* stworzyli Ukraińcy. W tej kwestii nie zaproponowano nic ciekawego. Ostatecznie także Juszczenko nie okazał się rewolucjonistą. Nie miał np. dość odwagi, by zlikwidować dawne święto Armii Radzieckiej obchodzone 23 lutego, które w 1999 roku Leonid Kuczma przywrócił jako Dzień Obrońcy Ojczyzny.

Po dojściu do władzy ekipy Wiktora Janukowycza nie było momentu inauguracji nowej polityki pamięci. Obserwujemy raczej w różnych sferach działania będące wypadkową siły inercji. Dotyczy to zwłaszcza kultury. Natomiast tam, gdzie władza znalazła się w rękach osób – myślę tu przede wszystkim o edukacji – które patrzą na to, co nazywamy *ruskij mir*, pojawiły się przemyślane próby zrewidowania kursu obranego w poprzednich latach. Owa nowa polityka jest skutecznie realizowana i ujawnia się m.in. wprowadzaniem do szkół nowych podręczników do nauki historii, gdzie nie ma żadnych pozytywnych wzmianek o ludziach, którzy walczyli o ukraińską niepodległość. Nie chodzi tylko o UPA, ale nawet o przedstawicieli ukraińskiego ruchu dysydenckiego lat 60. ubiegłego stulecia, o których *de facto* w podręcznikach się nie wspomina.

Mamy zatem do czynienia z ciekawym i wewnętrznie sprzecznym obrazem. Na Ukrainie wciąż funkcjonują relikty polityki prowadzonej przez Juszczenkę. Upamiętnienie ofiar Wielkiego Głodu do dziś pozostaje ważnym elementem państwowego rytuału, w którym uczestniczą przedstawiciele innych krajów. Choć o samym Wielkim Głodzie oficjalnie nie mówi się już, że był ludobójstwem, to wciąż pozostaje wielką narodową tragedią. Odbywają się państwowe uroczystości pod pomnikiem bohaterów i ofiar bitwy pod Krutami. Ale najważniejszym wydarzeniem w ramach polityki pamięci jest świętowanie zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, co zostało niejako odnowione przez Janukowycza. Różnica między ukraińską a polską sytuacją polega na tym, że Polacy w drugiej wojnie światowej walczyli o Polskę i wolność. A o co walczyli Ukraińcy? – trudno dociec. Odpowiedź nie pada

z ust tych, którzy organizują te uroczystości. One zaś odbywają się wśród barw Wstęgi św. Jerzego, która stała się symbolem rosyjskiej potęgi militarnej i nie ma zbyt wiele wspólnego z Wielką Wojną Ojczyźnianą, poza tym, że wykorzystywali ją Kozacy dońscy służący w formacjach... Wehrmachtu.

Jednocześnie na Ukrainie odbywa się szereg nieskoordynowanych przedsięwzięć na poziomie lokalnym. Na przykład w Połtawie zorganizowano z wielką pompą uroczystości na cześć Iwana Paskiewicza, nazywanego u nas erewańskim, choć w Polsce został on zapamiętany jako warszawski. Te uroczystości zorganizował miejscowy wicegubernator, który zalicza się do grona wyznawców *russskogo mira*, wbrew protestom kijowskich naukowców i przedstawicieli lokalnej społeczności. Nie udało się zablokowanie tych uroczystości, ponieważ na najwyższych szczeblach władzy nie ma nikogo, kto mógłby wydać w tej sprawie jakieś dyspozycje władzom w regionach.

W efekcie przez te lata doszliśmy na Ukrainie do wewnętrznie sprzecznej sytuacji. Nasza polityka pamięci była i pozostaje fragmentaryczna. Nie doszło w niej do żadnych przelomów czy przesunięć. Tylko niebiesko-żółta flaga, którą jeszcze 25 lat temu straszono dzieci, dziś stała się niekwestionowanym symbolem narodowym.

Na koniec wróć do dwóch bohaterów, którzy znaleźli się na ukraińskich banknotach. Mychajło Hruszewski został wpisany do narodowego panteonu i cieszy się szacunkiem na terenie całej Ukrainy. Natomiast Iwan Mazepa jest trudny do zaakceptowania dla Rosjan i Kościoła prawosławnego, a zatem stosunek do niego jest różny w różnych regionach Ukrainy. Jego osoba skupia w sobie wiele problemów, które Ukraińcy mają ze swoją tożsamością, modelem rozwoju państwa i odpowiedzią na pytanie: jakim państwem chce być Ukraina?

Dyskusja

Oleh Miedwiediew:

Mam nadzieję, że kilka przykładów, które przytoczę, pomoże zrozumieć, w jaki sposób realizowana jest na Ukrainie polityka pamięci i jak podejmowane są decyzje, które pamięci dotyczą.

W 1994 roku miałem okazję uczestniczyć w debatach przedwyborczych Leonida Krawczuka i Leonida Kuczmy. Krawczuk podczas swojej prezydentury prowadził politykę zakładającą rehabilitację przynajmniej niektórych przemilczanych bohaterów ukraińskiej historii. Jego oponent, Kuczma, sięgał wówczas po dość radykalne i jawnie prorosyjskie hasła. Przypominam sobie, że podczas jednej z takich debat Kuczma zaproponował, aby do niebiesko-żółtej ukraińskiej flagi dodać czerwony pasek. Wówczas jeden z obecnych na sali dziennikarzy wstał i z jawną kpinią zaproponował, by do ukraińskiego godła – tryzubą – dodać czerwoną gwiazdę... Ta smutna anegdota doskonale pokazuje sposób, w jaki przez lata kształtowała się ukraińska pamięć. Psychiatrzy takie zjawisko nazywają schizofrenią. Socjologowie – ambiwalencją ukraińskiej opinii publicznej. Tym terminem często posługuje się m.in. Mykoła Riabczuk. A ci, którzy zajmują się naukami politycznymi i badają procesy kształtowania narodu, nazwałiby to zjawisko swoistym kotłem, w którym wytapiana jest nowa ukraińska tożsamość.

W kształtowaniu się ukraińskiej polityki pamięci i tożsamości przeszkadza fakt, że historia ma bardzo mocny wpływ na to, co dziś dzieje się na

Ukrainie. Ocena historycznych wydarzeń i postaci jest elementem polityki umiejętnie wykorzystywanym przez politycznych „technologów”. Chodzi głównie o dwie partie: Partię Regionów oraz siły opozycyjne. I jeśli ktoś jest krytykiem – do których i ja się zaliczam – polityki pamięci Wiktora Janukowycza, to nie może zapominać o tym, że nawet gdyby sam prezydent darzył sympatią chociażby Banderę czy innych niewygodnych bohaterów OUN i UPA, to nie może sobie pozwolić na swobodę działania w tej kwestii, bo jest zakładnikiem poglądów wyborców.

Przypomnę też, jak to się stało, że na Ukrainie pod hasłem Dnia Obojczy Ojczyzny świętujemy dawny Dzień Armii Radzieckiej. Anegdoticznie: święto to zlikwidował Leonid Krawczuk, a przywrócił Leonid Kuczma. Ktoś z zewnątrz mógłby dopatrzeć się w tych działaniach głębokich motywacji politycznych. A jak to wyglądało? Tego dnia prezydent Kuczma, jak przystało na człowieka wychowanego w czasach ZSRR, wypił ze swoimi współpracownikami. I nagle ktoś z jego otoczenia zwrócił mu uwagę, że obchodzą uroczystość, której na Ukrainie nie ma. Jak to nie ma? – miał zapytać Kuczma. I przywołał współpracowników, wydając im polecenie, by naprędce przygotowali ukaz o 23 lutego.

Kolejny przykład dotyczy pojawienia się w Kijowie ulicy Symona Petlury. Trwały przygotowania do obchodów 130-lecia jego urodzin. Merem Kijowa był wtedy Leonid Czernowecki, a sekretarzem Rady Miasta Oleś Dowhi. Obaj tworzyli tak zwaną *zemelnu mafiju*, która zajmowała się nielegalnym przyznawaniem działek w Kijowie. Na jednym z takich spotkań zwrócono prezydentowi Juszczence uwagę, że w Kijowie Petlura nie ma swojej ulicy. A ponieważ spór na linii Juszczenko–Tymoszenko trwał w najlepsze i mer Kijowa popierał wszystkie prezydenckie działania, również w sferze polityki pamięci, dlatego w ciągu niespełna dwóch tygodni przeprowadzono głosowanie w Radzie Kijowa i podjęto decyzję o zmianie nazwy ulicy Kominternu na ulicę Petlury.

Inny przykład, również z Kijowa, pokazujący odwrotną tendencję, dotyczy zmiany nazwy ulicy Iwana Mazepy na ulicę Ławrską. Historia związana jest z patriarchą moskiewskim i cętej Rusi Cyrylem, który w przededniu

jubileuszu chrztu Rusi zwrócił się do prezydenta Janukowycza z prośbą o zmianę nazwy ulicy, która wiedzie do Ławry Peczerskiej. Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Moskiewskiego, którego zwierzchnik mieszka na terenie Ławry, nie był zadowolony z tego, że Ławra znajduje się przy ulicy imienia hetmana, którego rosyjska historiografia przedstawia jako zdrajcę Rusi i prawosławia. I tak w Kijowie pojawiła się ulica Ławrska. Trzeba jednak przyznać, że Janukowycz starał się wybrnąć z tej sytuacji i nie zdecydował się na prostą zmianę nazwy ulicy na całej jej długości. Dawną ulicę Maze-py podzielono na dwie części – krótsza nosi wcześniejsze imię, a dłuższa nazywa się dziś Ławrska.

Jeśli mamy krótko scharakteryzować politykę pamięci realizowaną obecnie przez prezydenta Janukowycza, to – jak słusznie zauważył Maksym Stricha – stanowi ona swoisty *mix* radzieckich, rosyjskich i ukraińskich bohaterów i wartości. Obecna władza wciąż stara się czcić bohaterów z ukraińskiego panteonu. Muszę przyznać, że nie mogę powstrzymać zdziwienia za każdym razem, gdy widzę premiera Mykołę Azarowa składającego kwiaty pod pomnikiem Bohaterów Bitwy pod Krutami. Przypomnijmy, że są to bohaterowie, którzy w 1918 roku ginęli, przeciwstawiając się Moskwie, z rąk rodaków Azarowa. Podobnie rzecz się ma z Dniem Pamięci Ofiar Represji Politycznych w Bykowni i Wielkim Głodem. Natomiast najważniejszym świętem na Ukrainie jest dziś bez wątpienia Dzień Zwycięstwa w tak zwanej Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, a świętem numer dwa – Dzień Niepodległości.

Doskonałą ilustracją tego, w jaki sposób pamięć i historia wiążą się z bieżącą polityką, są nieustanne kłótnie w ukraińskim parlamencie. Niedawno Swoboda złożyła wniosek o zakaz używania terminu „Wielka Wojna Ojczyźniana”, co zainicjowało nowy konflikt w Radzie Najwyższej. Niemalże w każdym tygodniu w ukraińskim parlamencie trwają dyskusje dotyczące świętowania różnych historycznych wydarzeń. Stanowi to doskonałe pole konfliktu między władzą a opozycją. Jedni chcą świętować daty radzieckie, inni ukraińskie. Na to nakładają się również podziały wewnątrzpartyjne. W Partii Regionów znajdziemy grupę radykalnych zwolenników rosyjskiej pamięci, do której zalicza się m.in. Mykoła Azarow, regularnie składający

kwiaty przed pomnikiem Piotra Stołypina. A wspomniane przez Maksyma Strichę upamiętnienie Iwana Paskiewicza to zasługa innego przedstawiciela tego środowiska – ministra edukacji Dmytra Tabacznyka.

Jakie zatem mamy perspektywy na przyszłość? Moim zdaniem jeszcze za wcześnie, aby to oceniać. Wszystko zależy od tego, w czyich rękach znajdzie się władza na Ukrainie. Nie mam wątpliwości, że powinniśmy się skupić na dwóch kwestiach. Po pierwsze, musimy starać się stworzyć coś integralnego. Myślę, że dobrym wzorem mogą być chrześcijańscy misjonarze, którzy przechodząc na te tereny, starali się włączać w nowy rytuał zastane pogańskie święta i nadać im nowe znaczenie. Po drugie, trzeba więcej mówić o tych historycznych postaciach, które nie wzbudzają aż takich negatywnych emocji, a są w pewnym sensie ambiwalentne i mogą stać się nosicielami zarówno radzieckich, jak i ukraińskich wartości. Mam tu na myśli: Tarasa Szewczenkę, Łesię Ukrainkę, Mychajła Hruszewskiego czy Iwana Frankę. Oni – w odróżnieniu od Stepana Bandery czy Symona Petlury – nie wzbudzają negatywnej reakcji w postradzieckiej czy prorosyjskiej części Ukrainy.

Jestem przekonany, że żadna z obecnych partii ukraińskich nie jest w stanie wypracować ogólnoukraińskiego programu polityki pamięci. I jeśli w ogóle uda nam się wypracować wspólny dyskurs narodowy, to tylko pod warunkiem uwzględnienia regionalnych perspektyw i przy założeniu, że każdy region będzie miał możliwość formułowania swojej, regionalnej polityki pamięci jako elementu ogólnopaństwowej polityki pamięci.

Wołodymyr Kułyk:

Chciałbym zaproponować nieco inne podejście do tematu. Zamiast podejmować próbę diagnozowania chorób ukraińskiej polityki pamięci, często w naszych dyskusjach skupiamy się na poszukiwaniach recepty na „chorowanie po naszymu”, czyli *de facto* odpowiedzi na pytanie, co zrobić, by ta choroba trwała.

Teza o tym, że ukraińska polityka pamięci stanowi *mix* różnorodnych elementów, jest o tyle prawdziwa, co banalna. Powiedzenie tego to pierwszy krok, po którym powinien nastąpić szereg kolejnych. A my najczęściej na

tym pierwszym poprzestajemy. A przecież drugim powinno być stwierdzenie, że musimy zgodzić się na tożsamościowy *mix*, bo po prostu mamy taką historię. Krym i Galicja nie będą miały wspólnej polityki pamięci.

Inną kwestią są działania polityków, zarówno na poziomie regionalnym, jak i centralnym, którzy w różny sposób wykorzystują te rozbieżności i radzą sobie z nimi. W latach 90. ubiegłego wieku podejmowano próby, które Oleh Miedwediew nazwał działaniami „integralnymi”. Unikałbym w tym kontekście słowa „integralny”, bo w moim przekonaniu integralny może być na Ukrainie tylko nacjonalizm, zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Nie ma czegoś takiego, jak „integralne pojednanie” czy „integralny kompromis”. Niemniej jednak podjęto próbę prowadzenia polityki, która polegała na nieakcentowaniu różnic. Dotyczy to zwłaszcza prezydentury Leonida Kuczmy, co w swoich pracach dobrze opisał Andrij Portnow¹. Panowała wówczas zgoda co do tego, by każdy świętował swoje święta i czcił swoich bohaterów. A na poziomie ogólnopaństwowym starano się dążyć do porozumienia, które byłoby akceptowalne dla wszystkich. Inna rzecz, że niekiedy te działania były dość absurdalne. Zdarzało się, że media na wschodzie kraju nie informowały o tym, co Leonid Kuczma mówił na Ukrainie Zachodniej. Nie można też zapominać o niedemokratycznych działaniach, które podejmowano podczas tworzenia tego kompromisu. Niemniej jednak panowała zgoda, że nie należy akcentować tych elementów ukraińskiej historii, które wzbudzają największe emocje u jednej bądź drugiej strony.

To wszystko zniszczyła pomarańczowa rewolucja, a dokładnie „pomarańczowa” mobilizacja i „antypomarańczowa” kontrmobilizacja. Mówiono o bandytach, którzy zrobią z Ukrainy Rosję, albo o banderowcach, którzy nienawidzą Rosji, rosyjskiego języka i chcą wymazać wszystkie elementy rosyjskiej oraz sowieckiej przeszłości i historii. Od tamtego czasu ta retoryka

¹ Por. Andrij Portnow, *Memory Wars in Post-Soviet Ukraine (1991–2010)*, w: *Memory and Theory in Eastern Europe*, ed. by Uilleam Blacker, Alexander Etkind, and Julie Fedor, New York 2013, s. 233–254, oraz Andrij Portnow, *Uprażnienija s istoriej po-ukraïnski*, Moskwa 2010.

zdominowała ukraiński dyskurs publiczny, okazując się niezwykle skutecznym narzędziem budowania społecznego poparcia.

Ukraińscy politycy okazali się skrajnie nieodpowiedzialni. Nie liczą się zupełnie z polityką pamięci i jej skutkami. Myślą jedynie o tym, co zrobić, aby wygrać kolejne wybory. Dotyczy to nie tylko postrzegania ukraińskiej historii czy kształtowania panteonu bohaterów, ale również kwestii języka oraz polityki zagranicznej.

Trudno powiedzieć, by w ciągu ostatnich 10 lat prowadzono politykę pamięci świadomie i systematycznie. W pewnym sensie taka polityka istniała do roku 2003. Jednak z czasem jej zdobycze zostały zaprzepaszczone, a sami Ukraińcy oddalili się od siebie. Badania socjologiczne pokazują, że mieszkańcy wschodu i zachodu coraz bardziej się różnią. Przy czym jest oczywiste, że nie ma szansy na to, by upamiętnienie OUN i UPA w jakikolwiek sposób mogło stać się elementem ogólnonarodowej narracji. I nie ma żadnych wątpliwości, że te elementy ukraińskiej historii muszą zostać wchłonięte przez narracje regionalne. Ogólnonarodowa mądrość powinna polegać na tym, że ten drugi ma obowiązek szanować moich bohaterów, ale również i ja zobowiązuję się do szanowania jego bohaterów. Oczywiście z pewnymi wyjątkami, które powinny zostać jasno określone, według czytelnych kryteriów moralnych, i uznane za niemożliwe do pogodzenia z powszechnie przyjętym systemem wartości.

Ostatnia rzecz, na którą pragnę zwrócić uwagę, to kwestia radzieckiej i postradzieckiej polityki pamięci oraz przeciwstawianie polityki fragmentarycznej polityce całościowej. Mówienie o tym, że polityka pamięci nie istnieje, bo nie stanowi całościowej koncepcji, jest niepoprawne. Przecież fragmentaryczna polityka też jest polityką, co najwyżej polityką formułowaną nie wprost. Możemy zastanawiać się jedynie, czy jest to świadome, czy też nie. Podobnie chybione zdaje się mówienie o tym, że radziecka polityka pamięci była polityką całościową. Ona również się zmieniała i była niekonsekwentna, a w poszczególnych okresach miała różny charakter w różnych dziedzinach i w różnych republikach. Maksym Stricha sam sobie zaprzeczył, podając przykład narracji kozackiej.

Żyjemy w złudzeniu, że polityka pamięci w czasach ZSRR była konsekwentna i prezentowała określoną linię. Wystarczy zapytać o to rosyjskich nacjonalistów. Oni opowiedzą, jak w czasach ZSRR wzmocniono pozycję banderowców. Myślę, że zamiast walczyć o to, by dzisiejsza ukraińska polityka pamięci wzorowała się na, błędnie nazywanej całościową, polityce z czasów ZSRR, powinniśmy przypomnieć sobie, co się z tą radziecką polityką stało – chyba nie życzymy sobie takiego losu.

Jestem przekonany, że każda polityka jest odbiciem interesów jakichś elit, czy to politycznych, czy regionalnych, zawodowych, bądź pewnych aktorów zewnętrznych. Tak było w czasach radzieckich i tak jest obecnie. A my, na Ukrainie, powinniśmy powiedzieć jasno, że różnice między nami bardzo się pogłębiły i jest wręcz nieprawdopodobne, abyśmy mogli stworzyć wspólny, integralny model. Dlatego do tych różnych narracji trzeba odnosić się ze spokojem, a skoncentrować się na tym, by zapobiegać negatywnym tendencjom, które prowadzą do pogłębiania się różnic.

Adam Daniel Rotfeld:

W relacjach polsko-ukraińskich zyskuje na znaczeniu podejście pragmatyczne. Dzieje się tak nie tylko ze względów koniunkturalnych, ale również dlatego, że istnieje szereg problemów, które odłożono „na później” bądź pomijano, by nie stwarzać sobie dodatkowych trudności w polsko-ukraińskich relacjach.

Trafia mi do przekonania takie sformułowanie tematu, które dotyczy pamięci historycznej, a nie polityki historycznej. Z reguły polityka historyczna kojarzy się z instrumentalnym traktowaniem historii. Natomiast pamięć historyczna jest po prostu odwoływaniem się do pamięci jako jednego ze źródeł prawdy historycznej.

Z różnych powodów pamięć historyczna – zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie – odgrywa znacznie większą rolę niż w wielu innych europejskich państwach. Wynika to przede wszystkim z konieczności budowania nowej tożsamości. Kraj, który odzyskał suwerenność, musi na nowo kształtować swoją tożsamość. Ten problem, z różnych powodów, stoi dziś w większym

stopniu przed Ukrainą niż przed Polską. Ale warto pamiętać, że problem tożsamości odgrywa fundamentalną rolę w kształtowaniu się społeczeństwa jako takiego. Mam tu na myśli strategiczny wybór kierunku rozwoju określonego społeczeństwa oraz odpowiedź na pytanie, czy będzie to społeczeństwo demokratyczne, czy autorytarne, albo – używając innych pojęć – patriarchalne lub paternalistyczne.

Wypowiedzi, które słyszeliśmy na tej sali, są dobrą ilustracją tego, że zróżnicowanie na Ukrainie jest o wiele głębsze niż w Polsce. Wynika to po części z historii, ale również z tego, że dzisiejsze społeczeństwo ukraińskie jest w sposób naturalny znacznie bardziej podzielone, niż ma to miejsce w Polsce. Co prawda, u nas również występują pewne podziały – np. między Polakami ze Śląska a Polakami z Pomorza, między Kaszubami a ich sąsiadami – ale mają one zupełnie inny charakter. To trochę tak, jakby na Ukrainie powstał problem między Hucułami, Łemkami, Bojkami a całą resztą ukraińskiego społeczeństwa. Na ile się orientuję, takiego zjawiska na Ukrainie nie ma. Natomiast linie ukraińskiego podziału wytyczają historyczne granice dawnych wielkich mocarstw, których poddanymi była ukraińska ludność. Ta część Ukrainy, która należała do Austro-Węgier, ma inną świadomość historyczną i inne korzenie niż ta, która znajdowała się pod panowaniem rosyjskiego imperium. Dodatkowo – niezależnie od podziałów natury polityczno-imperialnej – istnieją jeszcze inne czynniki, które wpływają na zróżnicowane podejście Ukraińców do procesu poszukiwania własnej tożsamości. Jednym z nich są głęboko zakorzenione kompleksy. I tu zarówno Polacy, jak i Ukraińcy okazują się do siebie bardzo podobni. Są to najczęściej kompleksy niższości znajdujące swój wyraz w kultywowaniu różnych bezzasadnych mitów, wokół których mobilizuje się współczesną opinię publiczną. Charakterystycznym czynnikiem jest też ignorancja – im mniej ludzie wiedzą, tym chętniej wierzą w rozmaite legendy.

W tym miejscu przywołam pewną anegdotę. Moje pierwsze kontakty z nową ukraińską władzą miały miejsce w 1992 roku, kiedy zajmowałem się regulowaniem konfliktowej sytuacji w Naddniestrzu. Uznałem, że moim obowiązkiem jest złożenie wizyt przywódcom wszystkich państw,

które graniczą z Mołdawią lub mają tam swoje wojsko. Wybrałem się zatem do Bukaresztu, Kijowa i do Moskwy, której XIV armia stacjonowała w Naddniestrzu. W Kijowie spotkałem się z przedstawicielami najwyższych władz państwowych: z prezydentem, premierem oraz ministrami spraw zagranicznych i obrony. We wszystkich ukraińskich gabinetach widziałem reprodukcje obrazu rosyjskiego malarza Ilji Riepina *Kozacy piszą list do sułtana*. W pewnym momencie zapytałem prezydenta Krawczuka, czym można uzasadnić fakt, że to właśnie ten obraz tutaj wisi. Prezydent zaczął tłumaczyć mi historię, którą ilustrował Riepin. Na co odpowiedziałem: „Powieм szczerze, że jest to obraz, który powinien wywoływać u Ukraińców raczej uczucie zażenowania. Dlaczego jesteście z tego dumni? Przecież to ilustracja kompletnego bezhołowania, braku kultury i apoteoza najgorszych cech tłuszczy – pijaństwa, rozpasania, braku godności. I chcecie pokazywać to jako symbol Ukrainy?”. Nie wiem, czy te obrazy wciąż jeszcze wiszą w gabinetach najwyższych ukraińskich władz. Był to – w moim przekonaniu – przykład ignorancji albo braku refleksji, która dotyka również przedstawicieli ukraińskich elit.

Wreszcie elementem, który wpływa na całą sytuację, jest koniunkturalizm. Usłyszeliśmy przed chwilą, w jaki sposób nadawane są nazwy ukraińskich ulic, w jaki sposób takie czy inne święto zyskuje, a potem traci na znaczeniu. Jednak złudzeniem jest twierdzenie, że można to w jakikolwiek sposób uporządkować.

Zgadzam się z Wołodymyrem Kułykiem, że istnieje mit, jakoby w Rosji – a wcześniej w Związku Radzieckim – wszystko było uporządkowane, a historia była zatwierdzana na najwyższym szczeblu. To nieprawda. Niejednokrotnie następowały tam radykalne zwroty z dnia na dzień. Nie było żadnej kontynuacji. Nie wszędzie było – rzecz jasna – jednakowo. W ZSRR zabiegano o to – zresztą podobnie jest obecnie w Rosji – by powstał jeden podręcznik historii. Oczywiście w wielonarodowej federacji nie jest to możliwe. Nie będzie tam jednego podręcznika historii, ponieważ Rosja jest różna – składa się z wielu regionów i narodów. I podobnie Ukraina jest bardzo różna. Polska też jest różna. Innymi słowy, niezależnie od tego,

kto i jaką podejmie decyzję, nie będzie jednego podręcznika historii i to jest rzecz normalna.

Specyfika Ukrainy, w odróżnieniu od Polski, wiąże się z tym, że w różnych regionach Ukrainy inaczej postrzegana jest przeszłość. W tym względzie Ukraina Zachodnia różni się nie tylko od Ukrainy Wschodniej, ale także od Ukrainy Zakarpackiej. Ma to istotny wpływ na stosunki ze światem zewnętrznym. Pamięć historyczna w stosunku do sąsiadów wywołuje negatywne skutki, które nie tyle mają charakter sporów historycznych – bo akurat to jest czymś zupełnie normalnym – ile dotyczą przede wszystkim teraźniejszości i przyszłości. Trzeba jasno powiedzieć: byliśmy w Polsce wyczerpani na potrzeby procesu budowania nowej ukraińskiej tożsamości. W związku z tym przez bardzo długi czas niektórych problemów nie podnoszono. Na Ukrainie wielu ludzi – zwłaszcza ze świata polityki – uważa, że lepiej tych spraw w ogóle nie poruszać. W ich przekonaniu są to szafy, w których ukrywa się szkielety. Jeżeli będziemy je otwierać, to te szkielety wypadną i żadnego pożytku z tego działania nie będzie. Myślę inaczej.

Uważam, że ujawnianie prawdy nigdy nie jest szkodliwe. Może być niewygodne, ale jest konieczne. Prawdę trzeba powiedzieć. Wówczas ten niewygodny rozdział zostaje zamknięty i staje się kartą historii. Dopóki prawda jest przemilczana lub ukrywana, dopóty będzie ona uwierać i przeszkadzać. I – jak to widzimy – przeszkadza. Mówię to również w kontekście rocznicy wydarzeń na Wołyniu w 1943 roku, która towarzyszy naszemu spotkaniu. Problem „otwierania szaf” dotyczy zresztą nie tylko stosunków między Polską a Ukrainą, ale także polskich stosunków z Niemcami, Rosją i Litwą.

Na szczęście pamięć historyczna w Polsce – czasem świadomie, czasem intuicyjnie – przestaje być domeną polityków. Jakkolwiek tak się złożyło, że w Polsce u władzy są historycy. W USA u władzy są głównie prawnicy, w Niemczech ekonomiści. W Polsce scenę polityczną zdominowali przedstawiciele badania dziejów minionych – prezydent, premier, członkowie gabinetu, minister spraw zagranicznych mają wykształcenie historyczne. Oczywiście myślenie historyczne ma wpływ na politykę, jednak uważam,

że polityk z natury rzeczy powinien rozwiązywać problemy współczesności, powinien być zwrócony w przyszłość i ją kształtować.

Trudność polega na tym, że historia wpływa nie tylko na percepcję świata zewnętrznego, ale także na autopercepcję. Problemem dzisiejszej Ukrainy i jej elit jest, według mnie, błędna autopercepcja, którą mogliśmy nazwać dysonansem poznawczym. Tamtejsze elity są przekonane, że Ukraina jest mocarstwem – może nie światowym, ale na pewno regionalnym. Sądzą, że o względy tego mocarstwa wszyscy zabiegają: „więc my będziemy prowadzić taką politykę, aby rozgrywać tych, co o nas zabiegają”. Jest to współczesna wersja polityki państw niezaangażowanych z okresu podziału świata na Wschód i Zachód. Warto zatem powiedzieć wyraźnie – mówię to jako osoba bezstronna i „niezaangażowana”: tak nie jest. O względy Ukrainy nikt specjalnie nie zabiega. Co więcej – sytuacja na Ukrainie coraz częściej wywołuje wśród państw Unii poczucie zmęczenia i zniechęcenia. Ci, którzy przez lata wspierali procesy na rzecz demokratycznych zmian, odnoszą wrażenie, że na Ukrainie nastąpiła negatywna selekcja elit. W efekcie elity są coraz słabsze pod względem politycznym i profesjonalnym. Jest to zresztą zjawisko szersze – globalne. Słowem – wbrew temu, co się na Ukrainie sądzi, toczy się gra „wokół Ukrainy”, ale nie ma „gry o Ukrainę”. Jest to gra o strefy wpływów. Takie myślenie wpisuje się w logikę sprzed drugiej, a nawet sprzed pierwszej wojny światowej. Ale nie ma ona wiele wspólnego z tym, co wydarzyło się w świecie po 1945 roku. Dzisiaj o polityce i o miejscu państwa wśród innych narodów decyduje rozwój wewnętrzny, a nie relacje międzynarodowe. Polityka zagraniczna w tradycyjnym rozumieniu traci na znaczeniu na rzecz czynników wewnętrznych.

Pamięć historyczna będzie miała wpływ na to, czy Ukraina zajmie miejsce, które jej się należy, czy też będzie marginalizowana. Ale o pozycji Ukrainy zdecydują jej potencjał i dynamika rozwoju. Z tego punktu widzenia nasza rozmowa nie jest sporem o historię. Spór ten dotyczy kierunku, w jakim będzie rozwijać się Ukraina, i pozycji, jaką będzie miała w Europie i w naszym regionie.

Andrij Portnow:

Mam dwie uwagi.

Pierwsza: w dyskusjach polsko-ukraińskich, polsko-rosyjskich, ukraińsko-rosyjskich czy polsko-niemieckich cały czas brakuje istotnej rzeczy, którą metaforycznie nazywam „sztuką wrażliwości”. Codziennie słyszymy o tym, że żyjemy w zglobalizowanym, postnarodowym świecie, a w związku z tym trzeba być wrażliwym na drugiego. W naszym przypadku będzie to sztuka wrażliwości elit, dziennikarzy, polityków, intelektualistów, którzy piszą i mówią w Polsce o Ukrainie i na Ukrainie o Polsce. Kilka dni temu w jednym z polskich tygodników znalazłem tekst Rafała Ziemkiewicza, jednego z czołowych polskich dziennikarzy prawicowych, o rzezi wołyńskiej². Ten artykuł roi się od błędów merytorycznych. Ziemkiewicz pisze o Wołyniu, o Doncowie, który był „gorszy od Hitlera”, a na zakończenie stwierdza, że tu chodziło o „*samostijną* Ukrainę”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że autor używa tego ukraińskiego sformułowania po to, by ukazać głębię niechęci i obrzydzenia. Ale Ziemkiewicz nie wie, że pisząc tak, postępuje się językiem najbardziej antyukraińskiej rosyjskiej propagandy, gdzie też czytamy o banderowcach na „*samostijnej* Ukrainie”. Chodzi mi o wrażliwość, która nie dopuści do takich sytuacji. A przykładów podobnych do tekstu Ziemkiewicza są dziesiątki, zarówno z jednej, jak i z drugiej strony.

Wołodimir Kułyk i Adam Daniel Rotfled zwrócili już uwagę na to, że przypadek polski i ukraiński różnią się od siebie, a poziom *consensusu* w naszych społeczeństwach jest inny. Chociażby dlatego, że na Ukrainie mamy społeczeństwo – celowo nie używam słowa „naród” – które mówi dwoma językami i modli się w czterech Cerkwiach, z których każda będzie twierdzić, że to ona jest Cerkwią narodową. I to bardzo komplikuje naszą sytuację.

Jeśli zaczynamy zastanawiać się nad naszą pamięcią, to sprawa staje się jeszcze bardziej złożona, bo na Bukowinie czy na Krymie tych pamięci jest bardzo wiele. Nie jest tak, że mamy do czynienia z pewną całością – Polską i z pewną inną całością – Ukrainą i układamy relacje pomiędzy tymi „całościami”. Otóż w tej „całości”, jaką jest Ukraina, mamy pamięć chociażby

² Rafał A. Ziemkiewicz, *Wołyń – anatomia niepamięci*, „Do Rzeczy” 2013, nr 21, s. 70.

Tatarów krymskich, która nie mieści się w „narracji Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”, a jednocześnie doskonale wpisuje się w narrację antysowiecką. Ale siłą rzeczy ta ich pamięć niejako pozostaje na uboczu.

Niezwykle istotna kwestia to pamięć o Holocauście i Zagładzie. Co widzimy? Ten temat jest absolutnie pomijany i nie wpisuje się w żadną ukraińską narrację. Starłem się o tym mówić na Ukrainie, po czym zostałem oskarżony o to, że jestem postsowieckim *quasi*-liberałem. A stawiałem prostą tezę, że pamięć o Holocauście, Zagładzie i kolaboracji – która dotyczyła nie tylko Galicji, bo przecież cały kraj znajdował się pod niemiecką okupacją – jest na Ukrainie świadomie pomijana, bo nie wpisuje się ani w narrację neosowiecką, ani w narrację nacjonalistyczną. I kiedy napisałem o tym, prezydent Leonid Krawczuk, który teraz bardzo dużo mówi o „pojednaniu”, oświadczył, że w swoim czasie przeprosił w Izraelu za Holocaust i temat uważa za zamknięty. Na Ukrainie cały czas panuje uproszczone i naiwne wyobrażenie, że pamięć to jest coś takiego, co mamy „tu”, i możemy „to” przestawić „tam”, i będzie stało, gdzie się „to” postawi. Nie ma zrozumienia, że pamięć jest czymś dynamicznym, co nieustannie się rozwija. Nie sposób raz za coś przeprosić i uznać sprawę za załatwioną.

Kolejną kwestią, na którą chciałbym zwrócić uwagę, jest rola lokalnych władz. Mówimy o pomnikach Bandery na tak zwanym zachodzie. Tu jedna uwaga – określenie „zachód” nie jest do końca precyzyjne, bo nie ma pomników Bandery na Bukowinie czy Zakarpaciu. W tym kontekście mówimy jedynie o Galicji Wschodniej i trochę o Wołyniu. Otóż decyzja o stawianiu tych pomników, czy – dla odmiany – pomników Katarzyny II na południu i na wschodzie, zależy od władz lokalnych. Kijów nie ma w tej kwestii wiele do powiedzenia. Trzeba o tym pamiętać. Mamy znakomity przykład Odessy, gdzie Eduard Hurwic, przez lata mer tego miasta, z pewnych powodów postanowił usunąć wszystkie pomniki Lenina. Na całej południowo-wschodniej Ukrainie Lenin stoi wszędzie, tylko nie w Odessie. Dlaczego? Bo tak zdecydował mer tego miasta. Innym przykładem jest mój rodzinny Dniepropietrowsk, gdzie na niewyobraźalną jak na Ukrainę skalę upamiętniono Holocaust. Dlaczego? Dlatego że właśnie tam jest chyba najbogatsza

w całej Europie Wschodniej wspólnota żydowska. I ona postarała się, aby powstały muzeum, pomniki, tablice itd. Ta perspektywa nie może nam umykać, gdy podajemy wyrwane z kontekstu przykłady.

Ciekaw jestem opinii, w jakim stopniu polskie społeczeństwo żyje pamięcią. Jeśli chodzi o Ukrainę, to odnoszę wrażenie, że oczywiście wszyscy mówią o historii i wykorzystują ją podczas kampanii wyborczych, ale otwarte pozostaje pytanie o to, jaki faktyczny wpływ te dyskusje mają na codzienne życie Ukraińców. Brakuje nam badań na ten temat. Łatwo opisać, jak wygląda dany pomnik, czy nawet policzyć, ile pomników Bandery postawiono w obwodzie lwowskim. Ale ciekawie byłoby usłyszeć odpowiedź na pytanie, co ten pomnik znaczy dla ludzi, którzy wokół niego żyją. Niestety, nie ma na ten temat badań. W debacie publicznej ten temat też nie funkcjonuje. A szkoda, bo jest to bardzo ważne pytanie w kontekście naszej rozmowy.

Mykoła Kniażycki:

Mój głos może się wydać pesymistyczny. Będąc w parlamencie, mogę z bliska obserwować, w jaki sposób politykę pamięci widzą i co z nią robią ukraińscy politycy oraz deputowani do Rady Najwyższej w przededniu podpisania umowy o stowarzyszeniu z Unią Europejską bądź z Federacją Rosyjską.

Na początek komentarz – mam wrażenie, że ta linia podziału ukraińskiego społeczeństwa przebiega mniej więcej zgodnie z granicami dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, a nie Galicji czy Ukrainy Zachodniej. Granica Wielkiego Księstwa Litewskiego dzisiaj dzieli Ukrainę, co znajduje doskonałe odzwierciedlenie w Radzie Najwyższej.

Chciałbym podkreślić, że dzisiaj mamy do czynienia z próbą wciągnięcia Ukrainy w tak zwany *ruskiej mir* (rosyjski świat). Widzę to bardzo wyraźnie, pracując na co dzień w ukraińskim parlamencie. Dyskusje, jakie toczą się w Radzie Najwyższej, bynajmniej nie odnoszą się do tego, jak okazać szacunek ukraińskiej historii, ukraińskim wartościom i ukraińskim bohaterom, ale dotyczą tego, czy upamiętniać starych – sowieckich bohaterów, czy może nowych – ukraińskich. W każdym tygodniu przedstawiciele partii rządzącej proponują, aby oddać cześć bohaterom Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

I my – jako opozycja – czasami jesteśmy gotowi popierać te inicjatywy, ale pod warunkiem, że mowa będzie nie o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, bo to terminologia rosyjska, a o drugiej wojnie światowej. Ale pojawiają się wnioski o uczczenie Armii Czerwonej, rosyjskich bohaterów i rosyjskich bądź radzieckich świąt. Tymczasem za każdym razem, gdy ukraińska opozycja stara się uczcić jakiegoś innego bohatera (nie Banderę albo Szuchewycza, ale Wołodomyra Wernadskiego, twórcę Ukraińskiej Akademii Nauk, bądź Wasyla Karazina, którego imię nosi Uniwersytet Charkowski), to nigdy nie może liczyć na poparcie rządzących. Jeśli ktoś stara się uczcić takich bohaterów czy takie wydarzenia, które mogłyby zjednoczyć całą Ukrainę, to większość temu się przeciwstawi. Pojawia się pytanie: czy tak się dzieje, bo tego chce prezydent Wiktor Janukowycz? Nie. Ukraina jest krajem, gdzie niezwykle ważną rolę odgrywają oligarchowie, i prezydent Janukowycz potrzebuje poparcia różnych oligarchów i różnych części Ukrainy. Podobnie Partia Regionów jest podzielona. Dlatego też nie ma wspólnej decyzji co do tego, jakie wartości można wspierać. Natomiast ci, którzy zabiegają o uczczenie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej lub twierdzą, że nie należy czcić Karazina czy Wernadskiego bądź emigracyjnej śpiewaczki Kwitki Cisyk (o tym, czy ją uczcić, debatowaliśmy w Radzie Najwyższej niemal dwa tygodnie), choć sami należą do partii rządzącej, to do końca nie reprezentują jej interesów, a interesy Rosji. Mogę mówić o tym zupełnie otwarcie, bo na początku 2013 roku czwórkę takich osób, szczególnie zasłużonych i aktywnych na polu ideologii (wśród nich są: Wadim Kolesniczenko, Serhij Kiwałow oraz Dmytro Szencew), uhonorowano wysokimi rosyjskimi odznaczeniami państwowymi. A więc musimy brać pod uwagę problem upolitycznienia pamięci. Nie chodzi tu o postawę społeczeństwa, a o rachunek polityczny – czy możemy sobie pozwolić na wspólną pamięć, która jednoczy i dopuszcza istnienie różnych pamięci regionalnych, czy też ma to być jedna pamięć sowiecka? Kiedy chodziliśmy do szkoły, mieliśmy jedną wspólną rosyjską historię. I to, co robi obecny minister oświaty Dmytro Tabacznik, przy wsparciu części ukraińskiego parlamentu, jest próbą zanegowania poszukiwań ukraińskiej tożsamości.

Nie ulega wątpliwości, że prezydent Janukowycz stanął przed następującym wyborem: zgodzić się na podpisanie umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską i ustąpić, czy wybrać szlak Aleksandra Łukaszenki? Rosja w tej kwestii jest niezwykle aktywna, również medialnie. Na przykład za pieniądze Gazpromu tworzy się w tej chwili największą bezpłatną ukraińską gazetę „Wisti”, która wychodzi od 2013 roku w nakładzie miliona egzemplarzy. Obecnie wydawca tej gazety wykupił kanał telewizyjny, zamierza wydawać miesięcznik i otworzyć rozgłośnię radiową. To wszystko odbywa się bardzo szybko, bez względu na cenę, za pieniądze rosyjskiego monopolisty.

Jest oczywiste, że Rosja ma wpływ na to, jak kształtuje się ukraińska polityka pamięci. Patrząc na minione 20 lat naszej historii, możemy powiedzieć, że tak było zawsze. Ale obecny moment jest niezwykle istotny i nie możemy zapominać o politycznym kontekście naszej rozmowy. Celowo kieruję naszą dyskusję na chwilę obecną, ponieważ tak jak polskie dyskusje wokół wydarzeń wołyńskich wpływają na wewnętrzną sytuację Polski, tak nasze ukraińskie dyskusje na ten temat mają podobny charakter. I choć ukraińscy intelektualniści, z których większość uczestniczy w tej dyskusji, starają się zwrócić uwagę naszego społeczeństwa i polityków na te tragiczne wydarzenia, to siły polityczne albo zajmują radykalne stanowisko w tej sprawie, albo wykazują się obojętnością.

Wasył Rasewycz:

Ustyszałem wiele twierdzeń, które mnie zdziwiły. Po pierwsze, było dla mnie zaskoczeniem, że wszyscy mówią o potrzebie budowania jakiejś właściwej, jednej polityki historycznej. A czym ona miałaby być? Z czyjego punktu widzenia ma ona być „prawidłowa”? Czy będzie ona zawsze inna w zależności od tego, w czyich rękach znajduje się władza? I za każdym razem, gdy będzie się ona zmieniać, to będziemy pisali historię na nowo i na nowo ustalali kanon naszych bohaterów? Taka sytuacja ma już miejsce na Ukrainie.

Podobnie jak Adam Daniel Rotfeld, jestem zwolennikiem odróżniania polityki historycznej od pamięci historycznej. Polityka pamięci jest pojęciem bardziej pojemnym, zawiera w sobie nie tylko politykę państwa, ale

również przeróżne inicjatywy społeczne. Zaś pamięć historyczna jest czymś, co funkcjonuje w naszych głowach. To pewien konstrukt zgodny z naszymi politycznymi przekonaniem i tym, co wiemy. W tym kontekście tradycją jest wszystko to, co my, żywi ludzie, chcemy włączyć w naszą tożsamość, gdy patrzymy w przeszłość i dokonujemy wyboru, co jest nasze, a co nasze nie jest. Chcę przez to pokazać pewną sztuczność dyskusji, które dotyczą tradycji historycznej, tej tak zwanej „prawidłowej” pamięci historycznej.

Dlaczego sytuacja wokół ukraińskiej polityki historycznej jest aż tak skomplikowana? Maksym Stricha nie wspominał o żadnej sytuacji konfliktowej, która byłaby związana z ukraińską polityką historyczną. Za to usłyszeliśmy o hrywnie, o różnych incydentalnych sytuacjach, które towarzyszą tworzeniu się ukraińskiej polityki historycznej, ale nie usłyszeliśmy nic o samej polityce historycznej. Stricha uznał, że jest ona fragmentaryczna i nieciągła. Uważam inaczej. Uważam, że była też fatalna w skutkach dla ukraińskiego społeczeństwa. Usłyszeliśmy o ukraińskich deputowanych, którzy deklarują gotowość głosowania za uczczeniem sowieckich bohaterów, pod warunkiem, że będą to bohaterowie drugiej wojny światowej, a nie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. A dlaczego deputowani mają zajmować się tym tematem? Czyżbyśmy nie mieli innych problemów, ekonomicznych czy społecznych? Nasi politycy zachowują się tak, jakby Ukraina była na takim poziomie rozwoju, że najważniejszą kwestią, o której muszą debatować, są takie postaci jak Bandera, Szuchewycz albo jeszcze ktoś inny. Jeśli tak, to zmienmy nazwę Rady Najwyższej na Najważniejszy Instytut Historyczny Ukrainy i niech deputowani dalej zajmują się tym tematem.

Dlaczego historia jest tak ważna dla ukraińskiego społeczeństwa? Po części odpowiedź na to pytanie już padła – historia jest ważna, ponieważ stanowi najprostsze narzędzie mobilizacji elektoratu. Na Ukrainie nie ma normalnych partii politycznych. Partie, które mamy, nie muszą myśleć o ideologii, nie muszą tworzyć żadnych programów. Wystarczy, że na zachodzie Ukrainy powiedzą, że Bandera to bohater. I wszyscy już są „za”. I nikt nie widzi sprzeczności w tym, że kolejka pod polskim konsulatem we Lwowie nie ma końca. Ci sami ludzie, którzy są „za” Bandera i „za” Szuchewyczem

– jadą do pracy do Polski. Oni głosują za takimi bohaterami i popierają Swobodę, nie widząc, że ta partia zamyka im jakąkolwiek perspektywę na przyszłość. Historia jest naszym przekleństwem.

Na Ukrainie mamy pięć regionów o różnej kulturze politycznej, różnej tradycji historycznej. Mało tego, te regiony często są nastawione antagoniście wobec siebie. I jeśli spróbujemy je na siłę jednoczyć i ułożyć w jakąś wspólną wizję polityki pamięci, to doprowadzimy albo do wojny, albo do sytuacji „zero”. Nic innego z tego nie wyniknie.

Maksym Stricha nie wspominał o jednym, niezwykle istotnym elemencie polityki historycznej, jakim są podręczniki. Jeśli nie zastanowimy się nad tym, co 20 lat temu napisano w podręcznikach, to nie będziemy wiedzieli, co przekazano tym, którzy dzisiaj budują nasze państwo. Gdy rozpadł się Związek Radziecki, nie było żadnych ukraińskich podręczników. Pojawił się natomiast podręcznik Oresta Subtelnego, ukraińskiego historyka z Kanady, związanego ze środowiskami nacjonalistycznymi³. Jestem przekonany, że w tym momencie był to całkiem dobry podręcznik. Ale korzystamy z niego do dziś, żyjąc w przekonaniu, że to, co pochodzi z czasów sowieckich, jest złe, a wszystko, co przychodzi z diaspory, jest dobre. I w ten sposób podręczniki, zwłaszcza na Ukrainie Zachodniej, zostały „zbanderyzowane”. Nie ma w nich miejsca dla melnykowców, nie ma wzmianki o Tarasie Borowcu „Bulbie”, a dodatkowo zostały one poddane doktrynie integralnego nacjonalizmu OUN. Kogo zatem chcieliśmy na tych podręcznikach wychować? Gdyby dać te podręczniki do ręki uczniom w Charkowie, Melitopolu bądź Kijowie, to oni by się przestraszyli. Choć należy pamiętać, że gdy przyglądamy się sowieckiej narracji, z której wymazano wszelkie elementy narodowe, trudno sobie wyobrazić, że mogłaby ona być zaakceptowana na Ukrainie Zachodniej.

Największe szkody ukraińska polityka historyczna poniosła w czasie prezydentury Wiktora Juszczenki. Wcześniej na poziomie jednostkowym, czy szerzej: społecznym, nie było problemu w tym, aby upamiętnić wujka, który należał do OUN albo UPA. Nikt nie widział w tym wielkich politycznych gestów. Rodzina była przekonana, że ktoś taki nie miał nic na sumieniu,

³ Orest Subtelny, *Ukraine: A History*, Toronto 1988.

i chciała postawić mu niewielki pomnik na cmentarzu. I tak się działo. Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy zaczęto to robić w imieniu państwa. W majestacie prawa podjęto decyzję, że bohaterami Ukrainy będą Stepan Bandera i kapitan Wehrmachtu Roman Szuchewycz. To są bohaterowie, których mamy zgodnie z prawem szanować i czcić. Jeśli tak przedstawia się ta sprawa, to państwo musi za te decyzje wziąć odpowiedzialność. Musimy wziąć odpowiedzialność za działalność Bandery czy Szuchewycza, ponieważ ogłosiliśmy ich naszymi narodowymi bohaterami. Dopóki były to działania osób prywatnych, rozmaitych inicjatyw społecznych, to mieliśmy do czynienia z zupełnie innym zjawiskiem. A dziś państwo ukraińskie firmuje te osoby i państwo powinno za nie odpowiadać.

Leonid Zaskilniak:

Myślę, że wszyscy tu obecni doskonale rozumieją, czym jest polityka pamięci i w jaki sposób odróżnia się ona od polityki historycznej, historiografii itd. Pozwolę sobie tylko przypomnieć, że pamięć historyczna, pamięć społeczna jest zjawiskiem społecznym, czyli zbiorowym, a nie indywidualnym. I niekiedy zmusza ona ludzi, aby zapominali to, czego nie należy zapominać, bądź pamiętali o tym, czego pamiętać nie powinni – to charakterystyka Maurice’a Halbwachsa. Zatem pamiętanie i niepamiętanie w gruncie rzeczy jest manipulacją, która staje się narzędziem służącym dwóm rzeczom: legitymizacji teraźniejszości i budowaniu tożsamości wspólnoty. Kto może się tym zajmować? Tylko państwo. Zgadzam się, że w ciągu ostatnich 20 lat na Ukrainie nie było żadnej polityki pamięci. A przez ostatnie trzy lata w ogóle nie ma zainteresowania tymi sprawami. Za sprawy dotyczące kwestii humanistycznych odpowiadają ginekolodzy bądź fizycy (to nie jest przytyk do Maksyma Strichy). Są to działania haniebne i trudno się z nimi pogodzić.

Znam dobrze i cenię sobie tezy, które głoszą Wołodimir Kutyk i Wasyl Rasewycz. Tytułem uzupełnienia przypomnę, że istnieją opracowania socjologów, antropologów i psychologów, którzy zajmują się ukraińskim społeczeństwem; z prac tych wynika, że Ukraina podzielona jest na cztery części.

Pozwolę sobie na polemikę z wystąpieniem Wołodymyra Kułyka, który twierdzi, że Ukraina nie ma wspólnych symboli, świąt, bohaterów ani wspólnych wartości. Rodzi się zatem pytanie: czy coś takiego jak Ukraina w ogóle istnieje? Czy istnieje ukraińska wspólnota? A może to tylko taki przejściowy twór między Polską a Rosją? Ale jeśli zgodzimy się z tym, że ma to być wspólnota, która jak każda inna wymaga formowania, to powiedzmy otwarcie, że trzeba ją leczyć. Rodzi się pytanie: w jaki sposób? W moim przekonaniu sposoby są trzy: wykształcenie, środki masowego przekazu oraz kultura – sztuka i literatura. I zadajmy sobie pytanie: w jakim stopniu edukacja, środki masowego przekazu czy kultura kultywują ukraińskie wartości? Myślę, że odpowiedź jest oczywista. Społeczeństwo należy leczyć, ale jest to możliwe tylko wtedy, gdy państwo wspiera te działania. Jeśli takiego wsparcia nie ma, jeśli nasza przestrzeń informacyjna jest zdominowana przez rosyjskojęzyczne media, rosyjski punkt widzenia, rosyjskie wartości, interesy, kulturę i tradycję, to o jakiej wspólnocie możemy mówić w najbliższym czasie? Leczyc społeczeństwo można tylko przy wsparciu państwa. Jeśli państwo tego się nie podejmuje, to choroba, na którą cierpimy, doprowadzi nas do śmierci.

Władysław Werstiuk:

Jeśli będziemy patrzeć na politykę pamięci jak na piramidę, gdzie na górze jest prezydent, parlament, intelektualiści, to trzeba uważać, aby nie zapomnieć o podstawie, na której ta piramida stoi. A więc zanim zaczniemy mówić o polityce pamięci, trzeba najpierw zastanowić się nad samą pamięcią – czym ona jest, czego od niej oczekujemy, do czego dążymy? Czy my w ogóle wiemy, czym jest „ukraińskość” i te osławione „ukraińskie wartości”? Odnoszę wrażenie, że te pytania pozostają bez odpowiedzi. Do czegoś tam dążymy. O czymś tam dyskutujemy. Spieramy się i obwiniamy. A pytania, czego chcemy i do czego zmierzamy, pozostają bez odpowiedzi. To jest nasz największy problem. Czym innym jest „ukraińskość” w Galicji, a czym innym w Charkowie. Niedawno mój kuzyn ożenił się z dziewczyną z Mariupola z Ukrainy Wschodniej i po raz pierwszy w życiu miałem styczność ze zwykłymi mieszkańcami Doniecka i Mariupola. Do tej pory był to dla

mnie zupełnie nieznaną świat. Byłem mile zaskoczony, bo okazało się, że są to osoby bardzo krytyczne wobec tego, co dzieje się na Ukrainie, również wobec Partii Regionów i prezydenta Janukowycza. Istnieje jednak między nami pewna różnica w pojmowaniu historii. Na wschodzie jest ono znacznie mniej krytyczne, tam dopiero teraz zaczyna się patrzeć krytycznym okiem na pewne procesy związane z sowiecką przeszłością.

A rozmawiając o ukraińskich podziałach – mam wrażenie, że Ukrainy nie podzieliła granica Wielkiego Księstwa Litewskiego, lecz kolonizacja. Państwo powstawało w jej wyniku. Wschód był kolonizowany później. Dlatego tam nie ma jeszcze głębokiej refleksji nad historią, o którą można było się zaczepić.

Kiedy słuchałem wystąpienia Maksyma Strichy, zadałem sobie pytanie: czy przypadkiem coś zaniechaliśmy, czy może zrobiliśmy coś złego? Ale kogo jeszcze moglibyśmy dodać do tych siedmiu osób, które znalazły się w ukraińskim panteonie na hrywnach? Czy wspomniany przez Mykołę Kniażyckiego Wasyl Karazin to jest bohater, który mógłby odmienić los ukraińskiej pamięci? Proszę wybaczyć, ale przy całym szacunku dla tej postaci, śmiem wątpić.

Jesteśmy produktem czasu sowieckiego. Lada chwila będziemy obchodzili stulecie wybuchu pierwszej wojny światowej. To była wojna, w której Ukraińcy doznali poważnych strat, która przyniosła rewolucję 1917 roku i wszystko, co nastąpiło po niej. A pamięć o tej wojnie na Ukrainie właściwie nie istnieje. Jeśli chodzi o wspomnianą przez Strichę pamięć kozacką, to wolalibyśmy, aby tego współczesnego kozactwa w ogóle nie było. Zgadzam się z tym, że istnieje jakaś tradycja kozacka, ale czy jest ona czymś wartościowym? Obraz Riepina, o którym wspominał Adam Daniel Rotfeld – niechże wisi w muzeach. Ale nic pozytywnego dla nas z tego obrazu nie wynika. Dlatego jestem przekonany, że na problem, którym się dzisiaj zajmujemy, nie powinniśmy patrzeć z góry na dół – poczynając od prezydenta, lecz zaczynając od podstawy. Czym ta podstawa jest? Powinniśmy zastanowić się nad tym, co jest fundamentem, który możemy wykorzystać. Niestety, sytuacja przedstawia się w taki sposób, że nie ma tam zbyt wiele konstruktywnego.

Kost' Bondarenko:

Zacznę od wątpliwości, o której mówił Leonid Zaszkilniak – czy istnieje Ukraina, skoro mamy tak wiele różnych pamięci? Podobny problem ma chociażby Belgia, gdzie nieprzerwanie od XIX wieku pada pytanie o to, czy istnieje jeden belgijski naród. Gdy w 1830 roku tworzono Królestwo, wielu uważało, że nie przetrwa ono więcej niż 10 lat, dlatego gdy świętowano 50-lecie Belgii, to w Brukseli zbudowano olbrzymi łuk triumfalny. Jak gdyby sami Belgowie chcieli powiedzieć, że i oni są zdziwieni, że udało im się przetrwać tak długo. Dlaczego to było możliwe? Bo w pewnym momencie odłożono na bok zaszłości, a nadzieje na lepszą przyszłość związane z królem Leopoldem I, który dał perspektywę na lepszą przyszłość. Myślę, że właśnie o taką perspektywę chodzi. To ona łączy. To samo dotyczy Ukrainy. Jeszcze nikt nie pokazał nam perspektywy.

Niestety, na Ukrainie w chwili obecnej na pierwszy plan wyciągane są rozbieżności historyczne. Niejednokrotnie zdarza się, że dzieje się tak w wyniku działań politycznych. A należy dodać, że politycy doskonale zdają sobie sprawę z istnienia drażliwych kwestii, które nigdy nie zostaną zaakceptowane przez ich politycznych oponentów bądź drugą część Ukrainy. Dlatego – bez względu na skutki – te drażliwe tematy są rozdmuchiwane.

Bolączką Ukrainy jest to, że nikt nie szuka kompromisu. Wręcz przeciwnie, prowadzone są działania, które dla uzyskania korzyści politycznych prowokują konflikt. Po śmierci Kim Ir Sena w 1994 roku w Korei ogłoszono go wiecznym wodzem, co Norman Davis skomentował, że Korea będzie pierwszą w świecie nekrokracją. Ale nekrokracja panuje również na Ukrainie. Największy wpływ na sytuację naszego państwa i sposób myślenia Ukraińców, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie, mają liderzy, których wśród żywych od dawna nie ma. To stanowi podstawę dla twierdzenia o dwóch szkołach-tendencjach, które funkcjonują na Ukrainie. Pierwsza – tak zwana „zachodnia”, która częściowo obejmuje także Kijów – charakteryzuje się koncentrowaniem uwagi na badaniu niewykorzystanego potencjału, jakim dysponowała Ukraina, i na totalnej negacji sowieckich doświadczeń. Uprawiane jest myślenie w stylu „co by było, gdyby...”. Chodzi przede wszystkim

o potencjał Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, a następnie OUN–UPA. Natomiast tak zwaną szkołę „wschodnią” można scharakteryzować nieco anegdotycznie. Jej wyznawcy wierzą, że na Ukrainie było czterech wielkich działaczy: Lenin, który dał narodom prawo do samostanowienia; Stalin, który zjednoczył Ukrainę Wschodnią i Zachodnią; Chruszczow, który dał Ukrainie Krym; i Breżniew – Ukrainiec, który objął władzę na Kremlu. To chyba najlepiej charakteryzuje tę tendencję.

Adam Daniel Rotfeld wspominał o przypadku Polski, gdzie historycy zostają politykami. W latach 90. ubiegłego stulecia w ukraińskiej Radzie Najwyższej niemal 20 proc. deputowanych stanowili historycy. Czy to sprawiło, że jakość polityki pamięci była zdecydowanie lepsza? Wątpię. Inna rzecz, że następnie władza znalazła się w rękach księgowego, który uczył historyków, jak mają pisać historię. To było chyba jeszcze gorsze. Za prezydentury Juszczenki podstawę do nauki historii stanowił podręcznik Mykoły Arkasa. A w ukraińskiej polityce zaczęło dominować myślenie według teorii Michaiła Pokrowskiego, który w latach 20. ubiegłego stulecia twierdził, że historia jest polityką zwróconą ku przeszłości. I tego doświadczamy na Ukrainie.

Czy na Ukrainie obecnie jest prowadzona jakaś świadoma polityka, która np. ma na celu rusyfikację ukraińskiej historii? W moim przekonaniu nie. W polityce historycznej panuje chaos. Nikt nie mówi o tym, że ma powstać coś na kształt ministerstwa historii, które miałoby dekretować, jaka ma być historia i według jakiego szablonu powinno się o niej mówić. Ale też na temat przeszłości się nie dyskutuje. W obecnym rządzie są może ze dwie osoby, które mają o historii jakieś pojęcie. Realna polityka historyczna ma charakter kolejnych kampanii. W lipcu 2013 roku przypada 1025. rocznica chrztu Rusi. Uroczystości przeminą i po chwili nikt już o nich nie będzie pamiętać. Ale zaraz pojawi się nowa rocznica – w 2014 roku przypada 100. rocznica urodzin Tarasa Szewczenki. A po nich będą kolejne uroczystości i tak bez końca. Nie ma więc żadnej spójnej koncepcji. Nasza polityka pamięci ogranicza się do akcji. Staje się zbiorowiskiem działań skierowanych w jedną bądź drugą stronę.

Wołodmyr Maslijczuk:

Chciałbym zacząć od kwestii, którą uważam za kluczową dla dzisiejszej dyskusji. Mówimy dużo o różnicach regionalnych w Polsce i na Ukrainie. Zapominamy jednak, że w odróżnieniu od Polski Ukraina ma silne korzenie radzieckie. Nie ma szans, by się od nich uwolnić. A to kluczowy problem, jeśli chodzi o naszą pamięć i tożsamość.

Oczywiście nie mamy do czynienia z polityką historyczną będącą jakimś monolitem, o czym wspominał Maksym Stricha. Jeżeli jednak przywołujemy *casus* Kozaków i świętowania 300-lecia zjednoczenia Ukrainy i Rosji, to trzeba zauważyć, iż była to próba połączenia różnych narracji, których połączyć nie sposób – braterstwo połączone z szowinizmem?

Mówiąc o spuściźnie sowieckiej, trzeba pamiętać o tym, że Związek Sowiecki był państwem totalitarnym. W takim państwie władza instrumentalnie postuguje się polityką pamięci. Trochę się do tego przyzwyczailiśmy i to jest nasz problem. Do dziś uważamy, że państwo jest podstawowym autorem polityki pamięci. Wydaje się nam, że państwo powinno opiekować się takim bądź innym bohaterem czy świętem, napisze odpowiedni podręcznik i zajmie się sztuką, co zmieni naszą sytuację na lepsze. Do tych działań często ograniczamy politykę pamięci. Ale władza na Ukrainie – na szczęście – ma inny charakter i jest zdecydowanie słabsza w porównaniu z czasami sowieckimi. Nie ma już możliwości kontrolowania świadomości mas. Dlatego musimy przyzwyczaić się do tego, że całościowej pamięci po prostu nie będzie. W jej miejsce pojawi się za to wielość pamięci. Na to nakładać się będzie próba tworzenia czegoś na kształt „pamięci użytkowej”, z czym mamy teraz do czynienia, gdy stawia się pomniki Bandery, które jako żywo przypominają pomniki Lenina. Dlatego chcę podkreślić, że dla Ukrainy kluczowe nie są różnice pomiędzy regionami, a spuścizna sowiecka. Na Ukrainie nikt nie przeprowadził lustracji. Nie było jasnego zerwania z przeszłością. I to ma bardzo poważny wpływ na naszą rzeczywistość.

Andrzej Nowak:

Sądzę, że byłoby interesujące, gdybyśmy – zanim przejdziemy do dyskusji o tym, co nas dzieli – spróbowali zastanowić się nad tym, co łączy polskie i ukraińskie spory o historię i pamięć. Dlatego chciałbym odnieść się nieco krytycznie do sformułowań użytych przez Adama Daniela Rotfelda o kompleksach mniejszości, które mają być charakterystyczne dla naszej części Europy, oraz – co pojawiło się w paru wypowiedziach – o potrzebie leczenia pamięci. Muszę przyznać, że samo sformułowanie „leczenie pamięci” wydaje mi się bardzo niebezpieczne. Czy miałyby to oznaczać, że ktoś będzie występował w roli terapeuty? A jeśli tak, to kto może nadać uprawnienia do tego, by leczyć społeczeństwo czy też ludzi o różnych doświadczeniach?

Podzielam również perspektywę zaproponowaną tutaj przez Andrija Portnowa, że powinniśmy wprowadzać jak najwięcej rozróżnień, a nie wrzucać wszystko do jednego worka, który następnie nazwiemy „ukraińską” bądź „polską” pamięcią. Można i trzeba odróżniać konkretne okoliczności i konkretne osoby czy grupy, które formułują i spierają się o pamięć. W ten sposób chcę nieco półzartem odnieść się do uogólnienia, którego dokonał sam Andrij Portnow, nazywając Rafała Ziemkiewicza „głosem polskiej prawicy”. Bo takich głosów na polskiej prawicy jest wiele. Co więcej, można powiedzieć, że każdy z tych głosów ma inną pamięć w różnych okresach swojej historii. Bo nasza pamięć indywidualna także jest dynamiczna. Gdy powiemy o pamięci Ziemkiewicza, Nowaka czy Portnowa, to trzeba zapytać, kiedy i w jakich okolicznościach ona została wyrażona? Bo przecież i ona zmienia się w zależności od kontekstu i czasu. Choć, oczywiście, jesteśmy zmuszeni do tego, by opierać się na uogólnieniach i ja z konieczności w swojej wypowiedzi także ich nie uniknę.

Po pierwsze, chciałbym zwrócić uwagę na pewien paradoks – z jednej strony doświadczamy swego rodzaju kryzysu pamięci, z drugiej zaś przeżywamy swoisty boom pamięci. Możemy zadawać pytania, na ile te wszystkie spory o pamięć obchodzą ludzi młodych, zwłaszcza na Ukrainie. Czy te wszystkie postaci, które są wymieniane, nie tylko te mniej znane, jak Karazin, ale również te z pierwszych stron gazet, jak Bandera czy Szuchewycz,

budzą żywe emocje wśród ludzi młodych? Znałe są mi badania stanu świadomości historycznej Polaków, które wykazują niezwykle niski poziom znajomości historii, nawet najbardziej istotnych nazwisk i wydarzeń, oraz niski poziom zainteresowania tymi sprawami, zwłaszcza wśród przedstawicieli młodszego pokolenia. Mam wrażenie – co jest uogólnieniem – że to zjawisko powszechne, którym charakteryzuje się współczesny świat. Jaki płynie z tego wniosek? Na kurczącym się skrawku zainteresowania pamięcią toczy się ostra walka o to, by zaistnieć tam, gdzie pamięć jeszcze dla kogoś coś znaczy. Bo pozostałych zupełnie nie obchodzi nawet to, co wydarzyło się rok czy dwa lata temu. Dla przykładu przypomnę, że rzecznik prasowy trzeciej co do wielkości partii w polskim parlamencie powiedział niedawno, że powstanie warszawskie wybuchło w 1988 roku. Nie mówię o tym, by szydzić z tego człowieka bądź partii, którą reprezentuje, przywołuję to jako ilustrację pamięci jego pokolenia.

Jednocześnie trzeba stwierdzić, że współczesne ideologie nie oferują żadnej atrakcyjnej wizji przyszłości. Podczas dzisiejszej dyskusji wielokrotnie padło stwierdzenie – odwróćmy się od historii i popatrzmy w przyszłość. Ale proszę powiedzieć, kto dziś pokazuje atrakcyjną przyszłość? Mało kto wierzy w komunizm, który oferował atrakcyjną niegdyś dla wielu wizję przyszłości. Zawiódł zachodni liberalizm, który kreślił wizję świetlanej przyszłości – kurczy się gospodarka, a zamiast wymarzonej przyszłości mamy nieustające debaty o kryzysie. Okazuje się, że – paradoksalnie – spojrzenie na historię jest jednym z niewielu obszarów, gdzie możemy odkryć coś nowego. Patrzymy wstecz i dostrzegamy rzeczy, których wcześniej nie widzieliśmy. I możemy się nimi ekscytować. Nie umiemy wskazać, jak poprawić perspektywę przyszłości, ale jesteśmy coraz bardziej gotowi „poprawiać” przeszłość.

Pragnę także zwrócić uwagę na ramy pamięci, które zostały nam narzucone przez najsilniejszych działających na tym polu graczy. Parokrotnie wspomniano, że zalicza się do nich Rosja, która jednocześnie jest dziedzicem sowieckiego imperium nie tylko w zakresie prawnomiędzynarodowym, ale również w dziedzinie prowadzenia polityki historycznej.

W przypadku Ukrainy Rosja bardzo silnie oddziałuje na ukraińską debatę o historii, ale także, choć w mniejszym stopniu, na polską debatę. Wciąż walczymy i spieramy się o to, na ile możemy odejść od narzucanego nam przez kilkadziesiąt lat schematu, w Polsce w trochę mniej brutalny sposób niż na Ukrainie.

Wołodymyr Kułyk mówił o tym, że są to niejako równorzędne pamięci: pamięć banderowska i pamięć okresu sowieckiego. W przypadku Polski nie zaryzykowałbym takiego stwierdzenia. Nie położyłbym na jednej szali pamięci tych, którzy byli prześladowani w okresie komunizmu, i tych, którzy prześladowali. W Polsce w okresie komunizmu – kiedy konsekwentnie narzucano nam określoną wizję pamięci – funkcjonowała również kontrpamięć, budowana poza państwem i przeciwko niemu. Choć nie można powiedzieć, że systematycznie prowadzona polityka państwa (PRL) nie pozostawiła żadnych negatywnych konsekwencji – niektóre rzeczy ze zbiorowej pamięci zostały wymazane, inne zaś zostały utrwalone. Niemniej jednak dochodzimy do momentu, kiedy w roku 1990–1991 ci, których pamięć przez lata pomijano, chcieli się o nią upomnieć. Robili to gwałtownie i gorączkowo, bo zależało im na nadrobieniu straconego czasu. Spotkało się to z kolei z reakcją tych, którzy mówili im: „spokojnie, nie zmieniamy niczego odgórnie, bo wywołamy nową «wojnę domową»...”. Na tym polega nasz wspólny dramat.

Problem ten przenosi się na szerszą arenę relacji międzynarodowych. Bo państwa zachodnie, które tworzą rdzeń dzisiejszej Unii Europejskiej, nie mają takiego bagażu. W typologii Adama Daniela Rotfelda nie określibyśmy ich mianem „zakompleksionych narodów” i nie powiemy o nich, że „potrzebują leczenia”. One przez te kilkadziesiąt lat, kiedy polska i ukraińska pamięć były poddawane naciskom władzy totalitarnej, mogły swobodnie kształtować swoją pamięć. I z perspektywy zachodniej, która stanowi odrębną perspektywę dla naszych sporów, nasze dyskusje wydają się czymś nienaturalnym i gorączkowym, co można wytłumaczyć, jak to nazwał prof. Rotfeld, kompleksami. A tymczasem, jeśli weźmiemy pod uwagę doświadczenie kilkadziesiąt lat totalitaryzmu, z którym próbujemy

się mierzyć, to okaże się, że państwa zachodnie wykazują się brakiem wrażliwości i cierpliwości dla doświadczeń Europy Środkowo-Wschodniej. Potrzebna jest wrażliwość – o której w nieco innym kontekście mówił Andrij Portnow – na pamięć krajów naszego regionu.

Pewna zmiana nastąpiła w 2004 roku, kiedy państwa naszej części Europy weszły do Unii Europejskiej. Pamiętam, jak na międzynarodowych targach w Lipsku ówczesna minister spraw zagranicznych Łotwy Sandra Kalniete poruszyła problem wprowadzenia do europejskiej pamięci zbrodni stalinowskich, a szerzej – komunistycznych. Środowiska, które próbują kształtować europejską pamięć, zaczęły gorączkowo myśleć o tym, jak sobie z tym wyzwaniem poradzić. Wymyślono, że nastąpi coś w rodzaju *Ausgleichu*: z jednej strony był Holocaust, a z drugiej GUŁag, co niejako miało połączyć te dwie perspektywy. Ale było to rozwiązanie na krótką metę, bowiem pamięć jest znacznie bardziej złożona i skomplikowana. Co prawda Rosja Władimira Putina była gotowa przyjąć perspektywę GUŁagu, ale tylko pod warunkiem, że będzie to pamięć o GUŁagu, w którym ginęli Rosjanie. Innych Stalin zabijał słusznie (np. Polaków)... Zachód przyjmuje taką postawę Rosji za dobrą monetę, tymczasem nasza perspektywa jest nieco inna. My mówimy otwarcie, że byliśmy obiektem imperialnej polityki Moskwy i Berlina. A dla takiej pamięci we współczesnej Europie nie ma już miejsca. Podobnie w Europie Wschodniej – nie ma miejsca dla pamięci o ucisku ze strony Rosji. Taką pamięć traktuje się jako nacjonalizm i „leczenie narodowych kompleksów”, którym przeciwstawiana jest tak zwana dojrzała pamięć, wolna od tego rodzaju „narodowych fobii”, dlatego nie można mówić o ucisku ze strony Rosjan czy imperium rosyjskiego. Ale w Europie Zachodniej jest podobnie – coraz mniej mówi się o imperialnym charakterze niemieckiej III Rzeszy. Mam na myśli nie tylko ludobójczą przeszłość w stosunku do Żydów, która to zbrodnia w naturalny sposób musi towarzyszyć europejskiej pamięci, ale chodzi mi także o pamięć, w której Niemcy „nadludzie” traktują słowiańskich „podludzi” w sposób, o jakim nie chce się dzisiaj pamiętać. Myślę, że jest to jakaś płaszczyzna polsko-ukraińskiego porozumienia oraz okazja do wspólnych działań i wspólnego mierzenia się z doświadczeniem, które nie

do końca jest zrozumiałe dla największych uczestników sporów o europejską, wschodnioeuropejską i ogólnoswiatową pamięć.

W ostatnim czasie można zaobserwować ciekawe zmiany, które dotyczą niemieckiej pamięci. Jej liderzy – oczywiście to też jest pewne uogólnienie – którzy najaktywniej włączają się w jej tworzenie, jak chociażby Aleida Assmann, zawodowa „kapłanka” europejskiej pamięci, coraz wyraźniej dystansują się od pamięci Holocaustu. W ten sposób niemiecka pamięć – przynajmniej w ramach zjawiska, o którym mówię – zaczyna kształtować własną wersję pamięci o Zagładzie. Tę nową pamięć próbuje się narzucać Europie w coraz wyraźniejszym starciu z pamięcią żydowską.

W ten sposób otwiera się geopolityczne pole sporu o kształt pamięci. Występuje w nim szereg czynników, wśród nich wymienione: imperialna Rosja, nowa pamięć niemiecka czy zmieniona pamięć Holocaustu. To są wszystko pola siły, w obrębie których znajduje się nasza polsko-ukraińska dyskusja. Nie możemy zapominać o oddziaływaniu tych czynników. W przeciwnym wypadku nasza debata będzie do pewnego stopnia ograniczona i pozbawiona perspektywy – perspektywy, która pomaga zrozumieć, co dzieje się w obrębie ukraińskiej i polskiej walki o pamięć.

Dariusz Stola:

Z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwałem się wypowiedziom naszych ukraińskich gości, i mam pewną obserwację – głównym podmiotem tej opowieści są władze: centralne bądź lokalne. Wygląda to tak, jakby polityka historyczna na Ukrainie była prowadzona tylko przez rządzących albo dążących do objęcia władzy. Chciałbym więc zapytać o inne podmioty polityki historycznej – czy Cerkwie, ważniejsze media, organizacje społeczne podejmują działania, których celem jest kształtowanie pamięci? Jakie podmioty mają ambicje i powody, by kształtować pamięć o przeszłości?

Andrzej Mencwel:

Zacznę od polemiki z Andrzejem Nowakiem, który 45 lat powojennej historii Polski wrzucił do jednego worka, określanego przymiotnikiem

„totalitarny”. Jestem przekonany, że to nie jest uprawnione. Podam przykład z własnej historii. W czasach stalinizmu byłem ministrantem w prowincjonalnym mieście i – choć może perspektywa historyków politycznych jest odmienna – mimo całej presji, jaką wywierano wówczas na Kościół, zawsze towarzyszyło mi poczucie, że uczestniczę w przestrzeni, która nie podlega władzy państwowej, choć to był zapewne wyjątek zarówno na tle Związku Radzieckiego, jak i krajów ościennych. Tak było w szczycie stalinizmu, a co dopiero po październiku 1956 roku, po 1970, po 1980? Takie ogólnikowe kwalifikacje są historycznym fałszem.

Tygodnik „Polityka” wydaje od czasu do czasu dodatki poświęcone różnym kwestiom, które tytułuje wspólną nazwą – *Pomocnik*. Dwadzieścia lat temu napisałem na łamach tego tygodnika tekst, w którym omawiałem nowy podręcznik do historii literatury polskiej i nazwałem go „pomocnikiem”⁴. Postawiłem wówczas tezę, że nie będzie już podręczników, a ich miejsce zajmą pomocniki. Co to znaczy? Nie będzie podręczników w tradycyjnym rozumieniu tego terminu – jako jednej obowiązującej wykładni. Przypomnę, że wymyślono je nie w Związku Radzieckim, a w XIX-wiecznych Niemczech. Pełniły one niezwykle ważną funkcję w Polsce, Czechach czy na Litwie, stanowiąc obowiązującą wykładnię historyczną i stając się nośnikiem narodowej tożsamości. Ale sytuacja się zmieniła. Nie ma już sił, które nas wynaradawiają. Następuje proces wydobywania różnych, ukrytych dotąd jakości dziejów narodowych, stąd historia pisana się różnicuje. Moim zdaniem jest to zjawisko pozytywne, bo wielopodmiotowość – zarówno narodów, jak i państw – pod względem etniczno-kulturowym i społecznym jest bliższa rzeczywistości.

Odnosząc się do wątków, które dotyczyły perspektywy regionalnej, chciałbym zwrócić uwagę na to, że czym innym jest regionalizacja żywiotowa, a czym innym budowanie państwa federacyjnego czy *quasi*-federacyjnego ze świadomością, że to zróżnicowanie jest akceptowane i ostatecznie składa się na jeden wielobarwny organizm państwowy.

⁴ Andrzej Mencwel, *Synteza czy bryk*, „Polityka” 1993, nr 48.

Wbrew temu, co powiedział Adam Daniel Rotfeld, sądzę, że różnica w tym względzie między Polską a Ukrainą nie jest aż tak wielka. Dziedzictwo zróżnicowania Polski po zaborach jest nadal znaczące. Proszę mi wierzyć, pochodzę z byłego zaboru pruskiego i od pół wieku mieszkam w byłym zaborze rosyjskim. Można powiedzieć żartem, że jestem tu jak na dobrowolnym zesłaniu i wciąż odczuwam różnice. Ale kiedy poważnie analizuje się np. stopień wzrostu gospodarczego albo wyniki wyborów – zróżnicowania te trzeba brać pod uwagę.

Mam natomiast pytanie o proces przechodzenia od świadomości etnicznej do świadomości politycznej. Czy Ukraina w ogóle przechodzi taką drogę? Bo zróżnicowanie żywiołowe czy zastane nie jest dobrą rękojmą procesu tworzenia nowoczesnej świadomości narodowej. Jak to wygląda w polityce kulturalnej? W moim przekonaniu polityka państwa, choć nigdy się nią bezpośrednio nie zajmowałem, jest tutaj bardzo ważna. Wiemy, że nowoczesne narody tworzone w XIX wieku poprzez obowiązujące wykładnie akademickie, szkolne czy nawet przedszkolne: poczynając od wierszyka Władysława Bełzy *Kto ty jesteś? – Polak mały*, aż po pochodzący z końca XIX wieku spór warszawskiej i krakowskiej szkoły historycznej o przyczyny upadku Polski. Jak powinna wyglądać polityka kulturalna współczesnej Ukrainy? Czy możemy ją sobie wyobrazić jako proces, który zmierza od ukrainizacji do świadomości wielojęzyczności i wielokulturowości?

Zgadzam się z tym, co powiedzieli Andrij Portnow i Andrzej Nowak, że wszystko, o czym rozmawiamy, jest zjawiskiem dynamicznym. Nie ma takiego momentu, w którym możemy się zatrzymać i powiedzieć, że coś już zostało załatwione. Ale właśnie wskazanie tych wektorów ruchu czy przesuwania się jest ważne dla zrozumienia Ukrainy w Polsce.

W niezwykle ciekawej dyskusji ukraińskich kolegów zabrakło mi również podstawowego pytania o proces przechodzenia „od Małorosji do Ukrainy”, używając polskiego tytułu zbioru esejów Mykoły Riabczuka⁵. Jakie elementy są niezbędne, żeby zakończył się on sukcesem?

⁵ Mykoła Riabczuk, *Od Małorosji do Ukrainy*, wstęp i oprac. Bogumiła Berdychowska, przeł. Ola Hnatiuk, Katarzyna Kotyńska, Kraków 2002.

Heorhij Kasjanow:

Chciałbym poruszyć kwestię „agentów” czy też „kontragentów” różnych działań związanych z polityką pamięci. Bodajże 10 lat temu w Muzeum Etnograficznym we Lwowie odbywała się prezentacja książki Mykoły Riabczuka *Dwie Ukrainy*⁶. Uczestniczyli w niej wszyscy, którzy interesowali się problemem ukraińskiej tożsamości. Zmieściliśmy się w jednym pokoju. Pomyślałem sobie wówczas, że gdyby w tamtym pokoju wybuchła bomba, to na Ukrainie zakończyłyby się wszelkie dyskusje na temat naszej tożsamości. To tyle, jeśli chodzi o „agentów” polityki pamięci, ich liczbę oraz ewentualne wpływy przez nich wywierane.

Jeśli będziemy chcieli odpowiedzieć na pytanie, kto interesuje się tymi problemami, dla kogo one są ważne, to okaże się, że można wskazać kilkadziesiąt takich osób. Z tego właśnie środowiska ów temat trafia do mediów, zaczyna funkcjonować w społeczeństwie, wreszcie pojawia się w przestrzeni publicznej. Można by powiedzieć, że to dobrze, iż społeczeństwo poświęca uwagę pamięci historycznej. Jednak mam odmienne zdanie. W ewentualnym rankingu problemów pamięć historyczna nie sytuje się na pierwszym miejscu. Staje się ona ważna dla naszej wspólnej świadomości wskutek jej efektywnej instrumentalizacji przez wspomnianych wyżej agentów (a także przez polityków), a zatem zależy od ich zdolności brania na siebie odpowiedzialności za to, co się dzieje.

Jeśli zaś chodzi o polityków i prezydenta Wiktora Janukowycza, to prezydent działa na tym polu dość zrećnie. Z jednej strony, wyznaczył gadające głowy, wśród nich chociażby Wadima Kolesniczenkę i Dmytra Tabacznika, którzy niejako występują w imieniu jego partii politycznej, ale on sam nie zajmuje żadnego określonego pod względem politycznym stanowiska. Jest ponad tym wszystkim. Otóż mamy kilkudziesięciu intelektualistów i kilkunastu polityków. To wszystko. To środowisko dyskutuje o tych sprawach, tworząc narracje oraz praktyki ukraińskiej polityki pamięci.

⁶ Mykoła Riabczuk, *Dwi Ukrainy: realni meżi, wirtualni ihry*, Kyjiv 2003. Polskie wydanie: *Dwie Ukrainy*, przet. Marta Dyhas, Katarzyna Kotyńska i inni, Wrocław 2004.

W odpowiedzi na pytanie Dariusza Stoli mogę powiedzieć, że mamy na Ukrainie różne audycje, w których poruszane są tematy historyczne. W kijowskiej telewizji emitowany jest program *Kijowskie historie*. Wydawana jest gazeta „Den” – bardzo aktywna na tym polu.

Chciałbym, abyśmy od charakterystyki „agentów” i „kontragentów” (których w sumie naliczyliśmy może kilkadziesiąt osób) oraz tych, którzy tworzą przestrzeń medialną, przeszli do idei – jak ta pamięć jest formułowana i w jaki sposób podaje się ją odbiorcy? Zgadzam się z twierdzeniem, że pamięć to konstrukt, który stwarzamy razem, a potem przekazujemy dalej. Na Ukrainie mamy dwie wersje pamięci – inkluzywną i ekskluzywną. Pamięci w wersji inkluzywnej broni mniejszość wspomnianych intelektualistów. Natomiast większość zdaje się popierać ideę ekskluzywną. Mam wrażenie, że w tym tonie padła większość wypowiedzi, czego dobrą ilustracją był głos Mykoły Kniażyckiego, który mówił o tym, że opozycyjni deputowani nie chcą za czymś głosować, bo nie podoba im się stwierdzenie „Wielka Wojna Ojczyzniana”. Chcę przypomnieć, że właśnie ta nazwa pozostaje niezwykle ważna dla sporej części ukraińskiego społeczeństwa. I nie jestem pewien, czy właściwe jest robienie z tego faktu wielkiego problemu. Czy nie jest to przypadkiem instrumentalne traktowanie historii i pamięci?

Myrośław Marynowycz:

Jarosław Hrycak w jednej z dyskusji o pamięci postawił tezę, nawiązującą do doświadczenia hiszpańskiego, że problem Ukrainy mogłaby rozwiązać dobrowolna amnezja. Gdy ta teza padła, w niektórych kręgach rozpoczęła się dyskusja, czy coś takiego na Ukrainie jest w ogóle możliwe? Ta perspektywa może wydawać się bardzo prosta i pociągająca zarazem, zwłaszcza w kraju, który dzieli się coraz bardziej. Chyba nikt nie ma wątpliwości, że trzeba zakończyć spory, które pogłębiają podziały: o przeszłość, politykę pamięci i bohaterów narodowych. Ale wniosek z tych rozważań był pesymistyczny – nie ma szans, aby na Ukrainie zaistniała zgoda społeczna co do czegokolwiek. Nie jest do wyobrażenia – mówiło mi wielu – aby nastąpiła zgoda w gabinetach politycznych, ale nie ma na nią szans również wśród

ukraińskich intelektualistów. Ale ja – trochę w kontrze do tej diagnozy – mam przekonanie, że taka umowa na Ukrainie jest możliwa, pod warunkiem, że będzie to proces oddolny.

Przykładem tego jest wolność religijna. Na początku lat 90. ubiegłego stulecia nie było to na Ukrainie dla nikogo oczywiste – wolność dla mnie „tak”, ale dla człowieka innej wiary? To absurd, skoro on niesie zło, podczas gdy ja – dobro. Po 20 latach religijnych sporów i waśni nagle okazało się, że na Ukrainie panuje wolność religijna. Stało się czymś oczywistym, że przyjaźnię się z sąsiadem, który jest innego wyznania. Dlatego wierzę, że *consensus* na Ukrainie jest możliwy.

W odpowiedzi na pytanie o innych aktorów na polu polityki pamięci, chcę krótko powiedzieć o ukraińskich Kościołach. Ich rola w procesie pojednania polsko-ukraińskiego jest coraz ważniejsza i coraz bardziej pozytywna. Oczywiście pamiętamy o tym, że nasze Kościoły były w przeszłości – a do pewnego stopnia są i dzisiaj – czynnie zaangażowane w tworzenie ideologicznych koncepcji, które funkcjonują w ukraińskim życiu społecznym i politycznym. Przykładem tego jest дума Kościoła greckokatolickiego z odgrywania roli obrońcy narodu ukraińskiego. Inny przykład: Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Moskiewskiego. Jego działania nieraz wpisują się w rosyjski model ideologiczny. Ale jeszcze 20 lat temu pojawiły się pewne pozytywne tendencje, które dziś – widzę to coraz wyraźniej – dochodzą do głosu.

Znana jest mi dość dobrze sytuacja Kościoła greckokatolickiego. Wiem, że już 20 lat temu jego zwierzchnicy zastanawiali się nad tym, jak zrównoważyć elementy narodowo-twórcze z wartościami ewangelicznymi. Dziś można powiedzieć, że – poza drobnymi wyjątkami – w Kościele greckokatolickim dominuje perspektywa ewangeliczna. Dowodem na to jest również fakt angażowania się Kościoła w proces upamiętnienia zbrodni wołyńskiej i polsko-ukraińskie pojednanie. Przez długi czas byłem krytyczny w stosunku do tego, co wcześniej robił (albo czego nie robił) nasz Kościół. Miałem poczucie, że jest spóźniony w podejmowaniu różnych inicjatyw. Ale obecnie sytuacja się zmieniła. To Kościół greckokatolicki inicjuje ten

proces. Osobiście bardzo mnie to cieszy, bo Kościół proponuje Ukraińcom zmianę perspektywy patrzenia na nasze historyczne konflikty i bolesne doświadczenia. Oczywiście mówię głównie o zwierzchnikach Kościoła. Nie chcę idealizować rzeczywistości i mam świadomość uprzedzeń różnych księży czy krytycznych głosów na temat tego, co dzieje się na górze. Ale trzeba jasno powiedzieć, że dziś otwiera się zupełnie nowa perspektywa.

Dlaczego ta perspektywa jest dla mnie tak ważna? Bo w naszej historii mamy wiele trudnych doświadczeń, niezliczone ilości historycznych konfliktów i cierpienia: Wołyń, Wielki Głód, akcja „Wista”... Wiele moglibyśmy ich wymienić. Każdy ten konflikt i cierpienie jest trochę jak malowidła z Nazca. Ich sens można dostrzec tylko wówczas, gdy wzniesiemy się w górę. Jeśli ktoś jest na dole, widzi chaos kamieni i nic ponadto. Każdy patrzy na swoje kamienie – jedni na te, inni na inne. Ale w ten sposób nie da się dostrzec sensu, bo nie widzi się całości. Dlatego Kościół robi dziś bardzo ważną rzecz – wprowadza perspektywę, starając się spojrzeć na te trudne doświadczenia w innej płaszczyźnie, niejako z góry. Jedynej, która może pogodzić różne sposoby patrzenia i doprowadzić do porozumienia między naszymi narodowymi spojrzeniami.

Antin Borkowski:

Cieszę się, że Myrostaw Marynowycz mówi o tym, że w Kościele greckokatolickim zwycięża perspektywa ewangeliczna. Cieszę się, bo być może niebawem okaże się, że Kościół będzie jedyną ukraińską instytucją, która wyjdzie z tego sporu niesplamiona. Zaangażowanie (pewnych kręgów) Kościoła greckokatolickiego jest niezmiernie ważne i wiele od niego zależy. Choć trzeba pamiętać, że w Kościele są również środowiska, które patrzą na te działania krytycznie, i są duchowni, którzy uczestniczą w przedsięwzięciach organizowanych przez ukraińskich radykałów.

Chciałbym przypomnieć o jednym wprost fenomenalnym działaniu, które zostało dokonane w czasach Związku Sowieckiego w sferze polityki pamięci i które miało dużo większe znaczenie dla naszej historii, niż nam się zdaje. Mam na myśli film: *Chłodne lato 53-go* w reżyserii Aleksandra Proszkina,

film, który – zaryzykuję to twierdzenie – doprowadził do upadku Związku Sowieckiego. Ten film przypomniiał, jaka była rzeczywistość wojny i czasów powojennych. Bez żadnej propagandy czy kontrpropagandy okazało się, że każda radziecka rodzina mogła się w tym obrazie odnaleźć i upamiętnić swoje ofiary, a nie swoich bohaterów. Myślę, że ten film mógłby być bardzo dobrą lekcją dla Ukrainy. Swego czasu jeden z niemieckich klasyków napisał bardzo dobrą książkę dla dzieci pod tytułem: *Mój dziadek bohater i ja*, która wpisywała się w proces degloryfikacji nazizmu. To jest właściwy kierunek, w którym powinniśmy zmierzać.

Nie mogę pominąć problemu dzisiejszych partii politycznych i ich stosunku do historii. Jeżeli dominantą *Chłodnego lata 53-go* czy też dorobku takich osobistości jak Wałam Szałamow, Andriej Sacharow bądź też Myrosław Marynowycz była gotowość i pragnienie nazywania zła złem, to dzisiaj ukraińskie elity polityczne nie podzielają tego pragnienia.

W naszej dyskusji uczestniczy tylko jeden reprezentant ukraińskiego parlamentu – Mykoła Kniażycki. Cóż to oznacza? Oznacza to, że ma on obywatelską odwagę i wyróżnia się na tle ukraińskich polityków tym, że nie unika gotowości udzielania odpowiedzi na pytania. A ukraińscy politycy mają z tym ogromny problem. Swego czasu – *nota bene* z Mykołą Kniażyckim – starałem się uzyskać od Ołeksandra Turczynowa odpowiedź w sprawie stanowiska Batkiwyszczyny w jakiejś kwestii. Nie tylko, że nie otrzymałem odpowiedzi, ale posądzono nas o to, że jesteśmy agentami, bo zadajemy niewygodne pytania. Taka jest ukraińska rzeczywistość.

W tej naszej dyskusji dotykamy również problemu tolerowania zła. Mówiąc otwarcie, chodzi o tolerowanie postaw ekstremalnych: nacjonalizmu czy – używając ostrzejszych pojęć – faszystów. Z taką postawą mamy do czynienia na Ukrainie. Nie przyjmują tłumaczenia takiej postawy rosyjską manipulacją czy też zagrożeniem ze strony złej Moskwy. Chciałbym, aby nastąpiło jednoznaczne odcięcie się od pewnych zjawisk, nawet jeśli trzeba będzie zapłacić za to polityczną cenę. Ani UDAR, ani Batkiwyszczyna nie osądziły jednoznacznie ukraińskiego nacjonalizmu. Brakuje jednoznacznego odcięcia się od tego, co złe. Podczas dzisiejszej dyskusji nikt nie wspominał

o Irynie Farion i jej towarzyszach. Nikt nie wymienił jej obok Kolesniczenki. A przecież oni pracują w parze – obok apologetów jednej linii istnieją nie mniej zasłużeni obrońcy drugiej opcji. Są to osoby, które trzymają dyskurs publiczny w nieustannym napięciu, sztucznie nim manipulują i napędzają go. Naszym problemem nie są wstążki św. Jerzego, a ekstremiści i faszyci, których akceptujemy i głoszcimy po głowach. I którzy cieszą się na Ukrainie dziesięcioprocentowym poparciem.

Co zaś się tyczy zła. Jeśli rozmawiamy o Wołyniu i upamiętnieniu tej zbrodni, to zło trzeba nazwać złem. Dotyczy to zarówno ukraińskiej, jak i polskiej historii. Trzeba starać się przezwyciężyć narzucone przez „adwokatów” jednej i drugiej strony antagonizmy, w czym może pomóc tylko dobra wola. Byłoby wspaniale, gdyby w jakimś ukraińskim podręczniku znalazł się fragment książki Grzegorza Motyki, gdzie opisał on to, co wydarzyło się chociażby w Parośli podczas pierwszego rajdu OUN, które dopiero przekształcało się w UPA pod dowództwem Dowbeszki-Korobki⁷. Tragedia tego wydarzenia nie polega tylko na tym, że w Parośli zamordowano 150 osób. To, co poraziło mnie najbardziej w książce Motyki, to historia tak zwanego ogóreczka. Ukraińscy nacjonałiści zabijali Polaków i przybijali ich bagnetem do stołu, a w usta wkładali niedojedzony ogórek. Jeżeli chcemy mówić o Wołyniu, to trzeba przypominać również takie obrazy, z pełną odpowiedzialnością za nie. Wierzę, że jest to jedyny sposób, który może zatrzymać szaleństwo takich osób jak Kolesniczenko, Farion czy ks. Isakowicz-Zaleski.

Gdy na Ukrainie prezentowano książkę Grzegorza Motyki, w której można przeczytać m.in. o Parośli, padały oskarżenia, że chce on narzucić Ukraińcom polską wizję historii. Zarzucano mu, że postuluje się polskim dyskursem i jest polskim historykiem. Ja tę książkę przeczytałem i mogę powiedzieć, że jest to książka ukraińska. Napisana tak, jakby napisał ją ukraiński historyk.

⁷ Grzegorz Motyka, *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wista”*, Kraków 2011.

Wołodymyr Baran:

Chciałbym poruszyć jeden z niewielkich, ale bardzo istotnych fragmentów składających się na pamięć Ukrainy, istotnych dla naszej wspólnej polsko-ukraińskiej pamięci – czyli dramat na Wołyniu i w Galicji Wschodniej podczas drugiej wojny światowej. W pierwszych latach naszej niepodległości, aż do połowy lat 90., w historiografii ukraińskiej ten problem po prostu nie istniał. Jednak pod wpływem pracy polskich uczonych i historyków ta złożona i bardzo bolesna problematyka powoli zaczęła stawać się elementem naszej historiografii. W ciągu ostatnich 20 lat pojawiło się kilka podejść do tych wydarzeń, które hasłowo można streścić, mówiąc o „rzezi wołyńskiej” albo „konflikcie ukraińsko-polskim”.

Pierwsza interpretacja mówi o tym, że wydarzenia lat 1943–1945 na ziemiach Ukrainy Zachodniej były wyrazem żywiołowego niezadowolenia ukraińskiej ludności, przede wszystkim chłopów, które miało swoje źródła m.in. w polityce władz II RP. Druga interpretacja widzi w tych wydarzeniach przemyślane działania. Część ukraińskich historyków jest przekonana, że napady oddziałów UPA na polskie wsie były oparte na rozkazach dowódców tych formacji na terenie Wołynia, przede wszystkim Kłyma Sawura. I wreszcie trzecie podejście, według którego część ukraińskich historyków uznaje, że działania przeciwko polskiej ludności były inspirowane przez najwyższe kierownictwo OUN-UPA i wiązały się z określonymi pryncypialnymi zasadami ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego, będącego ideologią integralnego nacjonalizmu.

W ciągu 20 lat, jakie upłynęły od momentu, gdy ukraińska historiografia dostrzegła problem, pojawiła się potrzeba głębszej analizy tych wydarzeń. Nie tylko po to, by ustalić fakty, ale również po to, by dokonać ich oceny. Co więcej, w dyskusjach historyków (przynajmniej niektórych środowisk) obserwujemy pewne zbliżenie w ocenach między polską i ukraińską historiografią.

To polska historiografia i sposób, w jaki ta kwestia była traktowana w polskim życiu społecznym i politycznym, zmotywowały nas do podjęcia badań, w tym także zainteresowania się ukraińskimi ofiarami. To może wydawać się paradoksalne, ale dopiero pod koniec lat 90. ubiegłego wieku

na Ukrainie rozpoczęły się badania ukraińskich strat w Galicji i na Wołyniu. Druga kwestia to niezapomniane seminaria polskich i ukraińskich historyków *Trudne pytania*⁸. Były one dla nas niezwykle ważne. Ustalano na nich rozbieżności, a same seminaria tworzyły perspektywę do prowadzenia dalszych badań. Dzisiaj bardzo nam brakuje tamtych spotkań. Gdy nie rozmawiamy, a zmienia się sytuacja społeczno-polityczna, to następuje pewna polaryzacja podejść i naturalne wzmocnienie rozbieżności. Chciałbym przypomnieć to bardzo dobre doświadczenie współpracy.

Wiaczesław Briuchowiecki:

W przypadku krajów naszego regionu – mam na myśli przede wszystkim byłe republiki radzieckie, w mniejszym stopniu Polskę – realne zmiany w pamięci historycznej nastąpią wtedy, kiedy odejdą ludzie, których ukształtowała epoka radziecka. Można różne rzeczy opowiadać, ale nie wierzę nikomu, kto mówi mi, że już jako pionier walczył z komunistami. Czegoś takiego nie było. Wszyscy przechodziliśmy przez różne etapy i dopiero z czasem rozumieliśmy, czym naprawdę był system, w którym żyliśmy. Często nie mamy nawet świadomości, jak głęboko w nas siedzi sowieckość. W dyskusjach o polityce historycznej nie można o tym zapominać.

Ola Hnatiuk:

Zacznę od komentarza do wypowiedzi Heorhija Kasjanowa, którą można streścić zdaniem: *uzok krug etich rewolucjonierow i straszno daleki oni ot naroda*. Nie pierwszy raz sprzecam się z nim na ten temat i tracę nadzieję, że kiedyś dojdziemy do porozumienia. Ale przez moment spróbujemy uwierzyć, że rzeczywiście jest tak, jak twierdzi Heorhij Kasjanow: mamy do czynienia z bardzo wąskim kręgiem intelektualistów zainteresowanych tematyką, o której rozmawiamy. Wystarczyłoby pozbyć się ich wszystkich i nastalby święty spokój, bo reszty społeczeństwa ta kwestia w ogóle nie interesuje.

⁸ Seria 12 seminariów historyków polskich i ukraińskich, organizowanych w latach 1996–2006 przez Światowy Związek Żołnierzy AK i Związek Ukraińców w Polsce. Materiały z tych spotkań zostały wydane w XI tomach z serii *Polska–Ukraina. Trudne pytania* w latach 1998–2009.

Uważam, że to absurd. Jeśli wszyscy zgadzamy się co do tego, że kwestie dotyczące historii są wykorzystywane w bieżącej polityce i dyskusjach między ukraińskimi politykami – które przypominają scenę z polskiego wierszyka: *Złapał Kozak Tatarzyną, a Tatarzyn za łeb trzyma* – to przecież to wszystko odbywa się w polu wyborczym. Jeśli tak jest, to trudno uwierzyć, że społeczeństwa te kwestie w ogóle nie interesują.

Odpowiadając na pytanie Dariusza Stoli o innych aktorów, którzy zabierają głos w ukraińskiej dyskusji o pamięć, to rola Kościołów jest niejednoznaczna. Inna jest postawa Kościoła Patriarchatu Moskiewskiego, inna Kościoła Patriarchatu Kijowskiego, a jeszcze inna Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Jeśli zastanawiamy się nad tym, jaką rolę odgrywają media, to ja – znowuż w przeciwieństwie do Heorhija Kasjanowa – jestem przekonana, że media nie odgrywają tutaj żadnej roli. Przeciwnie, odczuwam wielkie *vacuum*. Nie można mówić, że gazeta „Den” (nakład dziesięciokrotnie mniejszy niż „Gazety Wyborczej”) ma istotny wpływ. A organizacje społeczne – w moim przekonaniu jest ich niewiele, a z tych, które biorą na siebie taką rolę, i to w ograniczonym stopniu, robi to Międzynarodowa Fundacja Odrodzenia. Warto odnotować inicjatywy społeczne, takie jak: *Historians.in.ua* czy *Istoryczna Prawda*. Ale trudno porównać to z sytuacją, z którą mamy do czynienia w Polsce. Robią to entuzjaści, nie dlatego, że są amatorami, bo to działania niezwykle profesjonalne, ale prowadzą te wszystkie działania pozainstytucjonalnie, bez wsparcia państwa, niejako poza nim. W ten sposób wracamy do podstawowego problemu – na Ukrainie nie ma woli i determinacji, aby instytucjonalnie wspierać politykę pamięci. Niby powstał ukraiński Instytut Pamięci Narodowej, ale dziś jego stan jest po prostu żałosny. Takich przykładów można wskazać więcej.

Wielokrotnie wspomiano tutaj o próbach przywrócenia radzieckiej narracji. Woląabym użyć innego pojęcia i mówić raczej o narracji imperialnej. W tym miejscu trzeba odwołać się do empatii i wrażliwości. Jeśli na Ukrainie stawia się pomnik Suworowa, który wyrznął w pień mieszkańców wybrzeża Morza Czarnego, to ciekawi mnie, co ten pomnik ma tak naprawdę upamiętniać – czy nie zdobycze imperialnej Rosji? Z ręki Suworowa ginęła

ludność tatarska i turecka, w zależności od tego, którą część wybrzeża Morza Czarnego zdobywał. Podobnie jest ze stawianiem pomników Katarzynie II, z których każdy jest pomnikiem imperialnej pamięci Rosji.

W moim przekonaniu pluralizm nie wyklucza *consensusu* i jest on możliwy do osiągnięcia, nawet przy wielowątkowej i bardzo zróżnicowanej pamięci poszczególnych regionów.

Na koniec chcę dodać, że nie mogę wybaczyć Wiktorowi Juszczenko dekrety dotyczącego Bandery. Jednak uważam za nadużycie ocenę, że jego polityka pamięci była najbardziej szkodliwą w historii Ukrainy. Zapominamy o najważniejszej rzeczy, którą udało mu się zrobić: upamiętnieniu Wielkiego Głodu. Jeżeli Juszczenko zapamiętamy tylko Bandere, to wymażemy coś, co jest w tej chwili istotnym elementem ogólnoukraińskiej pamięci narodowej.

Część II

Polityka tożsamości i pamięci w Polsce

Andrzej Friszke

Pamięć w centrum uwagi

Zajmę się polską polityką pamięci po 2000 roku i porównaniem z poprzednią dekadą. Nie będę natomiast odnosił się do problemu pamięci historycznej przed 1989 rokiem.

Przede wszystkim po roku 2000 zaszły w elitach politycznych, intelektualnych i publicystycznych istotne zmiany sposobu myślenia o polskiej przeszłości. Zmiany te nakładają się na podziały polityczne, które po 2000–2004 (można spierać się o konkretną datę) stały się w Polsce niezwykle ostre. Dotyczyły one m.in. stosunku do przeszłości. Jednak kontrowersje, z jakimi mieliśmy (i nadal mamy) do czynienia, nie obejmują okresu przed 1939 rokiem, zatem II RP, pierwszej wojny światowej, powstań narodowych – te wydarzenia nie funkcjonują w sferze publicznej. A nawet jeśli się pojawiają, są to incydenty podporządkowane temu, co budzi prawdziwe emocje, czyli wydarzeniom drugiej wojny światowej i wszystkiemu, co po niej nastąpiło. W tym kontekście m.in. prezentowane są bardzo stanowcze, a często kontrowersyjne opinie.

Ten problem dobrze widać na przykładzie relacji polsko-ukraińskich. W zasadzie w polskiej debacie nie porusza się niezwykle istotnych w polsko-ukraińskiej historii wydarzeń z dwudziestolecia międzywojennego oraz kwestii związanych z wojną lat 1918–1919, lecz skupia się uwagę niemal wyłącznie na okresie drugiej wojny światowej. Wyjątkiem są prace specjalistyczne, często bardzo wartościowe, ale nie nimi tu się zajmujemy.

Tymczasem te wątki, związane z dwudziestolecie, były szeroko obecne w polskich dyskusjach lat 90. ubiegłego stulecia i wówczas stanowiły podstawę budowania w Polsce refleksji nad stosunkami polsko-ukraińskimi w pierwszej połowie XX wieku. Z kolei w ukraińskiej świadomości właśnie te wydarzenia są niezmiernie ważne jako kontekst zbrodni na Wołyniu. To „rozmijanie się” obu debat bardzo utrudnia wspólną dyskusję.

Nowe instytucje

Po roku 2000 powstały w Polsce nowe instytucje. Ich pojawienie się spowodowało, że gdy mówimy o problemie pamięci, stosunku do tradycji i przeszłości, to nie znajdujemy się jedynie w kręgu dyskusji akademickich, społecznych czy publicystycznych, ale dotykamy problemu działania instytucji państwowych, które stały się nośnikami pewnego przekazu i kształtowania wyobrażeń. Wymienić należy w tym miejscu Instytut Pamięci Narodowej, instytucję o bardzo dużym potencjale organizacyjnym, dużych możliwościach wydawniczych, edukacyjnych, wystawienniczych i mającą wpływ na nauczanie w szkołach. Inną instytucją jest Muzeum Powstania Warszawskiego, którego działalność koncentruje się na powstaniu 1944 roku, ale bardzo silnie wpływa na konstruowanie szerszych wyobrażeń o przeszłości, Armii Krajowej i o losie Polaków w czasie drugiej wojny światowej. Kolejną instytucją stanie się nadal budowane Muzeum II Wojny Światowej. Jest ono znacznie słabsze niż dwie wcześniej wymienione instytucje, ale poprzez seminaria i publikacje już teraz uczestniczy w polskim dyskursie o pamięci.

Oczywiście istnieją również instytucje o charakterze prywatnym. Wśród nich na uwagę zasługuje przede wszystkim Ośrodek „Karta”, który zaczął działalność jeszcze w podziemiu w latach 80., ale jego rola jest dziś coraz słabsza wobec siły organizacyjnej wymienionych instytucji. Historia „Karty” jest dobrą ilustracją tego, co stało się w ostatnich latach z polską polityką pamięci. Nieprzerwanie od końca lat 90. Ośrodek „Karta” ma ogromne problemy finansowe, z czym wcześniej nie mieliśmy w takim stopniu do czynienia.

W Polsce istnieje wreszcie wiele rozmaitych przekazów lokalnych, środowiskowych, m.in. w postaci organizacji kombatanckich, które nie słabną, mimo że kombatanów praktycznie już nie ma wśród żyjących. Są środowiska lokalne, które problem pamięci historycznej traktują jako niezwykle istotny element oddziaływania na krąg bezpośredniego otoczenia. Szersze omówienie tego problemu wymagałoby jednak głębszej analizy. Chcę zaznaczyć, że takie zjawisko istnieje.

Na to wszystko nakłada się wspomniany już podział polityczny Polski, który nasilił się dramatycznie po 2005 roku. Powoduje on trudność rozmowy o wielu sprawach pomiędzy wyznawcami jednej bądź drugiej opcji, zwłaszcza ich skrajnymi skrzydłami.

Ofiara czy sprawca?

Jestem coraz bardziej przekonany, że stosunek do przeszłości i historii zajął w Polsce to miejsce, które kiedyś zajmowała – w sensie klasycznym – ideologia polityczna. Kiedyś można było podzielić Polaków na lewicę i prawicę, przyjmując za punkt wyjścia spory na tematy ekonomiczno-społeczne. Spierano się o społeczeństwo, jego strukturę czy politykę gospodarczą. Obecnie te podziały nie są aż tak istotne i nie wywołują silnych emocji. Okazuje się natomiast, że najważniejszy i najbardziej różniący ludzi w sensie ideowym jest spór o historię i tradycję. Z punktu widzenia historyka jest to sytuacja dość kłopotliwa, bo poza sporem o fakty i ich interpretację pojawia się perspektywa generalna, która dotyczy systemu wartości, a zatem nie da się jej uzgodnić w dyskusji.

W tym kontekście niestychanie ważnym wydarzeniem dla polskiej debaty publicznej była sprawa Jedwabnego. To był początek lat dwutysięcznych, kiedy w przestrzeni publicznej pojawiła się historia zbrodni dokonanych przez Polaków na żydowskich sąsiadach w 1941 roku. Przez Polskę przetoczyła się olbrzymia dyskusja, zarówno w mediach, jak i środowiskach intelektualnych – postawiono pytania o to: jak odnosimy się do naszej przeszłości i tradycji, czy zawsze byliśmy narodem męczenników i ofiar, a może również oprawcami? Padały pytania o to, co mamy z takiej przeszłości pamiętać

i jak się do niej odnieść? Andrzej Nowak obrazował wówczas te dyskusje pytaniem: o czym mówić najpierw – o Jedwabnem czy o Westerplatte¹? Czy chcemy budować tożsamość i świadomość narodową w oparciu o pamięć i kult żołnierzy polskich z Westerplatte, którzy w 1939 roku przez siedem dni stawiali samotny opór zmasowanemu atakowi niemieckiemu, czy też przede wszystkim będziemy pamiętali o naszych winach wobec innych? Z tym ostatnim wiązała się obawa – podnoszona głównie przez publicystów – o to, co zdominuje polską samoświadomość. Czy przypadkiem nie stanie się tym przeświadczenie, że jesteśmy nic niewartymi oprawcami, kolaborantami i tchórzami lub – o grozo! – zbrodniarzami? Pojawilo się pytanie o świadomość i tożsamość narodową, poczucie dumy z naszej przeszłości bądź jej brak.

Ten spór od razu został wpisany w kategorie konfliktu światopoglądowego i dylemat, na czym mamy budować naszą tożsamość. W ten sposób nastąpiło znaczące rozejście się optyki i wartościowania – o czym pisać, co pomijać, a co nagłaśniać? Jak konstruować Muzeum II Wojny Światowej? Jaka powinna być rola i polityka IPN-u? Z tym związane jest pytanie, które po raz pierwszy tak dobitnie postawił Jan Tomasz Gross w swej książce *Sąsiedzi*²: czy opisując dramatyczne wydarzenia z przeszłości, mamy przyjąć optykę ofiary, czy też szukać jakiegoś zobiektywizowanego, pozbawionego emocji sposobu patrzenia, a może wręcz przyjąć optykę morderców? Gross bardzo mocno opowiedział się za optyką ofiary. Uważam, że to właśnie ta perspektywa oraz świadectwo cierpienia są dziś nadrzędne w sposobie patrzenia na dramatyczne wydarzenia z przeszłości.

To samo pytanie dotyczy wydarzeń wołyńskich. Sprawa jest oczywista – optyka ofiar jest perspektywą dominującą, ich świadectwo jest świadectwem najważniejszym, a ocena moralna tych wydarzeń pozostaje jednoznaczna. Nie możemy pozwolić sobie na relatywizowanie problemu ofiar i ich tragedii, bo nie pozwala nam na to system wartości. Wręcz przeciwnie – zobowiązania wobec przeszłości i pomordowanych rodaków wymuszają

¹ Andrzej Nowak, *Westerplatte czy Jedwabne*, „Rzeczpospolita”, 1 sierpnia 2001.

² Jan Tomasz Gross, *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Sejny 2000.

sytuację, w której ofiary stają w centrum opisu i refleksji nad historią. To jest kwestia pewnego metodologicznego ujęcia, które w stosunkach polsko-ukraińskich ma szczególnie głęboki i skomplikowany kontekst. Właśnie ta perspektywa – przyjęcie punktu widzenia ofiary – bardzo mocno wpłynęła na sposób refleksji i opisywania zdarzeń w ostatnich latach.

Z tymi dylematami wiąże się również zakwestionowanie sposobu myślenia, który dominował w Polsce w latach 90. ubiegłego stulecia. Myślenia najpełniej sformułowanego przez Jana Józefa Lipskiego w jego ogłoszonym w 1981 roku eseju *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy*³. Lipski zakwestionował wówczas myślenie w kategoriach egoizmu narodowego (świadomie używam skrótu myślowego, który – mam nadzieję – nie wzbudzi nieporozumień). Nie wolno patrzeć – pisze Lipski – na stosunki między narodami w kategoriach egoizmu i dowartościowywania tego, co nasze. Powinniśmy raczej szukać perspektywy, która pozwoli nam uwrażliwić się na naszych partnerów, a więc dostrzegać nasze winy i nieprawości, krzywdy, które zadaliśmy sąsiadom. Ten sposób myślenia przez lata dzielił Jacek Kuroń – zwłaszcza w relacjach polsko-ukraińskich. Kuroń traktował nasze relacje jako szalenie ważne i miał do nich bardzo osobisty stosunek. Jeszcze na długo przed 1989 rokiem z jego ust padały ważne deklaracje, inicjował spotkania oraz akcje adresowane do polskiej opozycji, które stworzyły fundament pod polską politykę wobec Ukrainy w latach 90. Jednak od 2000 roku ten sposób myślenia jest coraz częściej kontestowany. Przypomnę, że w perspektywie Kuronia najistotniejsze nie było pytanie, kto ilu zabił: „naszych zabito sto tysięcy, a my zabilśmy ledwie dziesięć”. Kuroń protestował przeciwko takim rachunkom. Dzisiaj natomiast takie obliczenia zdają się stanowić centrum debaty, jako element bilansu i poniekąd punkt, od którego powinno się zacząć rozmowę o Wołyniu.

³ Jan Józef Lipski, *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy (uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków)*, Warszawa 1981.

Tożsamościowa historiografia

W latach dwutysięcznych zatem nastąpiło przestawienie paradygmatu myślenia i oceny zjawisk. Skoro problem ofiar stał się problemem centralnym, to ich liczba wydaje się niezmiernie ważna. Jest to kwestia silnie obecna w naszych dyskusjach historycznych, również dotyczących Wołynia. Patrząc na to zjawisko dość krytycznie. Bo od jakiegoś czasu nasze rozmowy o przeszłości i o wydarzeniach sprzed lat prowadzimy w sposób „tożsamościowy”. Słowo to zrobiło w swoim czasie karierę w kontekście politycznym, są „pisma tożsamościowe” i „tożsamościowa publicystyka”, a teraz pojawiła się też „tożsamościowa historiografia”. Czyli taka, która służy określaniu własnej tożsamości i stosunku do przeszłości, konstytuuje i umacnia Polaka pewnej orientacji i jego stosunek do: tradycji, państwa, idei europejskich, nieeuropejskich, chrześcijańskich, niechrześcijańskich *etc.* Narzucenie dyskursu „tożsamościowego” zakłada wyrazistość w traktowaniu przeszłości, a opowieść o niej staje się fundamentem „wychowania narodowego”. Takie zjawiska bardzo utrudniają wejście w zaproponowaną przez Lipskiego perspektywę otwartego dialogu między narodami.

Kończąc, chcę zaznaczyć, że w polskich elitach nastąpiło też inne przesunięcie. Przeszłość i historia, również ta najbardziej tragiczna, stały się ważne dla ugrupowań politycznych, które same siebie określają jako prawicowe. Dla pozostałych są to tematy niezbyt ważne. Nie mam na myśli jedynie lewicy, która w ogóle takimi sprawami się nie zajmuje. A jeżeli nawet to robi, to wychodzą z tego kabaretowe rzeczy, jak chociażby w lewicowym piśmie „Przegląd”, gdzie w sprawach polsko-ukraińskich prezentuje się stanowisko, które można określić jako skrajnie prawicowe. Natomiast rządząca Platforma Obywatelska przeszłością ani polityką historyczną w ogóle się nie interesuje. Nie zabiera głosu w dyskusji o ideach, historii i wartościach wyprowadzanych z przeszłości. Natomiast dla ugrupowań prawicowych są to kwestie fundamentalne.

Dyskusja

Andrzej Nowak:

Andrzej Friszke używa terminów „lewica”, „prawica”. Co znaczą te pojęcia? – chciałbym zapytać. Czy na przykład Mieczysław Moczar był prawicowcem? Czy można tak powiedzieć? W pewnym sensie zapewne tak. Jednak wówczas te pojęcia się zacierają. I jeśli Andrzej Friszke stwierdza, że „lewicowe” czasopismo mówi o Ukrainie podobnie jak „prawica”, jest to też dalekie uogólnienie w stosunku do „prawicy”. Przez 18 lat wydawałem „prawicowy” dwumiesięcznik „Arcana”. I proszę mi wskazać choć jeden artykuł o sprawie ukraińskiej, który nie wpisywałby się w to, o czym mówił Jacek Kuroń. Przy wszystkim innym, co nas od Kuronia różniło. Te ogólne kwantyfikatory mogą być mylące.

Ciekawa jest teza zaproponowana przez Andrzeja Friszkego, że pierwsze lata po odzyskaniu niepodległości wyraźnie różnią się od tego, co nastąpiło potem. A zatem, z punktu widzenia pamięci, mamy dobre lata 90. oraz gorsze i bardziej konfliktowe lata ostatniej dekady. Jako cezurę Andrzej Friszke wskazał spór o Jedwabne. To rzeczywiście był punkt zwrotny. Warto jednak zastanowić się nad przyczynami tej zmiany. Wytlumaczeniem nie jest chyba to, że pojawiło się kilku złych polityków czy historyków bądź publicystów, którzy doszli do głosu i zniszczyli publiczną debatę w Polsce. Na świecie zmieniło się wiele rzeczy. Przypomnijmy lata 90. – to jest perspektywa końca historii. Warto podkreślić wielkie nadzieje, które pojawiły się przynajmniej

w naszej części Europy – „idziemy wszyscy na Zachód. Na ten dobry Zachód, który wygrał zimną wojnę. Idziemy z nadziejami ku lepszemu światu. Idziemy nie sami. Idą z nami Ukraińcy, Rosjanie. Idziemy razem. Wszyscy w jednym kierunku”. Najpierw okazało się, że Rosja niekoniecznie jest tym zainteresowana, a potem weszliśmy do UE bez Ukrainy. I raczej tej Ukrainy tam nie chcemy (a ściślej nie chce jej większość „starej” Europy). W konsekwencji na naszym kontynencie pojawiła się nowa, wyraźna granica. Niespełnione nadzieje zmieniły perspektywę patrzenia na historię, przede wszystkim dla tych Ukraińców i Rosjan, którzy liczyli na zbliżenie z Europą na warunkach, jakie oferował ów koniec historii.

A nasza perspektywa? W 1999 roku wstąpiliśmy do NATO i zaczęliśmy naszą obecność w Sojuszu od bombardowania Serbów. To był moment przebudzenia. Okazało się, że historia wcale się nie kończy, ale trwa w najlepsze. Potem były Irak, Afganistan, podział na nową i starą Europę. Nagle jakby ożyło wiele historycznych spraw. Okazało się, że tak naprawdę nastąpił koniec „końca historii”.

Pojawia się jeszcze jeden argument – Rosja już nie stawia sobie pytania, czy wejdzie do tego świata „końca historii”. Wręcz przeciwnie, deklaruje, że nie chce do niego wstępować, i suwerennie odrzuca tę perspektywę. Co więcej, chce utrzymywać w świecie swoją odrębną strefę, która dotyczy myślenia o przeszłości i o teraźniejszości na zasadzie ochrony swoistej sfery imperialnej. Ukraina sytuuje się na granicy tej przestrzeni, którą wyraźnie stara się zaznaczyć Władimir Putin. Dla nas to też jest sytuacja, w której nie do końca możemy się odnaleźć.

Jest wreszcie jeszcze jedna różnica między latami 90. a tym, co nastąpiło po roku 2001. Potrzebujemy czasu, aby zmierzyć się z traumą doświadczenia ofiar. Aby tę traumę „przepracować”, jak mówią wciąż modne teorie psychologiczne pamięci, potrzeba najpierw uznania – tak jest: publicznego uznania samej ofiary i samej traumy. Trzeba powiedzieć i uznać głośno, że była wielka zbrodnia ukraińska na dziesiątkach tysięcy niewinnych Polaków – za to tylko, że byli Polakami. Nie chować tego w imię takiej czy innej „politycznej poprawności”. Dopiero po takim publicznym uznaniu,

po swoistym publicznym wysłuchaniu skargi wspólnoty pamięci ofiar (ich rodzin), może nastąpić kolejna faza: „oczyszczenia”. Dla tych ludzi zza Bugu, którzy dzisiaj mieszkają na Dolnym Śląsku, to jest najważniejsze. Oni nie chcą zabierać Lwowa czy wracać do Drohobycza, chcą tylko, żeby przywrócono im w przestrzeni publicznej pamięć o tym, że urodzili się właśnie tam i zostali stamtąd wypędzeni. W latach 90. nie było miejsca na taką pamięć, bo był to czas „końca historii”, który jakoś wiązał się także z „grubą kreską”. Nie chcę wprowadzać do naszej dyskusji publicystycznego tonu, ale uważam, że istniał związek między tymi dwiema koncepcjami – jest nadzieja, więc idziemy naprzód, nie oglądając się na to, co zostało w tyle. Tymczasem traumy nieopłakanych ofiar – czy to z czasów sowieckich, czy z drugiej wojny światowej – wróciły i przypomniaty o swoim istnieniu.

Andrzej Friszke zauważył, że „lewica” nie mówi o historii i nie lubi o niej mówić. Jest po temu konkretny powód. Lewica instytucjonalnie funkcjonuje od czasów PRL i jest jej kontynuacją, dlatego każda dyskusja o historii stanowi zagrożenie, bo jest rozliczeniem ostatnich 50 lat. A dla „prawicy” – umownie mówiąc – taka dyskusja jest wygodniejsza, bo można bezpiecznie atakować „lewicę” za przeszłość.

Te nasze dyskusje o pamięci są więc różnie uwarunkowane. A w ostatnich 10 latach wszystko wybuchło ze zdwojoną siłą. IPN przypomina dziś zbrodnie stalinowskie i wiele innych, o których w latach 90. mówiono ciszej albo nie mówiono wcale. Z różnych zapewne powodów, ale Muzeum Powstania Warszawskiego nie powstało w latach 90. Mamy naprawdę dużo tematów, które były wówczas wyciszone. Nie twierdzą, że celowo, ale było to związane ze specyfiką tamtych czasów.

Na to wszystko wreszcie nakłada się wspomniana już sprawa Jedwabnego, która dokonała ważnego przewartościowania. W Polsce jest ono także odbierane w kontekście tego, co wydarzyło się w krajach sąsiedzkich. Padają pytania: czy do podobnego przewartościowania doszło na Ukrainie bądź na Litwie? Czy dyskutowano o tym, jaka jest proporcja udziału tych społeczeństw w zbrodniach na Żydach? Słusznie zostały przywołane słowa Jacka Kuronia o niemierzalności zbrodni, ale dla prawdy historycznej pozostaje

ważne, jaki jest procent litewskich uczestników zbrodni w Ponarach i jaka była skala tej zbrodni, a jaka skala zbrodni w Jedwabnem. Czy na Litwie podjęto taką dyskusję? Jak wygląda dyskusja na Ukrainie o zbrodniach z udziałem Ukraińców podczas drugiej wojny światowej, gdzie ofiarami byli Żydzi? To również jest kontekst, w którym się poruszamy.

Kolejnym elementem tego kontekstu jest niezwykle agresywna polityka historyczna Rosji, która zbrodnię w Jedwabnem rozděła do gigantycznych rozmiarów. Gdy Polacy podnosili kwestię Katynia, w odpowiedzi słyszeli, że zapominają o tym, jak w 1920 roku planowo mordowali rosyjskich jeńców (straszny historyczny fałsz!), a następnie Żydów. Niemiecka polityka historyczna również wygrywa takie spory, co widzimy aż nazbyt dobrze. Mamy więc do czynienia z kontekstem zewnętrznym – agresywnych polityk historycznych i poczucia, że my dyskutujemy o trudnych tematach, a nasi sąsiedzi nie bardzo chcą je podejmować.

Oczywiście całkiem inna jest perspektywa moralna. To, co mówię, można uznać nawet za niestosowne, bo nie powinno nas w ogóle obchodzić, co robią inni, tylko powinniśmy rozliczyć się z trudną przeszłością. Ale właśnie takie są społeczne uwarunkowania różnych elementów, które składają się na kontekst naszej dyskusji o pamięci.

Niedawno rozmawiałem o tym z Antonym Polonskim, który w fundamentalnej pracy o historii Żydów¹ daje wyraz swojemu rozczarowaniu, że do dyskusji o zbrodniach na Żydach doszło w Polsce, a w krajach, których narody w nieproporcjonalnie większym stopniu uczestniczyły w Zagładzie, jak Litwa czy Ukraina, wciąż na nią czekamy. Chcę podkreślić, że nie mam o to pretensji ani do Litwinów, ani do Ukraińców, bo to wymaga czasu. Myśmy mieli swoje państwo i nam łatwiej było do tej dyskusji doprowadzić. Jednak trzeba pamiętać, że Ukraińcy i Litwini tej dyskusji nie unikną. Natomiast my nie mamy prawa, by ich do tego przynaglać.

Jeszcze jedna uwaga o triadzie Raula Hilberga „ofiary–sprawcy–świadkowie”. Niezmiernie ważne jest w niej to, aby pamiętać, iż niejednokrotnie sprawcy są jednocześnie ofiarami albo nawet ofiary mogą się przedzierzgnąć

¹ Antony Polonsky, *The Jews in Poland and Russia*, vol. 1–3, Oxford–Portland 2009–2011.

w sprawców. Na tym polega paradoks Europy Wschodniej, że ten region padł ofiarą dwóch zbrodniczych systemów, które bezwzględnie wykorzystaty mieszkające tu narody. Jeśli o tym zapomnimy, to nigdy nie dojdziemy do porozumienia w sprawie Wołynia. Bo tam ofiary zabijały ofiary. Oczywiście ci, którzy zabijali w okrutny sposób, byli sprawcami, byli zbrodniarzami – to jest jasne. Byli sprawcami, będąc jednocześnie ofiarami. I właśnie dlatego, walcząc o swoje, stali się sprawcami.

Zdecydowanie popieram krytykę „tożsamościowych historiografii” i „tożsamościowych gett”, z którymi mamy w Polsce do czynienia. Mam nadzieję, że jest to tylko jakiś etap, przez który musimy przejść. I zadaję sobie pytanie, co zrobić, by to wyjście z gett przyspieszyć. A jest to konieczne, aby na nowo odzyskać przestrzeń publiczną. Bo jeśli żyjemy w ideologicznych gettach, to nie ma czegoś takiego, jak przestrzeń publiczną, bo mówimy tylko do swoich i tylko swoich słuchamy. A nie ma rozmowy między nami.

Wyjątkowo jednak nie zgadzam się z Aleksandrem Smolarem, który często podkreśla, że wyjście z gett zapewni demokratyczny *consensus*. Uważam, że ten *consensus* jest niezwykle trudny do osiągnięcia. Wątpi w to również np. Chantal Mouffe. I chyba bardziej potrzebna jest nam zasada wrażliwości, o której mówił we wcześniejszej dyskusji Andrij Portnow², czy innymi słowy: zasada wzajemności – ja wysłucham ciebie, ty wysłuchasz mnie, ale nie narzucamy sobie nawzajem poglądów. Oczywiście ta zasada ma granice, o których mówił z kolei Myrośław Marynowycz³. Kiedy rzecz dotyczy bezwarunkowego zła, tego nie można słuchać obojętnie. Jednak różnice spojrzeń na pamięć historyczną są dopuszczalne i tak pozostanie, jeśli nie chcemy wywoływać napędzającego złe emocje strachu o to, że ktoś zabierze nam naszą pamięć i narzuci swoją.

² Zob. wypowiedź Andrija Portnowa w niniejszej publikacji, s. 32–34.

³ Zob. wypowiedź Myrośława Marynowycza w niniejszej publikacji, s. 53–55.

Andrij Portnow:

Andrzej Nowak ma rację, mówiąc, że Ukraina czeka na swoje Jedwabne. Niestety, jestem przekonany, że nie ma szans na to, by w najbliższym czasie taka debata na Ukrainie się odbyła. Polskie Jedwabne i to wszystko, co zostało powiedziane wokół książki Jana Tomasza Grossa⁴, było ciosem w sedno polskiego *consensusu* o drugiej wojnie światowej. W przypadku ukraińskim jakakolwiek publikacja trafia w niezwykle skomplikowany kontekst wewnątrzukraińskiej walki różnych narracji i zawsze będzie przez nie wykorzystywana. Oznacza to, że ukraińska dyskusja o Holocauście musi mieć zupełnie inny charakter. Jedynym miejscem, gdzie dzisiaj się o tym rozmawia, są zamknięte środowiska intelektualne.

Należy podkreślić, że znajomość polskich debat historycznych jest na Ukrainie znikoma. Po ukraińsku publikowane są nieliczne teksty polskich autorów. Nie ma ukraińskiego tłumaczenia książki Grossa czy odpowiedzi na nią, tekstów o powstaniu warszawskim lub o Muzeum Powstania.

Za każdym razem jestem pod ogromnym wrażeniem, gdy w Polsce wchodzę do księgarni i widzę te niewyobrażalne ilości dodatków historycznych do każdej gazety. Na Ukrainie nie ma czegoś takiego. Zadają sobie pytanie: czym można to zjawisko wytłumaczyć? Dlaczego Polacy chcą czytać o historii? Ani na Ukrainie, ani w Rosji nie ma czegoś podobnego.

Nie przestaje mnie dziwić również to, jak łatwo i bezrefleksyjnie polscy autorzy używają słów: „my” i „nasze”. „Myśmy zabili”. „Nas zabijano”. I robią to wszyscy, niezależnie od opcji politycznej. Rzuca się to w oczy we wspólnych zbiorach tekstów polskich, ukraińskich, niemieckich. Autorom ukraińskim nie przychodzi tak łatwo napisać: „myśmy podczas drugiej wojny zrobili to i to”. Natomiast Polacy nie mają z tym problemu. Ta sztuka automatycznego utożsamiania się z historią jest niewiarygodnie ciekawa i odróżnia Polaków od Ukraińców, Rosjan czy Niemców.

Jestem również niezmiernie ciekaw, czy z polskiej perspektywy dostrzeżone jest coraz częstsze funkcjonowanie „języka kresowego” w polskich publikacjach medialnych. Obserwuję to z perspektywy Niemiec. Moi studenci

⁴ Jan Tomasz Gross, *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Sejny 2000.

nie mogą uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. I dziwią się, gdy pokazuję im w Berlinie okładkę polskiego czasopisma „Uważam Rze. Historia” pod tytułem: „Polesie – polski Madagaskar”, i to wykonaną w duchu klasycznego dyskursu europejskiego kolonializmu w Afryce. We współczesnych Niemczech bądź we Francji byłoby to raczej nie do pomyślenia. A w Polsce widzę tego coraz więcej. Czy była kiedykolwiek dyskusja na ten temat?

Robert Traba:

Najczęściej, chcąc się pozytywnie zdefiniować jako grupa, szukamy negatywnego punktu odniesienia. Norbert Elias nazywał to *beschmutzte Sinngebung*. Nadajemy „brudne znaczenie” jakiejś „marginalnej grupie”, przez odniesienie do której chcemy się pozytywnie zdefiniować. Na przykład mówimy, że zbrodni niemieckich nie popełnili Niemcy, ale „naziści”. Tę kwestię badał m.in. Harald Welzer. Przed kilkoma laty prasę niemiecką obiegły zdjęcia niemieckich zbrodniarzy wojennych poza ich „normalną pracą” w obozach koncentracyjnych czy zagłady, przedstawiające np. Josefa Mengele na spacerze z papierosem, jego żonę z dzieckiem. Dominujące frazy w podpisach prasowych odwoływały się do metafory „kaci w wolnym czasie”. W odbiorze społecznym mogło to znaczyć, że to nie byli Niemcy, a nieokreśleni „oni” – wynaturzeni zbrodniarze. Tyle że ponad 90 proc. tych „onych” było normalnymi obywatelami niemieckimi. Z czymś podobnym mamy do czynienia też, w innym kontekście, w Polsce. To jest zjawisko uniwersalne. Komunizmu nie zrobiliśmy my, tylko „Żydzi”, „sowieci”, „bol-szewicy”. Jedwabne to „margines społeczny”. To też nie my. Za to Konstytucja 3 maja to już „nasze dzieło”, chociaż *de facto* świadomość zaistnienia tego wydarzenia miał promil ówczesnego społeczeństwa.

Odnoszę wrażenie, że popełniamy błąd, gdy próbujemy porównywać procesy pamięciowe na Ukrainie i w Polsce jako równoległe czasowo zjawiska. One nie przystają do siebie. Podobnie błędem byłoby porównywanie stanu polskiej pamięci z niemiecką. To upraszcza nasze dyskusje. Dlatego przestrzegam przed takimi prostymi analogiami, bo jesteśmy w różnych miejscach debaty i mamy do tego prawo.

W periodyzacji Andrzeja Friszkego trzeba wyraźnie podkreślić znaczenie lat 90. ubiegłego stulecia – jeszcze przed otwarciem tego monologicznego sporu, który zdominował polską rzeczywistość po 2004/2005 roku. Bynajmniej nie chodzi o to, aby gloryfikować lata 90. i mówić o nich, że były lepsze. Wówczas panowała trochę nienazwana polityka historyczna, ale ona istniała, czego ewidentnymi przykładami są zmiana nazewnictwa ulic, przywrócenie godła i burzenie pomników – symboli reżimowych rządów. Brak scentralizowanej, monolitycznej polityki historycznej był naturalną reakcją na „centralizm demokratyczny” PRL-u. W końcu mało kto po okresie komunizmu wyobrażałby sobie, że mogłaby nagle pojawić się jakaś centralna polityka pamięci.

Wydarzenia, które spowodowały przelom, to nie tylko Jedwabne, ale także dyskusje wokół niemieckiego Centrum przeciwko Wypędziom. Pojawił się bodziec zewnętrzny i nagle z dwóch stron – od wewnątrz i od zewnątrz – Polacy zostali nazwani sprawcami, co stało w jawnej sprzeczności z faktycznymi doświadczeniami wojennymi i wywołało naturalną reakcję sprzeciwu. W konsekwencji po 2004 roku ustanowiony został niepisany dyskurs „hegemonialny”: „Musimy pisać afirmatywnie o Polsce, bo inni widzą nas źle. Trzeba się temu przeciwstawić”. To błędne założenie. Siłą tego, co na zewnątrz uchodzi za pozytywne, może być bowiem jedynie wewnętrzna debata. A nasza wewnątrzpolska debata jest dziś niezwykle słaba. Nie ma też jednej przestrzeni dialogu, w której mogłaby się ona odbyć. Co prawda jest ileś scen, na których przemawiają różni mówcy, ale nie prowadzą oni żadnej rozmowy, tylko monologi. Można w tym miejscu przywołać Chantal Mouffe i jej tezę o agonistycznym społeczeństwie. Aby tę debatę przeprowadzić, potrzebne są demokratyczne struktury, których w Polsce ciągle brak. Potrzebny jest rzeczywisty dialog, a nie antagonistyczne wykluczanie.

Andrzej Nowak zwrócił uwagę na nikły stan wiedzy. To ważne spostrzeżenie. Stąd wielkie wezwanie historyków do polityków zwane „apелеm z Blois” (2008) – chcemy więcej wiedzy, bo z wiedzą można inaczej kształtować, również pamięć. Pytanie tylko, czy politycy tego potrzebują?

Przecież my w tej socjotechnice budowania pamięci potrzebujemy jedynie symboli, za którymi nic nie musi się kryć, poza pewnym – niepopartym żadną wiedzą – wrażeniem. To jest niebezpieczeństwo, w obliczu którego powinniśmy zgłosić swój sprzeciw.

Krzysztof Pomian wprowadził kiedyś podział na historię: urzędniczą, rewizjonistyczną i krytyczną. Moglibyśmy odwoływać się do tej historii krytycznej, bo zarówno preferowana przez państwo historia urzędnicza, czyli ta *ex cathedra*, jak i historia rewizjonistyczna, która stara się jej przeciwstawić, prowadzą do wykluczania. Z góry bowiem przyjmują założenie, że istnieje konflikt pamięci, a nie dialog pamięci. Natomiast historia krytyczna zakłada dialog, do którego powinniśmy dążyć. Dlatego też jestem przeciwny mitologizowaniu Europy Środkowo-Wschodniej jako idei wspólnego losu i wspólnej pamięci.

Dariusz Gawin:

Polska telewizja publiczna pokazała w ostatnich dniach kontrowersyjny niemiecki serial *Nasze matki, nasi ojcowie*⁵, poświęcony drugiej wojnie światowej. Dla polskich odbiorców był to szok. Zobaczyli, że w tym filmie Armię Krajową przedstawiono jako organizację, która przez całą wojnę walczy na równi z Żydami, jak i z Niemcami. Krytycznie o filmie wypowiedzieli się nie tylko prawnicy publicyści, jak Piotr Semka, ale także m.in. Adam Krzemiński, czołowy publicysta tygodnika „Polityka”. Przywołuję te nazwiska, by pokazać, że szok był ponad politycznymi podziałami. Zresztą w tym serialu pojawia się również wątek ukraiński i warto przyjrzeć się, jak Niemcy przedstawiają Ukraińców. Myślę, że ukraińska publiczność miałaby podobne uczucia. Ta cała sytuacja wokół filmu pokazuje, jak ważny dla polskich debat o pamięci jest kontekst międzynarodowy i sposób, w jaki on się zmienia po 2000 roku.

Mamy tutaj kilka czynników. Po pierwsze – sprawa Jedwabnego i wpływ, jaki miała ona na polską opinię publiczną. Spory wokół odpowiedzialności za

⁵ *Nasze matki, nasi ojcowie (Unsere Mütter, unsere Väter)*, reż. Philipp Kadelbach. Trzyczęściowy miniseriał wojenny wyprodukowany w 2013 roku przez telewizję publiczną ZDF.

ten mord zbudowały pewne ramy narracyjne dla kwestii Holocaustu, który wydarzył się na polskiej ziemi. Po drugie, to jest kwestia Eriki Steinbach, o której wspominał Robert Traba. Nie należy o tym zapominać. Szok wywołany serialem *Nasze matki...* był podobny temu, jakiego doświadczyliśmy na początku lat dwutysięcznych. Zobaczyliśmy wówczas, w jaki sposób Steinbach chce opowiedzieć historię XX wieku. Na ogół koncentrujemy się na tym, co się nam nie udało, ale miewamy też wspólne sukcesy – 10 lat wyężonej pracy całego *spectrum* polskiej opinii publicznej spowodowało, że Centrum przeciwko Wypędzeniom cały czas nie powstało. Dopiero teraz zaczyna się je tworzyć, ale będzie ono wyglądać inaczej, niż chciała Erika Steinbach jeszcze przed kilku laty.

Wreszcie należy wymienić rok 2005 i szok wywołany przez sposób, w jaki Władimir Putin urządził uroczystości rocznicowe zakończenia drugiej wojny światowej. Rosyjski prezydent dokonał wtedy swoistej intronizacji neostalinowskiej polityki historycznej. Sposób, w jaki opowiedział o tym, co wydarzyło się podczas drugiej wojny światowej, był powtórzeniem stalinowskiej propagandy historycznej.

Z tej perspektywy widać, że Polska jak zawsze leży w czasie i przestrzeni między Rosją a Niemcami. W związku z tym pojawiła się polska odpowiedź na to wyzwanie w postaci polityki historycznej na początku lat dwutysięcznych. Używając pewnych skrótów, można powiedzieć, że Polska leży pomiędzy posthistorycznymi, postnowoczesnymi Niemcami i przednowoczesną Rosją. W tym sensie z jednej strony sąsiadujemy z Rosją, która swoją imperialność rozumie w sensie XIX-wiecznym, a z drugiej z Niemcami, które mają inną wizję własnej historii, ale także proponują inny rodzaj budowy powiązań między tożsamością społeczeństwa a wspólnotą polityczną, w której to społeczeństwo żyje. Dlatego Niemcy egzekwują swój sposób widzenia historii i wizerunek tego, jak powinien wyglądać ponowoczesny świat. Wspomniany serial był doskonałym tego przykładem – został zrealizowany przez niemiecką telewizję publiczną i sprzedany do wielu krajów Europy. Nie jest to więc problem stosunków polsko-niemieckich, lecz wizja historii, która będzie krążyła po całej Europie i nie tylko.

Mamy zatem do czynienia z kolejną okolicznością – Polska leży między Niemcami a Rosją i musi odpowiadać na skrajnie różne polityki. Inna polityka historyczna płynie do nas z Moskwy, inna z Berlina. Biorąc to pod uwagę, okazuje się, że Ukraina jest dla nas, niestety, mniej ważna. W polskich debatach wątek ukraiński jest pochodną polityk historycznych oddziałujących na nas ze Wschodu i z Zachodu.

Dobrym przykładem są tegoroczne obchody rocznicy tragedii wołyńskiej. Państwo polskie, poddawane naciskom ze Wschodu i z Zachodu, stara się być powściągliwe wobec Ukrainy. Oczywiście politycy mówią różne rzeczy, ale na poziomie państwa jest inaczej. Pada nawet wiele zarzutów pod jego adresem, że robi zbyt mało. Ta powściągliwość wynika z geopolityki naszego regionu i przekonania, że pewne rzeczy mogą szkodzić naszym stosunkom z Ukrainą i działać na korzyść Rosji.

Andrzej Friszke zwrócił uwagę, że w Polsce po 2000 roku zaczęto tworzyć muzea narracyjne. Do instytucji wymienionych przez niego należy dodać także Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku, które ma opowiadać nie tyle historię związku zawodowego, ile całą historię Polski po drugiej wojnie światowej z uwzględnieniem ruchów dysydenckich całej Europy. Jest Muzeum Historii Żydów Polskich, którego budynek został niedawno otwarty. To kolejny etap „odrabiania” lekcji po Jedwabnem. Powstała wielka instytucja, która już cieszy się ogromnym zainteresowaniem. W Gdyni powstaje Muzeum Emigracji. Okazuje się, że samorządy 200-tysięcznych miast chcą wydawać duże pieniądze na muzea narracyjne.

Z tym zjawiskiem związane jest również wejście polityki pamięci do popkultury. Nie byłoby historycznych dodatków do „Newsweeka” czy jakiegokolwiek innej gazety, gdyby ludzie nie chcieli tego kupować. Po prostu dziś jest na to popyt i można na tym zarobić. Producenci, którzy produkują filmy komercyjne, zajęli się tym tematem. W Polsce niezwykle popularny jest serial *Czas honoru*, który kształtuje wyobraźnię historyczną Polaków, a dodatkowo jest niezwykle dochodowy.

W polskich warunkach często koncentrujemy się na sporach, zapominając, jak nieraz nieoczekiwanie dochodzi się do zgody, niejako przez

przypadek. Polacy od lat narzekali, że III RP nie ma momentu założycielskiego – takim punktem nie stały się okrągły stół ani powołanie rządu Tadeusza Mazowieckiego. Przez długie lata 4 czerwca, czyli dzień, w którym Sejm i Senat w 1989 roku zostały wybrane przez okazję, był traktowany po macoszemu. A dzisiaj nagle 4 czerwca staje się nieformalnym świętem. Ciekawe, że prawica, która przed 10 laty ostro krytykowała brak pamięci o zwycięstwie nad komunistami, dzisiaj, kiedy władze państwowe podejmują się organizacji rocznicowych uroczystości, uważa, że jest to święto fałszywe, bo zwycięstwo to było niezupełne. Tymczasem łącznie z 4 czerwca ustalili się kanon pamięci, który nazwałbym ostatecznym zwycięstwem pamięci solidarnościowej. Główne daty, jakie się w Polsce obchodzi, układają się w ciąg pamięci, który można określić „pamięcią solidarnościową”. Prawica zawsze będzie zarzucać Bronisławowi Komorowskiemu, że jego działania są tylko pustą formą, ale 10–15 lat temu nie udało się ustalić nawet formy. Dzisiaj nagle ona się ustaliła i obejmuje 4 czerwca oraz strajki sierpniowe. Co charakterystyczne, z tego kanonu wypadły daty bliskie idei demokratycznego socjalizmu – nie ma ani 1905 roku, ani wydarzeń z 1956 roku.

Henryk Wujec:

Nie wiem, czy Andrzej Friszke zbyt przesadnie nie wykreślił linii polskich podziałów. Czy rzeczywiście tak bardzo dzieli Polaków stosunek do tego, co stało się po 1939 roku? Co do opisu wcześniejszych wydarzeń, to zasadniczo zgadza się zarówno prawica, jak i lewica. Natomiast ostre podziały dotyczą tego, co wydarzyło się po 1980 roku. Czy Wałęsa przeskoczył mur, czy to komuniści przywieźli go do Stoczni? Na czym miało polegać działanie opozycji w stanie wojennym? Czy należało czekać na upadek systemu, czy siadać z władzą do rozmów przy okrągłym stole? Te wydarzenia są bardzo różnie oceniane i w wielu środowiskach wzbudzają kontrowersje. Najtrudniej ocenić nam właśnie ten okres naszej historii.

Staram się nie postrzegać historii tylko jako dziejów walk, lecz raczej szukam szans na pojednanie. To jest dla mnie najważniejsze. Rozmawiając

z Ukraińcami, mogą przekreślić stare spory i boje, i szukać miejsca, gdzie możemy się pogodzić. Choć jest to bardzo trudne. Ten moment pojawienia się procesów pojednania jest dla mnie najważniejszy. Nie chodzi tu o jakieś wielkie oświadczenia, tylko np. o moment, kiedy otwarto granicę po upadku komunizmu i rzeka ludzi ruszyła. Zaczęto ze sobą rozmawiać, kontaktować się na placach, wymieniać towary i gesty. W ten sposób pękł stereotyp Ukraińca–rezuna i to był początek autentycznego procesu pojednania.

A historia? Ona jest wszędzie – w relacjach polsko-ukraińskich, polsko-białoruskich i polsko-litewskich. Jeśli nie poruszymy trudnych problemów, to pojednania nie będzie. Dlatego patrzę na dyskusję wokół Wołynia jak na szansę. I myślę, że mimo różnic będziemy w stanie odnaleźć wspólną perspektywę.

Najtrudniej było nam z Niemcami. Pochodzę z terenów Zamojszczyzny, gdzie podczas drugiej wojny Niemcy brutalnie pacyfikowali całe wsie. Byłem z rodziną w Majdanku. Dla nas trauma niemiecka jest najważniejsza, to jest moje osobiste doświadczenie, które wciąż żyje w mojej pamięci. I może nie bardzo rozumiem, że bolszewizm mógł być też tak straszny. To prawda, kołchozy były groźne, ale chłopcy mogli ich unikać, to trwało krótko, i przeżyć. Natomiast nie rozumiem, dlaczego uroczystości poświęcone niemieckiej okupacji nie budzą takiego zainteresowania jak rocznica 17 września 1939 roku. Oczywiście dla mnie 17 września jest równie ważny jak 1 września. Jednak odnoszę wrażenie, że zapominamy o niemieckich zbrodniach. Natomiast doświadczenia sowieckie zdają się coraz silniejsze. Może właśnie dlatego łatwiej było doprowadzić do polsko-niemieckiego pojednania, w którym zasadniczą rolę odegrał list biskupów z 1965 roku.

Jeśli natomiast rozmawiamy o pojednaniu polsko-rosyjskim, to odnoszę wrażenie, że wszyscy się go boją. Nie ma szukania wspólnej wizji. Brak nawet odwołań do tradycji wspólnej opozycji antykomunistycznej. A przecież polscy opozycjoniści czerpali z doświadczeń radzieckich dysydentów. Zanika doświadczenie rosyjskiej inspiracji w budzeniu się polskich dążeń wolnościowych. I jestem przekonany, że historia powinna pomóc nam znaleźć miejsce do spotkania, zrozumienia i pojednania. Zwłaszcza tam, gdzie my

mamy z tym trudności, jak w relacjach polsko-ukraińskich i polsko-rosyjskich. Historycy i politycy mają tu wiele do zrobienia.

Andrzej Mencwel:

Jest prawdą – o czym mówił Andrzej Friszke – że w ostatnich latach spór o historię zastąpił spór o społeczeństwo. Dlaczego doszło do takiego uprzywilejowania przeszłości? Wydawało się, co było iluzją, że problematyka społeczno-gospodarcza została rozstrzygnięta przez powrót do wolnego rynku, „budowę kapitalizmu”, jak to nazywano. Pozostały tylko zagadnienia ilościowe: otwarcie na wspólny rynek europejski, dalsza prywatyzacja, podatek liniowy itp. „Wzrost PKB” stał się więcej niż zasadniczym, bo dla niektórych jedynym i rozstrzygającym miernikiem rozwoju gospodarczego utożsamionego ze społecznym. Ale cały dyskurs neoliberalny, oparty na takich uproszczeniach, właśnie się wyczerpuje – kryzys pokazał, że relacje między rynkiem, gospodarką i społeczeństwem są bardziej skomplikowane, a nawet i to, że państwo nie jest już ekonomicznym suwerenem na swoim terytorium. Aby podjąć problematykę współczesną w jej całej złożoności, trzeba będzie powrócić do prawdziwych debat społecznych, kulturalnych i politycznych. Wtedy okaże się, że to całe zainteresowanie przeszłością, które tak zadziwia naszych ukraińskich kolegów, jest swego rodzaju magicznym zauroczeniem, które raczej oślepia, niż objaśnia.

Rozumiem, że kiedy Andrzej Friszke mówi o lewicy i jej braku zainteresowania historią, ma na myśli hasło Aleksandra Kwaśniewskiego: „wybierzmy przyszłość”. Oznaczało ono *de facto* „przekreślimy przeszłość” albo najlepiej „zlikwidujemy ją”, żeby nikogo nie uwierata. Funkcjonalnie to było zrozumiałe, nawet przyniosło sukces, lecz krótkotrwałe. Właściwa postawa lewicowa polega jednak na nieustannej krytyce przeszłości, a nie na jej porzuceniu, ponieważ bez refleksyjnej krytyki przeszłości nie może być lepszej przyszłości. Słabość polskiej lewicy nie polega na tym, że odrzuciła ona przeszłość, tylko na tym, że nie dokonując należytej krytyki przeszłości, nie przekazuje też żadnej wizji przyszłości. Co do mnie, to uważam, że

historia krytyczna jest znamieniem postawy lewicowej i taką historię staram się uprawiać. Ale nie po to, aby zasłużyć na uznanie lewicy oficjalnej, lecz aby być bliższym prawdy.

Jedno z zasadniczych pytań o polską świadomość brzmi: czym jest polska nowoczesność i jaka ona jest, a także jaką być powinna? Co to jest polska modernizacja i kiedy się ona zaczyna? Otóż modernizacja w Polsce nie zaczęła się po roku 1989, tylko 100 lat wcześniej, w okresie, który dobrze symbolizuje *Ziemia obiecana* Władysława Reymonta. Podczas tego stulecia następują kolejne etapy przekształcania się wewnętrznej substancji narodowej. Z narodu feudalno-stanowego powstaje, po różnych wstrząsach, wzlotach i zapaściach, naród zasadniczo plebejski i demokratyczny. O żadnym modelu tożsamości zbiorowej, patriotyzmu, polityczności i o niczym, co się z tym wiąże, nie można dorzecznie mówić, jeśli nie podejmuje się wysiłku rozumienia wewnętrznych przemian tej substancji narodowej. A cała ta problematyka została jeśli nie wyrzucona za burtę, to odłożona na boczny tor. Pozostały kalki, emblematy i feretrony rzekomej jedności wyznaniowo-narodowej. Polska egzaltacja niepodległości jest społecznie, czyli po ludzku, pusta, dlatego tak łatwo wyradza się w karykatury. Jestem przekonany, że problematyka społeczna musi powrócić w całej swojej ważności wraz z narastającą dyskusją o przyszłości modelu społeczno-gospodarczego. Jeśli zostanie ona naprawdę podjęta.

Jacek Kurczewski:

Chciałbym zwrócić uwagę, że jest inna perspektywa patrzenia na przeszłość, nie tylko historyka polskiego bądź ukraińskiego, lecz tak zwanej pamięci potocznej różnych grup. Jest to pewnego rodzaju historia „zlokalizowana”, która nierzadko pozostaje poza dyskursem elit intelektualnych czy sporów historyków.

W tej perspektywie konflikt polsko-ukraiński nie dotyczy Bohdana Chmielnickiego, lecz nie tak znowu dawnych wydarzeń na terenie przez jednych nazywanym Małopolską Wschodnią, a przez innych Ukrainą Zachodnią. Uczestnikami tego konfliktu byli i pozostają ludzie, którzy są zlokalizowani

na tym jasno określonym obszarze. Właśnie tam działy się rzeczy, które są przedmiotem odniesienia w tych sporach.

W przeciwieństwie do konfliktu polsko-niemieckiego, konflikt polsko-ukraiński został też „zrepresjonowany” i „stabilizowany” na dziesięciolecia. Trudno się więc dziwić różnicy emocji między konfliktem, o którym się mówi, pisze i który się pokazuje w filmach od 50 lat, a konfliktem, o którym dopiero od 20 lat wolno cokolwiek powiedzieć. To jest bardzo ważny czynnik, który sprawia, że żyjemy niejako w różnych czasach, w których oba te konflikty rozgrywają się w świadomości ludzkiej.

Tytułem uzupełnienia do wypowiedzi Andrzeja Friszkego. Gdy wspomina się o „Przeглядzie”, który pisze o Wołyniu w ten sam sposób, co prawica, trzeba pamiętać, że jest to pismo związane z losami Polaków zmobilizowanych podczas drugiej wojny światowej na terenach Ukrainy Zachodniej do armii gen. Berlinga. Dzięki niej udało im się uciec ze Związku Sowieckiego do Polski, a tu zostali rozproszeni razem z innymi przesiedleńcami. Ci ludzie mają za sobą pamięć lat niemieckiej okupacji, doświadczenie rzezi, a następnie udziału w walkach w Bieszczadach. I bronią tej swojej legendy, niezależnie od tego, czy są prawicowi, czy lewicowi. Zresztą Polska będzie musiała uznać tę kombatancką historię ludzi, którzy znaleźli się wbrew swojej woli w tym dziwnym „polskim” wojsku z orzełkami bez korony. To jest przykład tego, jak działa lokalna historia. Co ciekawe, tu „historia zlokalizowana” jest jednocześnie ruchoma, bo przecież to historia ludzi przesiedlonych.

Badalem miasteczko na Śląsku Opolskim, gdzie interesował mnie konflikt polsko-niemiecki. Okazało się, że 18 proc. mieszkańców to Polacy zza Bugu, z Ukrainy, nazywani zresztą przez miejscowych Niemców „Ukraińcami”. Ci zaś „Niemcy” *de facto* Niemcami nie są, a jedynie mówiącymi po polsku Ślązakami. Taka jest tamtejsza rzeczywistość. Robiąc te badania, pytałem o polsko-ukraińskie i polsko-niemieckie pojednanie. W ocenie 60 proc. mieszkańców dawno już doszło do pojednania polsko-niemieckiego. Natomiast w przypadku pojednania polsko-ukraińskiego większość uważa, że jest ono możliwe, jednak wciąż do niego nie doszło. Gdy pytałem: dlaczego?

– w odpowiedzi słyszałem o rzeziach i walkach polsko-ukraińskich. Nie można było tutaj odczuć nienawiści czy pretensji o wysiedlenia, natomiast pojawiały się pretensje o pamięć, a raczej jej brak. Ci ludzie chcieliby wreszcie powiedzieć na głos, co się wtedy wydarzyło.

Prowadziłem badania także w Drohobyczu. Większość moich rozmówców twierdziła, że pojednanie z Polakami już dawno jest za nami. Również miejscowi Polacy, których zostało raptem 700, są przekonani, że doszło do zamknięcia etapu jednania się z Ukraińcami. Natomiast tym, co łączy społeczność Drohobycza i śląskiego miasteczka, jest niewielki odsetek osób, które dopuszczają w ogóle możliwość pojednania z Rosjanami. W obu przypadkach jest to zaledwie 12 proc. To bardzo mało. I okazuje się, że trójkąt Polska–Rosja–Ukraina jest obecny nawet w lokalnej ludzkiej pamięci.

Ola Hnatiuk:

Mówiliśmy dziś o traumie i strachu przed utratą tożsamości. Znakomita większość moich ukraińskich kolegów pamięta pojęcie „*mankurtów*”. Jest to literacka metafora, która pojawiła się w końcu lat 80. ubiegłego stulecia i dotyczyła lobotomii, czyli czegoś, co dokonuje się przemocą i gwałtem. Była to w gruncie rzeczy metafora totalitarnej opresji – opowieść Czingiza Ajtmatowa o *mankurtach* (z powieści *I dolsze wieka dlitsia den* z 1980 roku). Otóż różnica między narracją narodową a opresją totalitarną dotyczy właśnie tego. Jedno nie jest totalitarne i przyjmuje się je w oparciu o pewien *consensus*, drugie wciela się przemocą. Trzeba mieć świadomość, na czym ta różnica polega i jakie są efekty tego typu działań.

W Polsce występują różnice regionalne, ale zazwyczaj mówimy o tym nieco żartobliwie, nie traktując tego w sposób aż nazbyt poważny, w stylu: „nie przenoście nam stolicy do Krakowa”. Natomiast według mnie jest to niezwykle poważna kwestia i pokazuje związki tej „małej” historii z polityką. Chodzi mi o przykład z polskiej kampanii prezydenckiej w 2005 roku z absolutnie skandalicznym chwytem czarnego PR w postaci „dziadka z Wehrmachtu” – co zarzucono Donaldowi Tuszkowi. Analogiczna sytuacja miała miejsce w przypadku kampanii wyborczej Wiktora Juszczenki, którego

oskarżono o to, że jego ojciec, siedząc w Oświęcimiu, kolaborował z Niemcami. Osadzenie w Oświęcimiu w interpretacji autorów tych pomówień miało być rodzajem kolaboracji. W ten sposób „przyprawiano gębę” Juszczence. Tego typu zabiegi są możliwe, ponieważ w naszej narracji dotyczącej drugiej wojny światowej dominuje, albo bardzo długo dominowała, perspektywa Generalnej Guberni. To się zmienia powoli i zaczęły się te zmiany stosunkowo niedawno. Jednak poszły one w niespodziewanym kierunku. Otóż owa narracja zaczęła uwypuklać to, co się działo na „kresach”, nie objęła natomiast ziem, które zostały przemocą wcielone do III Rzeszy (np. „Kraj Warty” czy Górny Śląsk). Podam przykład tego, jak narracja narodowa uniemożliwia podjęcie badań, ważnych nie tylko z punktu widzenia historyka. Kilka lat temu okazało się, że nie ma sposobu, aby zainteresować instytucję taką jak Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa losem osób pochodzących ze Śląska czy z Pomorza, będących Polakami wcielonymi do Wehrmachtu, a po drugiej wojnie światowej uwięzionych w obozach. Ich historie nikogo nie interesują i pozostają poza główną narracją. Dlatego uważam, że kiedy mówimy o spójnej polskiej narracji, to musimy pamiętać o tym, że ta narracja jest spójna, bo opuściliśmy i przeoczyliśmy w niej coś niestychanie istotnego.

Druga kwestia, na którą pragnę zwrócić uwagę, jest chyba najbardziej kontrowersyjna i dotyczy ujęcia w cudzysłowie słowa „kresy”. Mówił kiedyś o tym dość szeroko Andrzej Nowak w rozmowie z Romanem Szporlukiem, stawiając pytanie, czy Polska była imperium⁶.

Doskonale ilustruje to uwaga Andrija Portnowa o „polskim Madagaskarze”. A jest to przykład czegoś, co istnieje i nie wzbudza wstydu – polski dyskurs kolonialny. Nacjonalizacja historii, która dokonała się w XIX wieku, w tym również nacjonalizacja przestrzeni i przypisywanie polskości czemuś, co tej polskości samo w sobie nie niesie.

Mam na myśli pojęcie pochodzące z XIX wieku i stanowiące element dyskursu kolonialnego, a mianowicie mówienie o „misji cywilizacyjnej”.

⁶ Czy Polska była imperium? – rozmowa z Romanem Szporlukiem, w: Andrzej Nowak, *Od imperium do imperium. Spojrzenie na historię Europy Wschodniej*, Kraków–Warszawa 2004, s. 337–355.

W latach 30. XX stulecia ukraiński publicysta Iwan Kedryn-Rudnycki oświadczył na łamach „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”: „Panowie, przestańcie nam mówić o myśli cywilizacyjnej”. Wywołało to wściekłość jego adwersarzy. Tymczasem z ukraińskiego punktu widzenia to pojęcie było czymś obraźliwym.

Kończąc, odwołam się do prac Daniela Beauvois⁷, francuskiego historyka, który przez to, że chciał „położyć kresom kres”, jest traktowany w Polsce przez część środowiska historyków z dużym dystansem, oraz do Larry’ego Wolffa i jego *Inventing Eastern Europe*⁸, książki w Polsce nieobecnej i nieprze czytanej. Wolff w interesujący sposób pokazuje, jak dokonuje się „wynalezienie” pojęcia Europy Wschodniej i jak pojawia się rozróżnienie na „my” i „oni”. Wszystko, co było przedmiotem krytyki oświecenia, w oczach oświeconych znalazło się w Europie Wschodniej: brud, nieczystość i niedouczenie. Tak wyglądała Europa Wschodnia z perspektywy zachodnioeuropejskiej wśród francuskich i niemieckich oświeconych. W psychologii ma to nazwę projekcji. Ten mechanizm funkcjonuje także wtedy, gdy mowa o udziale w zamieszkach rzekomego „marginesu”, „kiboli”, „chuliganów”. Na mechanizmie projekcji opiera się także marginalizowanie czy bagatelizowanie nawet najstraszniejszych wydarzeń: „to nie my, to nie myśmy mordowali, tylko lumpenproletariat” (przykładowo: to rzekomo męty społeczne wyszły na ulice 4 lipca 1941 roku i dokonały pogromu na Żydach we Lwowie).

Dariusz Stola:

Chciałbym powiedzieć o kilku cechach charakterystycznych dla pamięci historycznej w Polsce, patrząc na nią „od dołu”. O jednej z nich wspominał już Andrij Portnow: niebywały popyt na książki i dodatki historyczne. Dla mnie pozostaje tajemnicą, jakie są źródła tego popytu. Jednak ważne jest jego istnienie oraz towarzyszące mu przekonanie, że przeszłość jest ważna,

⁷ Zob. np. Daniel Beauvois, *Polacy na Ukrainie 1831–1863. Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie*, przeł. Ewa i Krzysztof Rutkowscy, Paryż 1987; tegoż, *Trójką ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793–1914*, przeł. Krzysztof Rutkowski, Lublin 2005.

⁸ Larry Wolff, *Inventing Eastern Europe. The Map of Civilization on the Mind of the Enlightenment*, Stanford 1994.

może być ciekawa i warto o niej czytać. Chciałbym zwrócić uwagę – o tym jeszcze nie mówiono – także na siłę i rolę narracji prywatnych, osobistych opowieści o przeszłości, które są odrębne i nierzadko przeciwstawiają się narracjom oficjalnym czy też elitarnym. To jest dziedzictwo PRL-u i, być może, również zaborów. Zawsze zastanawiało mnie, skąd jako nastolatek wiedziałem o Katyniu. Przecież nie dowiedziałem się o tym z książek, ale ktoś mi o tym opowiedział. To indywidualne opowiadanie historii trwa do dziś. Zajmuję się stosunkami polsko-żydowskimi oraz polsko-żydowską pamięcią i, mimo dużych zmian w polskiej historiografii, w świadomości wielkich grup społecznych podobne zmiany zachodzą wolniej czy inaczej, niekiedy w zgoła innym kierunku. Wielość i różnorodność narracji o przeszłości jest rzeczą naturalną i dobrą, lecz ich rozbieżności powinny zwrócić naszą uwagę.

Andrzej Friszke, podkreślając rozróżnienie na lata 90. i to, co nastąpiło po roku 2000, jak rozumiem, nie miał na myśli tego, że polityka historyczna pojawiła się dopiero w nowym stuleciu. W latach 90. polityka historyczna była rozproszona. Zmiana polegała na jej centralizacji czy też recentralizacji, bo ostatni raz centralizowana była w okresie PRL-u. Przy czym nie sądzę np., aby Lech Kaczyński jako prezydent Warszawy podejmował decyzję o budowie Muzeum Powstania Warszawskiego jedynie z myślą o zбициu na tym kapitału politycznego. Zdaje mi się, że jego decyzja podyktowana była pewnymi pryncypiami. Później natomiast wielu polityków zauważyło, że na inicjatywach takich jak Muzeum Powstania Warszawskiego można ten kapitał zyskać, a konkurencja między nimi i dynamika funkcjonowania mediów doprowadziły niektórych z nich poza dopuszczalne granice wykorzystywania przeszłości. Uczucia, jakie w Polakach budzi przeszłość, to potężna siła, którą łatwo nadużyć.

W związku z tym zagrożeniem mam pytanie: wyobraźmy sobie przestrzeń – dla jednych to będzie agora, a dla innych rynek – gdzie podnoszone są różne głosy o przeszłości, jaka ona była i co z tego dla nas wynika. I nagle pojawiają się politycy, którzy z mówienia o przeszłości chcą uczynić scentralizowaną misję państwową. Do tej pory tę misję wypełniało wiele

podmiotów: Kościoły, grupy regionalne, stowarzyszenia, tradycje rodzinne itd. Zamiast polifonii ma powstać monolit. To niebezpieczna tendencja.

Wielkim zagrożeniem dla polityki historycznej w naszej części świata jest dziedzictwo komunizmu. Chodzi mi o pokutujące przekonanie, że jeżeli pojawia się problem, a pełna krzywd i poniżeń przeszłość jest przecież naszym problemem, to najlepszym rozwiązaniem ma być powołanie „ministerstwa ds. tego problemu”. Pamiętajmy, że komunizm to nie tylko dyktatura komunistycznej monopartii i podległość Moskwie, ale także niespotykany wcześniej etatyzm: upaństwowienie wielkich obszarów życia społecznego, które w swych założeniach miało być całkowite, czyli totalne. Przecież właśnie od tej cechy reżimu pochodzi nazwa „totalitaryzm”. Dyktatura upadła, podległość się skończyła, ale wiara w etatyzm pozostaje zaskakująco silna. Jej przykładem jest Instytut Pamięci Narodowej, który został powołany jako rodzaj „ministerstwa ds. trudnej przeszłości”. Instytut ma kilka pionów, ten zajmujący się badaniami i edukacją publiczną jest jednym z mniejszych, ale liczy sobie kilkuset pracowników i dysponuje ok. 20–30 mln złotych budżetu rocznie. Czyli ma więcej sił i środków niż wszystkie akademickie instytuty historii najnowszej razem wzięte.

Dlaczego o tym wspominam? Uważam, że najważniejsze są reguły, według których różne podmioty pamięci wzajemnie dyskutują, a nawet się zwalczają. Dbanie o nie jest zadaniem wspólnym, narodowym, czyli zadaniem państwa. Dlatego państwo powinno unikać łączenia roli regulatora i uczestnika sporów. Ten, kto strzeże reguł, powinien być bezstronny. Na boisku potrzebny jest sędzia, który nie gra w żadnej z drużyn. Państwo nie powinno brać czyjejś strony, lecz pilnować przestrzegania ogólnych reguł dyskusji na polu sporów o przeszłość. Oczywiście chodzi mi o bezstronność w pewnych szerokich ramach, a nie absolutną – taka nie jest ani możliwa, ani wskazana. Pochwała zbrodni, nawet wyłożona w najbardziej elegancki sposób, nie mieści się w ramach, któreśmy w naszej cywilizacji wypracowali. Aby wyjaśnić, o czym mówię, sięgnę do przykładu zagospodarowania terenu jednego z obozów koncentracyjnych w Niemczech, gdzie przed wojną więziono komunistów i inne ofiary partii nazistowskiej. Po wojnie

władze radzieckie, a potem władze NRD więziły tam całkiem inne osoby. Przedstawiciele tych dwóch różnych grup więźniów mieli prawo domagać się upamiętnienia w tej samej przestrzeni obozu, lecz bynajmniej nie darzyli się sympatią. Pojawił się prawdziwy dylemat: jak pogodzić tak rozbieżne perspektywy, i to w tym samym miejscu. To się może zdawać niemożliwe, ale Niemcy wypracowali pewne rozwiązanie, i to nie tylko dla tego pojedynczego przypadku. Wyartykułowali mianowicie ogólną formułę zwaną formułą Faulenbacha, ułatwiającą decyzje w podobnych przypadkach, gdy się gdzieś w Niemczech powtórza. Nie zacytuję jej z głowy, bo każde słowo w niej jest przemyślane i nie chcę któregoś przekręcić. Zainteresowani znajdują w Internecie artykuł Thomasa Lindenbergera na ten temat⁹. Nie stworzymy jednego podręcznika do historii Polski – na szczęście. Podobnie: nie uda się napisać jednego podręcznika historii Europy czy Ukrainy. Natomiast powinniśmy wymyślić reguły, według których będzie można o tym rozmawiać.

Tomasz Stryjek:

Andrzej Friszke powiedział, że spór o pamięć i przeszłość zajął miejsce dawnych sporów o ideologię, wizję państwa i wizję gospodarczo-społeczną. I tak, i nie. Uważam bowiem, że polski spór o historię tak naprawdę jest sporem o modernizację. Tylko zamiast sporu, którego uczestnicy wprost artykułowaliby wizje przyszłości, mamy z jednej strony siły i środowiska polityczne, które nie posiadają wyrazistego projektu modernizacji (bo przyszłość jest niejasna), z drugiej zaś – ich adwersarzy, którzy modernizacji się opierają. Dla tych ostatnich historia jest znacznie ważniejsza, ma wymiar kompensacyjny. We właściwym im modelu martyrologiczno-heroicznym obraz przeszłości jest bardzo istotny, bo daje oręż w walce o zachowanie tożsamości, rzekomo zagrożonej przez przemiany modernizacyjne. Powstaje zatem spór ideologiczny. Spór o przyszłość, w którym przeszłość przywoływana jest jako jeden z argumentów.

⁹ Thomas Lindenberger, *Governing conflicted memories: some remarks about the regulation of history politics in united Germany*, w: *Clashes in European memory: the case of Communist repression and the Holocaust*, pod red. Muriel Blaive et al., Innsbruck 2011.

Andrzej Mencwel sugerował, że kończy się czas neoliberalizmu i przekonania, iż wszystkie rozwiązania ekonomiczne są znane. W związku z tym zakończą się także zastępcze spory o przeszłość i pamięć. Nie jestem tego pewien. Widzimy przecież, że kryzys w świecie i w Europie trwa już od kilku lat, a model neoliberalny trzyma się dobrze. Nie tak dawno w dyskusji na temat radykalizmów, zorganizowanej w Fundacji im. Stefana Batorego, Iwan Krastew zwrócił uwagę, że sytuacja gospodarcza większości europejskich krajów sprawia, że wygranie wyborów nie zmienia polityki gospodarczej. W związku z tym obywatele spostrzegają, iż same wybory nie przynoszą żadnej realnej zmiany¹⁰. Jeżeli państwo i rząd nie mają wpływu na sytuację ekonomiczną, z czego wynika, że nie mają żadnej oferty zmiany w materialnym położeniu swoich społeczeństw, to co im pozostaje? Polityka tożsamości. Ona w takiej sytuacji ma się dobrze. A polityka pamięci jest jej integralną częścią i będzie nadal odgrywała ważną rolę. Nie jestem więc pewien, czy wychodzimy z fazy gorących sporów o pamięć.

Przechodząc do porównania Polski i Ukrainy. Przetłomowe znaczenie debaty o Jedwabnem, o którym wielokrotnie już tu mówiono, było możliwe dzięki temu, że wówczas negocjowaliśmy wejście Polski do Unii Europejskiej. Uważam, że zaangażowanie polskiego państwa, prezydenta i polityków w spór o wydarzenia w 1941 roku stało się możliwe, ponieważ byli oni przekonani, iż przyszły los polskiego państwa zależy również od tego, jak będzie oceniany nasz stosunek do przeszłości. Dlatego też zwyciężyły środowiska, które postanowiły mówić o winie i odpowiedzialności. Te dyskusje miały miejsce w wielu państwach, również w krajach bałtyckich. Nie ma racji Andrzej Nowak, mówiąc, że na Litwie nie odbyła się debata o udziale Litwinów w Holocauście. Owszem, była ona płytsza niż w Polsce, ale jednak Litwini – w podobnym kontekście politycznym, czyli w momencie negocjacji akcesyjnych – zdecydowali się zmierzyć ze swoją przeszłością. Podobnie działo się na Łotwie i w Rumunii. Taka dyskusja nie odbyła się na Ukrainie, gdzie istnieje problem współudziału

¹⁰ *Europa radykałów?* [dyskusja z udziałem Sylvie Kauffmann, Iwana Krastewa, Jacques'a Rupnika, György Schöpflina i Aleksandra Smolara], „Przegląd Polityczny” 2013, nr 120.

w Holocauście oraz kwestia mordu wołyńskiego. O tym, dlaczego państwo ukraińskie nie odpowiada na to wyzwanie, mówił już Andrij Portnow. Każda inspiracja – czy pochodząca z wewnątrz, od środowisk intelektualnych, czy też z zewnątrz – wpisuje się mimowolnie w konflikt, gdzie każde stanowisko jest interpretowane w porządku politycznym. Nie ma zatem mowy o uzgodnieniu wspólnego ukraińskiego stanowiska, które mogłoby być zaprezentowane europejskiej opinii publicznej, a tym bardziej takiego, które spełniałoby jej oczekiwania.

Proszę spojrzeć na mapę polityczną i na geografie polityczną Polski i Ukrainy – one się różnią. Ola Hnatiuk słusznie mówiła o podziałach regionalnych. One w Polsce są równie głębokie jak na Ukrainie. Jeżeli jednak spojrzymy na mapę, to okaże się, że środowiska polityczne, które wspierają modernizację i kurs proeuropejski, wygrywają wybory na dawnych Ziemiach Odzyskanych oraz w byłym zaborze pruskim. Z kolei w dawnym zaborze rosyjskim i austriackim, wyjąwszy duże miasta, mamy do czynienia z przewagą tych sił, które są eurosceptyczne i wstrzemięźliwe wobec modernizacji. Taki jest układ sił. Na Ukrainie jest odwrotnie. Zachodnia część Ukrainy, która mieni się być proeuropejską, i z historycznego oraz tożsamościowego punktu widzenia ma po temu podstawy, jest regionem, gdzie wygrywają siły polityczne – ze Swobodą na czele – całkowicie odrzucające europejską narrację o drugiej wojnie światowej, Holocauście i masowych zbrodniach oraz o ponoszeniu odpowiedzialności za tamtą przeszłość. Mamy zatem do czynienia z sytuacją, kiedy zachodnia Ukraina przypomina Polskę południowo-wschodnią – jeżeli spojrzymy na stosunek do pamięci i historii, natomiast ukraiński wschód i południe to nasze „ziemie zachodnie”. Paradoksalność sytuacji polega na tym, że zachodnia Ukraina przypisuje sobie rolę proeuropejską i prointegracyjną, podczas gdy wschodnia i południowa nie ma jednoznacznego stosunku do uczestniczenia Ukrainy w projekcie europejskim. A zatem siły, które uważają się za najbardziej proeuropejskie, nie chcą wziąć na siebie odpowiedzialności za przeszłość w sposób, w jaki zrobiono to w Polsce. Co zresztą miało pozytywne skutki, bo chyba nikt nie ma wątpliwości, że dyskusje wokół Jedwabnego przyniosły nie tylko

zmianę oficjalnego stanowiska państwa wobec kwestii udziału Polaków w Holocauście, ale także – do pewnego stopnia – zmianę opinii publicznej.

Łukasz Kamiński:

Przez cały czas w naszej dyskusji powraca pytanie: czym w ogóle jest pamięć historyczna, czy też polityka pamięci i polityka historyczna, która wydaje się mniej lubianym terminem niż najwygodniejszy – kultura pamięci? Chciałbym podkreślić, że – wbrew niektórym wypowiedziom – w moim przekonaniu polityka pamięci istnieje. Zawsze, niezależnie od tego, czy jest prowadzona, czy też nie. Abdykacja z prowadzenia polityki pamięci też jest polityką pamięci, choć specyficzną.

Daleki jestem od twierdzenia, że jedynym podmiotem uprawnionym do prowadzenia polityki pamięci jest państwo. Jednak w odróżnieniu od Dariusza Stoli uważam, że państwo ma rolę do odegrania, której nie odegra nikt inny. Realizuje ją także za pośrednictwem państwowych instytucji. Natomiast w polityce pamięci jest miejsce dla samorządów, organizacji społecznych, wreszcie dla indywidualnych wyborów, bo tak naprawdę politykę pamięci kształtują przede wszystkim indywidualne wybory poszczególnych osób, także historyków, którzy decydują, że napiszą książkę na taki bądź inny temat. Dzięki temu wiedza o jednym problemie pogłębia się, wiemy o nim więcej, a inne czekają przez lata, by ktoś się nimi zainteresował. I niektóre z tych trudnych tematów czekały. Nawet jeśli byli badacze, którzy mogli je podjąć, to z różnych względów tego nie robili.

Uważam także, że *consensus* pamięci jest możliwy. Nie jesteśmy skazani tylko na konflikt różnych pamięci. Dobry przykład stanowi powstanie warszawskie. W Polsce wypracowano *consensus*: uznajemy powstańców za bohaterów. Jednak ten *consensus* nie wyklucza sporu, zarówno historycznego, jak i politycznego, o to, czy decyzja o wybuchu powstania miała sens i jakie były jej skutki. Wciąż też prowadzimy dyskusje o ocenie decyzji poszczególnych przywódców powstania.

Zgadzam się z Andrzejem Friszkiem, który mówi o przetomowym charakterze debaty o Jedwabnem. Jednak moim zdaniem postawienie w centrum

debaty o przeszłości ofiar nie wynika tylko z pojawienia się *Sąsiadów*. Jan Tomasz Gross w swojej książce dokonał tak wielkiej absolutyzacji relacji ofiar, że dał im przewagę nad każdym innym źródłem historycznym. Jednak postawienie ofiary w centrum nie musi polegać jedynie na daniu jej prawa głosu. Chodzi raczej o zwrócenie szczególnej uwagi na ofiary, przy zachowaniu sceptycyzmu co do ich relacji, które niekoniecznie muszą w pełni odzwierciedlać przeszłość. Dobrym przykładem takiego spojrzenia przez pryzmat ofiary jest preambuła ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, która mówi, że państwo polskie, powołując Instytut Pamięci Narodowej, myśli o ofiarach. Źródłem tej zmiany jest znacznie więcej niż jedna książka Jana Tomasza Grossa.

Wielokrotnie podczas dzisiejszej dyskusji padały stwierdzenia, że znajdujemy się na różnych etapach debaty. Mówiono ponadto, że na Ukrainie nie ma szans na dyskusję o przeszłości podobną do tej, która trwa w Polsce. Nie mam kompetencji, aby podważać te kateryczne stwierdzenia, zadam tylko pytanie: czy gdyby nasza dyskusja odbywała się w 1999 roku, to ktoś powiedziałby, że Polska i Polacy są gotowi do podjęcia dyskusji na temat niewygodnej przeszłości? Czy ktoś odważyłby się to wówczas powiedzieć?

Wracając do pytania Andrzeja Friszkego o wielkie debaty: sądzę, że w naszej historii po 1989 roku mieliśmy tylko dwie wielkie debaty historyczne. Jedna to właśnie dyskusja o Jedwabnem, której zresztą nie uważam za kompleksową. Druga dotyczyła PRL-u, komunizmu i postaw Polaków wobec komunizmu. W moim przekonaniu ona była najważniejsza, mimo pewnych mankamentów. Pozwoliła nam bowiem określić się wobec przeszłości i postawić szereg pytań dotyczących współczesnej Polski oraz tego, w jaki sposób chcemy ją budować. Niezwykle istotne jest to, że ta debata przynosi nie tylko owoce w postaci historiografii czy polityki pamięci, ale także pozwala udzielić odpowiedzi na szereg pytań dotyczących dnia dzisiejszego i naszej przyszłości. Dyskusja o tej przeszłości dotyczyła bowiem pytań o wartości, na których chcemy budować nasze państwo, o demokrację, prawa człowieka. Natomiast pierwsza polska wielka debata historyczna dotyczyła przyczyn upadku I Rzeczypospolitej. Ta debata odbyła się ponad 100 lat temu. Do

dziś dają się słyszeć jej echa, nie tylko w historiografii, ale także w polskiej myśli politycznej i w naszej kulturze.

Na koniec chciałbym powiedzieć o debatach, których w moim przekonaniu nam zabrakło, nie podjęliśmy ich, czy to jako społeczeństwo, czy też jako naród. Po pierwsze: debaty o rozbiorach, jak one zmieniły kształt Polski. W II Rzeczypospolitej zabrakło czasu, aby ją przeprowadzić, a potem już nikt o niej nie myślał. Druga to debata o II Rzeczypospolitej – co się udało, a co się nie udało. Taka debata byłaby znakomitym punktem odniesienia do III RP. Niestety, nigdy jej nie podjęto i obawiam się, że do niej już nie dojdzie. Natomiast wciąż jeszcze mamy szansę na trzecią debatę – o drugiej wojnie światowej, czyli o wydarzeniu, które najgłębiej zmieniło kształt Polski i Polaków w każdym możliwym wymiarze. Ta wojna zmieniła wszystko – skład narodowościowy, granice i sposób myślenia Polaków. Sądzę, że jest jeszcze ona możliwa i mogłaby pomóc zrozumieć nam, dlaczego jesteśmy dzisiaj tacy, a nie inni.

Leonid Zaszkiłniak:

Marcin Kula powiedział kiedyś, że „polska historia – w rozumieniu świadomości historycznej społeczeństwa – jest polonocentryczna”. I jest to naturalne. Podobnie ukraińska historia powinna być ukrainocentryczna. Niestety, tak nie jest.

W polskiej historiografii jest również bardzo dużo stereotypów o Ukraińcach, które pochodzą zarówno z przeszłości, jak i z najnowszych dziejów. Niedawno czytałem wyniki badania opinii społecznej w Polsce, przeprowadzonego dla Muzeum Historii II Wojny Światowej, a poświęconego stosunkowi Polaków do narodów wrogich w czasie drugiej wojny światowej¹¹. Okazuje się, że według wyników tego badania największymi wrogami Polaków w tym czasie byli nie Niemcy – zdobyli drugie miejsce, ani też Rosjanie – trzecie miejsce, lecz Ukraińcy. Skąd taka opinia i pamięć Polaków? Jest to

¹¹ Lech M. Nijakowski, *Pamięć o II wojnie światowej a relacje Polaków z innymi narodami, w: Między codziennością a wielką historią. Druga wojna światowa w pamięci zbiorowej społeczeństwa polskiego*, Gdańsk–Warszawa 2010, s. 244–245.

moim zdaniem skutek „nawaty” tematyki „kresowej” w polskiej przestrzeni informacyjnej po roku 1989. A razem z nią – widzenia wojny przez pryzmat stosunków polsko-ukraińskich z perspektyw „polonocentrycznych”.

Kolejna rzecz to rozpowszechniony w Polsce stereotyp, że Polacy byli największymi ofiarami drugiej wojny światowej, bowiem stracili od 5 do 6 mln swoich obywateli. W polskiej percepcji kolejnymi ofiarami są Rosjanie, potem Niemcy, Żydzi, a Ukraińcy znaleźli się dopiero na siódmym miejscu. Tymczasem jeśli weźmiemy pod uwagę liczbę ludności, to okaże się, że Ukraińcy podczas drugiej wojny światowej ponieśli procentowo największe straty. Podczas drugiej wojny światowej zginęło ich ponad 10 mln. Tego w Polsce nikt nie wie. Rola Ukrainy i Ukraińców w życiu Europy i świata jest stale pomniejszana. To prawda, trzeba leczyć rany, ale również trzeba uświadomić sobie, z kim się rozmawia. Jeśli panuje niewiedza, to trudno mówić o tym, że rozmawia ze sobą dwóch partnerów.

Niestety, Senat RP przyjął uchwałę o Wołyniu¹². Moim zdaniem nie jest ona zbyt stosowna. Wołyn jest straszną tragedią, nie tylko Polaków, ale także Ukraińców. Ukraińcy coraz bardziej uświadamiają sobie znaczenie tamtych wydarzeń i ubolewają nad wszystkimi ofiarami, które zginęły w antypolskich akcjach. Jednak Wołyn to nie jedyne wydarzenie w stosunkach polsko-ukraińskich podczas drugiej wojny światowej. Przecież w naszych relacjach Polacy występowali nie tylko w charakterze bohaterów i ofiar ukraińskich zbrodni. O tych innych wydarzeniach także powinniśmy pamiętać.

Oczywiście ukraińska wizja drugiej wojny światowej różni się od polskiej, i tak już pozostanie. Każda ofiara i każdy bohater patrzy na historię ze swojego punktu widzenia. Problem polega na tym, że ukraińską historię zamieniamy na historię radziecką, sowiecką, rosyjską itd.

Czym dla Ukrainy była druga wojna światowa? Szansą na uzyskanie państwowości. W walce o swoją państwowość mieli Ukraińcy sporo wrogów. Nie udało się. Ta walka wreszcie nie dotyczyła całej Ukrainy, lecz jedynie jej zachodniej części. Na „lewobrzeżu” Ukrainy ruch narodowy miał

¹² Uchwała Senatu RP w 70. rocznicę Zbrodni Wołyńskiej przyjęta 20 czerwca 2013.

zdecydowanie mniejsze wpływy. I ten narodowyzwoleńczy ruch ukraiński, który przecież miał prawo do istnienia, poniósł porażkę. Kim zatem jesteśmy – ofiarami czy mordercami? To pytanie pozostaje otwarte. Ale na Ukrainie nie ma dyskusji na ten temat. I zgadzam się z Andrijem Portnowem, że jej nie będzie, bo kiedy tylko ktoś ją zaczyna, to zaraz ruch narodowy i język ukraiński zostają nazwane tradycją „faszystowsko-banderowską” bądź opcją „zachodnią”, „imperialistyczną”, „katolicką” itd. Ukraińcy są zatem mieszkańcami „getta” w swoim własnym państwie – jeżeli Polacy tego nie dostrzegają, to wielka szkoda.

Jeżeli dzisiaj kierujemy naszą uwagę tylko i wyłącznie na Wołyń, to piętnujemy cały ukraiński ruch narodowyzwoleńczy. Ruch, który – jeśli przyjmujemy taką właśnie wizję – nie miał prawa istnieć. Podobnie jak – zdaniem niektórych – państwo ukraińskie pozbawione jest również prawa do istnienia. Oczywiście antypolska akcja na Wołyniu była skrajną pomyłką kierownictwa radykalnego ruchu narodowyzwoleńczego. Trzeba jednak pamiętać, że ta pomyłka to ani nie wszystkie działania, ani nie jedyny cel całego ruchu narodowyzwoleńczego.

Proszę mi wierzyć, że szczerze współczuję polskim ofiarom zbrodni na Wołyniu. Jednak chciałbym takie współczucie zobaczyć także wobec ukraińskich ofiar.

Grzegorz Motyka:

Z wielkim zainteresowaniem słuchałem naszej debaty i myślę, że część odpowiedzi na stawiane tu pytania może być znacznie prostsza, niż to się wydaje. Mam np. wrażenie, iż zainteresowanie historią wynika zwyczajnie z tego, że Polacy przestali stać w PRL-owskich kolejkach, wzbogacili się i mają wreszcie czas, aby chwilę zastanowić się nad tym, skąd pochodzą.

Przysłuchuję się tej dyskusji z wielką ciekawością, ale zastanawiam się, czy doszłoby do tego spotkania, gdyby nie 70. rocznica rzezi wołyńskiej. Rocznicą, w trakcie której – co chyba wszyscy dostrzegamy – historia spleta się z polityką i wpływa na politykę międzynarodową oraz na stosunki między poszczególnymi państwami.

Trzeba wystrzegać się pewnego błędu, jaki popełnia część uczestników debaty na temat rzezi wołyńskiej i antypolskiej akcji UPA. Zmierając do oczyszczenia wspólnej pamięci historycznej, często nadmierną uwagę koncentruje się na środowiskach skrajnych: na tych po polskiej stronie, które próbują wyjaskrawić zbrodnie popełnione wówczas na Polakach, i tych po stronie ukraińskiej, które, wbrew faktom i źródłom historycznym, zmierzają do zanegowania zorganizowanego charakteru tej zbrodni. Oczywiście koncentrowanie uwagi na środowiskach skrajnych ma swoje uzasadnienie: w końcu to one nierzadko upolityczniają debatę o zbrodni wołyńskiej, chcąc przez to osiągnąć konkretne cele polityczne. Jednak w ten sposób często umyka rzecz podstawowa – to, dlaczego ta rocznica jest taka ważna. Podstawowym problemem w relacjach polsko-ukraińskich jest zbrodnia sprzed 70 lat, a nie skrajne środowiska, które o niej mówią. Jeżeli chcemy zatem na dobre rozwiązać problemy historyczne wpływające na współczesny stan relacji polsko-ukraińskich, to trzeba poradzić sobie z samym faktem zbrodni. Moim zdaniem należy to zrobić poprzez odpowiednie upamiętnienie ofiar, w wielu wypadkach wciąż spoczywających w bezimiennych grobach. To upamiętnienie powinno zakładać również sprawiedliwe opisanie tego, co się stało, oraz danie tym wydarzeniom jasnego osądu moralnego, nazwanie zła złem i jednoznaczne jego potępienie.

W tej chwili jesteśmy świadkami wchodzenia polskiej historiografii w nowy, ciekawy etap dyskusji związanej z rzezią wołyńską. Po ustaleniu podstawowych faktów historycy zaczynają się zastanawiać nad tym, jak opisać to, co się stało. Jak opisać rzeź wołyńską w podręcznikach szkolnych i akademickich? Czy ma w nich panować narracja kresowa, polonocentryczna, narodowa, czy może bardziej europejska, wpisująca zbrodnię wołyńską w kontekst innych masowych mordów popełnionych w czasie drugiej wojny światowej? Nie wiem, jak ta debata się zakończy. Niemniej, należy ją odbyć, gdyż tylko dzięki temu mamy szansę na oczyszczenie pamięci historycznej. Chodzi też o to, by ci, którzy najbardziej czekają na upamiętnienie ofiar, zobaczyli, że państwo dopełniło tego obowiązku.

Jeśli naprawdę chcemy oczyszczenia pamięci historycznej, to, powtórzę, konieczne jest danie wyraźnego osądu moralnego. Chcę wyraźnie podkreślić, że wszelkie próby relatywizowania zbrodni wołyńskiej (np. poprzez stawianie rzekomego znaku równości między nią a prowadzonymi na nieporównywalnie mniejszą skalę akcjami odwetowymi) szkodzą dialogowi polsko-ukraińskiemu.

Leonid Zaskilniak powiedział o problemach związanych z oceną UPA. Na początku XXI wieku pojawiły się na Ukrainie głosy, które pozwalały mieć nadzieję, że w ukraińskiej historiografii dojdzie do debaty na temat tej formacji i próby spojrzenia na historię UPA przez pryzmat liberalno-demokratycznych wartości¹³. I że będzie temu towarzyszyła ocena zbrodni popełnionych na polskiej ludności cywilnej. Tak odbierałem np. książkę na temat UPA przygotowaną przez przedwcześnie zmarłego ukraińskiego historyka Jurija Kyryczuka. Tego typu podejście zakładało jednoznaczne potępienie antypolskich czystek UPA, z jednoczesnym oddaniem szacunku antykomunistycznej walce tej formacji o niepodległość. Żałuję, że zrezygnowano z tej drogi¹⁴, nie odbyła się krytyczna debata o UPA. Zamiast tego dziś w publikacjach na temat ukraińskiej partyzantki najczęściej ukrywa się zbrodnie, udaje, że do nich nie doszło. Nie służy to polsko-ukraińskiemu dialogowi.

Wołodmyr Kułyk:

Mówiąc w przypadku Wołynia o ofiarach i katach, trzeba pamiętać o kontekście, w jakim dokonana się ta zbrodnia. Nikt nie zaprzeczy, że na Wołyniu

¹³ Jurij Kyryczuk, *Ukrajnśkyj nacjonalnyj ruch 40–50-ch rokiw XX stolittja: ideotohija ta praktyka*, Lwiv 2003. Jest to poszerzona wersja wcześniejszej pracy tego autora: *Narysy z istoriji ukrajnśkoho nacjonalno-wyzwolnoho ruchu 40–50 rokiw XX stolittja*, Lwiv 2000. Zob. też: Jarosław Hrycak, *Tezy do dyskusiji pro UPA*, w: *Strasti za nacjonalizmom. Istoryczni ese*, Kyjiv 2004; Ihor Iljuszyn, *Protystojannja UPA i AK (Armiji Krajowoji) w roky druhoji switowoji wjny na tli dijalnosti polśkoho pidpillja w Zachidnij Ukraini*, Kyjiv 2001.

¹⁴ Potwierdzeniem tej tezy jest bezkrytyczne i wręcz entuzjastyczne przyjęcie na Ukrainie przez wielu historyków książki Wołodymyra Wiatrowycza (*Druha polśko-ukrajnśka wjna 1942–1947*, wydanie 2 uzupełnione, Kyjiv 2012, s. 368; przekład polski: *Druga wojna polsko-ukraińska 1942–1947*, przeł. Mirosław Iwanek, Warszawa 2013), w której autor, dopuszczając się licznych manipulacji, faktycznie zanegował zorganizowany charakter zbrodni popełnionych na Polakach.

zabijano Polaków, ale ważne jest wyjaśnienie, dlaczego tych Polaków chciano w tak okrutny sposób wypędzić. Można też postawić pytanie, dlaczego w tych społeczeństwach nadal wygodnie jest mówić: „my” oraz „oni”. Padło tu wiele odpowiedzi na pytanie, dlaczego na Ukrainie nie doszło do debaty w sprawie Wołynia, podobnej do polskiej debaty o Jedwabnem. Mówiono o przyczynach politycznych. Trzeba jednak dodać kontekst socjologiczno-politologiczny. Na Ukrainie jeszcze nie wykształciły się mechanizmy wspierania tożsamości. Bardzo słabe są media. Słaba jest nauka, skurpowana i biedna. Nie ma mediów, które mogłyby uczciwie o tym informować. Gdyby te mechanizmy istniały, to łatwiej byłoby nawiązać dialog.

Myrośław Marynowycz:

Pozwolę sobie zacząć od nawiązania do wypowiedzi Grzegorza Motyki – są przyczyny, dla których na Ukrainie tej dyskusji nie ma. I mówiąc szczerze, jestem zdumiony, że w Polsce nie ma zrozumienia dla przyczyn braku tej dyskusji.

Pierwsze rozmowy między Ukraińcami i Żydami, w jakich uczestniczyłem, odbywały się na zesłaniu. W obozie obie strony mogły usłyszeć argumenty swoich adwersarzy i odczuć wspólny ból. Ten dialog był łatwiejszy, bo wszyscy pozostawaliśmy na jednej płaszczyźnie – byliśmy ofiarami tego samego systemu, w którym przyszło nam żyć. Na przełomie lat 70. i 80. pisaliśmy w obozie list do Polaków z gratulacjami za „Solidarność”. Nikt nie mówił o historycznym bólu i polsko-ukraińskich sporach. Wszyscy chcieli o tym zapomnieć i myśleli o przyszłości. Dlaczego? Bo wszyscy walczyliśmy z komunizmem, który tłamsił naszą wolność.

Dzisiaj nasza sytuacja jest diametralnie inna – nie ma jednej, wspólnej płaszczyzny. Polska jest bezpiecznym krajem, bronionym przez NATO, członkiem Unii Europejskiej, z silną gospodarką i ze zjednoczonym społeczeństwem. Natomiast Ukraina nieomal przypomina Polskę z 1939 roku. Wtedy byli na świecie ludzie, którzy mówili, że Polska nie jest państwem i powinna zostać wymazana z mapy świata. Tak dziś Władimir Putin mówi, że Ukraina nie jest państwem. W 1939 roku Polskę nazywano w radzieckiej

propagandzie „państwem faszystowskim” – tak dziś faszyzmem nazywa się wszystko to, co na Ukrainie związane jest z nurtem narodowym. Stąd mój apel do Polaków, którzy mają doświadczenie takiej historii – nie porównujcie Ukrainy do Polski! Wy możecie dziś spokojnie dyskutować i mieć wątpliwości, czy decyzje przez Was podjęte były właściwe, czy nie. Ale gdyby był rok 1939, to zaręczam, że takiej swobodnej dyskusji by tu nie było. Dlatego nie patrzcie na Ukrainę z okien gabinetów, tylko spróbujcie odnaleźć się w sytuacji naszego narodu.

Bardzo podobają mi się wypowiedź Andrzeja Nowaka o wahadle między spojrzeniem liberalnym a tradycyjnym. Gdy to usłyszałem, od razu wyobraziłem sobie dwa modele. Jeden, który pod hasłem „wybierzmy przyszłość” zakłada zapomnienie o przeszłości, co niejako miało miejsce w latach 90. I przyznam, że jest mi niezmiernie przykro, że gdy odrodziło się polskie państwo, głos środowisk kresowych był tłumiony. Dziś zbieramy tego konsekwencje, bo oni muszą wykrzyczeć ten dławiony ból.

Drugi model to wybór przeszłości. On też ma swoje słabe strony, bo grozi mu ignorowanie przyszłości. Mówiąc prawdę o przeszłości, można łatwo zapomnieć o konsekwencjach jej wypowiedzienia. Zapominamy, że prawda – mówiąc słowami papieża Benedykta XVI – jest bezpośrednio związana z miłością. Jeśli prawda jest pozbawiona miłości, to przestaje być prawdą. Nie buduje, lecz burzy. Chciałbym, by Polacy mieli tego świadomość, gdy mówią o Wołyniu. Polskie państwo i społeczeństwo musi uszanować ból rodzin ofiar Wołynia. Jeżeli jednak o tym bólu mówi się w sposób pełen nienawiści i zadaje się rany, nie prowadzi to do oczekiwanych skutków. Przecież rozmowa o przeszłości powinna odbyć się na rzecz przyszłości. Jest to możliwe tylko wtedy, gdy będziemy pamiętali, że prawda jest związana z miłością – czyli z próbą zrozumienia innego i jego intencji. Jeśli tego zabraknie, nasze działania nie doprowadzą do niczego pozytywnego.

Antin Borkowski:

Uważnie śledzę ukraińską debatę o Wołyniu i uważam, że w ciągu ostatnich 10 lat nic się nie zmieniło. Przez lata liczyliśmy, że uda się zebrać dokumenty,

przygotować kompendium materiałów na ten temat. Nic takiego nie zostało opublikowane. Natomiast pojawiła się książka Wołodymyra Wiatrowycza *Druga wojna polsko-ukraińska 1942–1947*²⁵, o której już wspomniał tu Grzegorz Motyka. Stało się tak, ponieważ mamy problem z ukraińską świadomością. Istnieje wiele ukraińskich lęków narodowych. Powinniśmy je przezwyciężyć, jednak boimy się wyjść z tego kąta.

Trzeba także pamiętać, że nawet podczas rozmów historyków nie udało się przejść do formuły, którą proponował Martin Buber, czyli słuchać innych. Myślę, że kiedy rozmowa ma dotyczyć zbrodni, to obie strony powinny poruszyć temat zbrodni popełnionych przez obie strony. Bowiem w pytaniu o nie jest zawarte drugie: o odpowiedzialność.

Andrzej Olechowski:

Znajomość historii jest potrzebna do zrozumienia obecnych konsekwencji czynów podejmowanych przez naszych przodków oraz wyborów, jakie stoją przed nami. Uważam, że polska debata o historii tego nam nadal nie umożliwi. Natomiast doprowadziła ona do sytuacji, kiedy polski polityk nie może stanąć obok polityka litewskiego, ukraińskiego i rosyjskiego i go uściskać. Jeżeli jednak zrobi coś wspólnie ze swoim partnerem ze Wschodu, to od razu zostanie mu poczytane za brak patriotyzmu. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny region świata, może poza stosunkami chińsko-koreańskimi czy chińsko-japońskimi, gdzie sytuacja jest aż tak skomplikowana. Dlaczego o tym mówię? Andrij Portnow ubolewał, że na Ukrainie nie ma porządnej debaty o historii. Jestem przekonany, że ona się odbędzie i Portnow będzie jednym z jej liderów. Można też wyciągnąć kilka lekcji z naszej polskiej debaty, by nie powtarzać naszych błędów.

Po pierwsze, aby debata była sensowna, potrzebni są dobrzy historycy, którzy przestrzegają standardów naukowych, a nie standardów nauczyciela narodu, misjonarza czy człowieka, który chce ukształtować duszę Polaka. My takich historyków nie mamy zbyt wielu. Niedawno zdarzyło się jednemu z nich, posiadającemu wszystkie możliwe tytuły naukowe, powiedzieć,

²⁵ Wołodymyr Wiatrowycz, *Druga wojna polsko-ukraińska...*

że to Żydzi doprowadzili do Holocaustu. Został on pozbawiony stanowiska w swojej instytucji, nietrywialnej, bo Polskiej Akademii Nauk, przeciwko czemu podniosły się protesty. Mówiono: to cenzura i ograniczanie wypowiedzi. Tymczasem ów człowiek wypowiadał się jako naukowiec. Więcej, codziennie czytam wypowiedzi firmowane przez profesorów, które nie spełniają żadnych standardów naukowych. Konsekwencje są takie, że to właśnie tacy „historycy” inspirują naszych polityków.

Po drugie: jeśli wprowadza się do badań nad historią duże publiczne środki, a tak się stało w Polsce wskutek powołania potężnych państwowych instytucji, to nie można się dziwić, że politycy szczególnie zaczynają się nią interesować. Chcą bowiem pilnować tych pieniędzy i mieć wpływ na to, w jaki sposób będą wydawane. Tym samym historia staje się po części sprawą państwową – jest przez państwo organizowana i ma wpływ na politykę. Prowadzi to do sytuacji, od której zacząłem – po deklaracji przyjętej przez Senat polski polityk nie uściska Ukraińca, bo to nie będzie uznane za akt patriotyczny.

Paweł Zalewski:

Co zatem robić w obecnej sytuacji? Niestety, metoda, którą zastosowano w relacjach polsko-rosyjskich, czyli powołanie przez oba państwa specjalnej Grupy do Spraw Trudnych, nie jest do zastosowania w relacjach z Ukrainą. W Rosji mamy bowiem do czynienia z pamięcią silnie scentralizowaną, podczas gdy na Ukrainie sytuacja jest odwrotna. Tamtejsza pamięć jest zdecentralizowana i dominuje w niej rywalizacja różnych spojrzeń na przeszłość.

Staram się – jako polityk – nie zajmować historią. Jednak zająłem się historią stosunków polsko-ukraińskich i zbrodni wołyńskiej, ponieważ to kwestia ważna dla przyszłości naszych relacji. Dlaczego? Zgadzam się z Tomaszem Strykiem, że sukces debaty o Jedwabnem i jej wpływ na kształtowanie naszej tożsamości narodowej związany był z wejściem Polski do Unii Europejskiej. To wejście wiązało się bowiem z przyjęciem określonych wartości, takich jak: otwartość, tolerancja, wyrozumiałość, kompromis i współpraca. Otóż Jedwabne było zbrodnią wynikającą – co najgorsze

w relacjach między narodami – z obrzydliwego nacjonalizmu. Zatem jako zbrodnia musiało zostać potępione. Tymczasem Ukraina stoi nadal przed wyborem: stowarzyszenie z Unią Europejską czy też nie. Otóż Unia to wartości i jeżeli Ukraina chce się z nią stowarzyszyć, a później zostać członkiem UE, to musi je w pełni przyjąć. Podstawę zbrodni wołyńskiej (nie używam tu słowa „ludobójstwo”, choć publicznie wyrażam opinię, że Wołyń nim był) stanowił nacjonalizm. Zatem rodzi się pytanie: czy stowarzyszenie jest dla Ukrainy powodem do zastanowienia się nad przyjęciem tych zachodnich wartości? Czy ktokolwiek dostrzega na Ukrainie związek europejskich wartości i dyskusji o Wołyniu? Jestem pod wrażeniem wypowiedzi Antina Borkowskiego, który te pytania postawił¹⁶. My w Polsce także je stawiamy, gdy pytamy o Wołyń.

Mirosław Czech:

Odnoszę wrażenie, że w naszych debatach – poczynając od lat 80. ubiegłego stulecia – ciągle rozmawiamy o tym samym. Dowiaduję się dzisiaj, po latach badań historyków, że Polaków – w ramach antypolskiej czystki UPA czy też eksterminacji, albo zbrodni: ze znamionami ludobójstwa bądź bez znamion ludobójstwa – zginęło 100 tys. Przypomnę, że w 1993 roku ukazała się książka *Polacy i Ukraińcy* Ryszarda Torzeckiego¹⁷, który podał dokładnie te same liczby: 100 tys. ofiar po stronie polskiej oraz 10–20 tys. po stronie ukraińskiej. Od 20 lat nie wyszliśmy poza te rachunki. Nie chcę przez to zanegować sensu prowadzenia badań historycznych, ale postawić pytanie: czy przypadkiem nie stoimy w tym samym miejscu?

Nie zgodzę się z tezą Grzegorza Motyki, że na Ukrainie nie ma debaty o zbrodni wołyńskiej i roli UPA. Ona jest prowadzona. Na dwa sposoby. Po pierwsze, we wszystkich poważniejszych opracowaniach, w których poruszony jest temat OUN i UPA w czasie drugiej wojny, są rozdziały poświęcone antypolskiej czystce. Oczywiście można czuć pewien niedosyt, niektóre

¹⁶ Zob. wypowiedź Antina Borkowskiego w niniejszej publikacji, s. 55–57.

¹⁷ Ryszard Torzecki, *Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993.

opracowania są lepsze, inne gorsze. Jednak nie można negować tego, że znalazły się w tych książkach lub artykułach. Podobnie można odczuwać niedosyt obecności tego problemu w publicystyce, prasie czy telewizji. Po drugie, co jest niedostrzegane w Polsce, a nie wolno tego pomijać, temat Wołynia i UPA jest stale obecny w neoimperialnym dyskursie postsowieckim, zarówno w Rosji, jak i na Ukrainie. Zbrodnia na Polakach została do tego dyskursu wpleciona, a nawet stała się jego integralną częścią. Niezauważanie tego jest zamazywaniem oglądu rzeczywistości.

Obchody rocznicy wołyńskiej w 2003 roku i obecnie różni to, że przed 10 laty dialog polsko-ukraiński prowadzili politycy. Dzisiaj ich w tym dialogu nie ma. Ich miejsce – o czym mówił Myrośław Marynowycz¹⁸ – zajęły Kościoły (polska debata publiczna w ogóle nie była na to przygotowana). Kościół greckokatolicki zwraca się z prośbą o przebaczenie, wzorem Kościoła katolickiego w Polsce przed 50 laty. W tym dialogu zabierają także głos Kościoły prawosławne, mówiąc tym językiem. Niezauważanie tego jest *de facto* elementem mówienia nieprawdy o rozwoju sytuacji na Ukrainie.

Zgadzam się, że zbliżanie się do Europy będzie oznaczało coraz bardziej krytyczne spojrzenie na własną rzeczywistość. Skomplikowanie sytuacji na Ukrainie polega na tym, że od lat 60. ubiegłego stulecia poddawana jest potężnej propagandowej presji. Ukraińcy, którzy walczą o niepodległość i wspierają prozachodni kierunek, są przedstawiani jako naród ludobójców i kolaborantów. To jest problem. Nie mam jednak wątpliwości, że historię trzeba będzie przepracować w sposób racjonalny i krytyczny wobec tej tradycji. Bez tego – jak słusznie tu podkreślano – nie będzie zbliżenia Ukrainy do Europy.

Tomasz Łubieński:

Jest rzeczą oczywistą, że chlubić należy się dobrą historią. Przyznam też, że nie widzę powodu, aby w jakimś stopniu przyznawać się do współodpowiedzialności, do utożsamiania się z jakimiś zbrodniarzami. Nie chcę mówić, że to „my”.

¹⁸ Zob. wypowiedź Myrośława Marynowycza w niniejszej publikacji, s. 53–55.

Niestety pamięć historyczna kształtowana jest przez seriale. Pomijam to, że nierzadko historia jest w nich fatiszowana, jak we wspomnianym serialu niemieckim *Nasze matki...*, ale najczęściej są one po prostu na niskim poziomie. W ten sposób następuje tabloidyzacja historii. Problemy, o których pisano książki, są przedstawiane w postaci 30-sekundowej scenki. Przykładem tego typu seriali jest chociażby polski *Czas honoru* czy – na znacznie wyższym poziomie – rosyjska *Moskiewska saga* według zresztą wybitnego pisarza Wasilija Aksionowa. A jeśli miliony widzów na całym świecie obejrzą ten niemiecki serial, to skala jego oddziaływania będzie ogromna. No to trudno... Poważni historycy, autorytety, przedstawiciele różnych środowisk mogą starać się pokazać prawdziwy obraz tych wydarzeń. Tak powinni czynić.

Nie należą również do osób, które z optymizmem patrzą na wzrost zainteresowania historią, bo ta „historia” sprowadza się głównie do opisów dziejów przemocy, seksu i różnych aspektów codziennego życia. W ten proces wpisuje się również olbrzymi sukces kombatanckiego piśmiennictwa niemieckiego, które jest – co dość osobliwe – natychmiast tłumaczone na polski i zalega na księgarskich półkach. Są to książki o historii niemieckich dywizji, ich wybitnych dowódców, np. feldmarszałek Ferdinand Schörner jest przedstawiany jako bohater i wzór męskości. W serialach rosyjskich trwa walka wywiadów – Gestapo kontra NKWD, bliźniacze „atrakcyjne” sceny przemocy tworzą wielką pseudohistoryczną breję.

Rafał Wnuk:

Spójrzmy na nowe historyczne rocznice, jakie zaczęliśmy obchodzić w Polsce po 1989 roku: Dzień Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej, 17 września, Dzień Żołnierzy Wyklętych, a ostatnio jeszcze rzeź wołyńska. Wszystkie dotyczą drugiej wojny światowej i wpisują się w heroiczny i martyrologiczny model tożsamości. Pojawilo się tylko jedno święto niezwiązane z wojną: 4 czerwca (rocznica wyborów 1989 roku). Wszystkie nowe czczone daty odnoszą się do komunizmu i żadna z nich nie ma związku z doświadczeniem nazizmu.

Ostatnimi laty to, co kiedyś było pobocznym nurtem naszej debaty, stało się tematem wiodącym. Dominujący przekaz medialny sprawia, że komunizm postrzegany jest jako coś straszniejszego niż nazizm. Nazizm staje się powoli „mniejszym złem”. Polski historyk, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego prof. Paweł Wieczorkiewicz¹⁹ głosił, że w 1939 roku Polska powinna związać się sojuszem z Hitlerem i walczyć przeciwko Sowietaom, bo wtedy nie byłoby ani Wołynia, ani wielu innych problemów, z którymi się w trakcie wojny i po niej zmagaliśmy. A następnie wydano w Polsce książkę Piotra Zychowicza *Pakt Ribbentrop-Beck*²⁰. Zyskała ona wielką popularność. Nie wyobrażam sobie, by pozycja taka mogła zostać opublikowana 15 lat temu. Nie są to publikacje niewinne: one, w olbrzymim stopniu, kształtują wyobrażenia o przeszłości szerokiej opinii publicznej.

Mamy zatem do czynienia z procesem, w którym to, co było uważane za radykalnie prawicowe, przesuwa się w kierunku centrum. Niedawno widziałem na ulicy Warszawy plakat pod hasłem: „Dziś Jan Bytnar ‘Rudy’ byłby w ONR”. Okazuje się, że polski harcerz, żołnierz AK, bohater z panteonu, zdaniem autora plakatu zapisałby się do organizacji wyznającej integralny nacjonalizm. Parę lat temu tak beczelna manipulacja nikomu nie przyszłaby do głowy. Moja podstawowa teza brzmi: polska pamięć historyczna przesunęła się niebezpiecznie na prawo.

Gdy rozmawiamy o Ukrainie, to warto przypomnieć, że polityka pamięci odpowiada m.in. na pytanie: kogo chcemy uznawać za naszych bohaterów? Ukraińcy, jak każdy naród, kształtują własny bohaterski panteon. W kontekście rzezi wołyńskiej muszą sobie odpowiedzieć na pytanie, czy miejsce w nim powinny zająć OUN i UPA. W Chorwacji, na początku lat 90., część środowisk politycznych próbowała budować państwo, odwołując się do Niezależnego Państwa Chorwackiego ustaszcy. Ostatecznie jednak

¹⁹ Paweł Wieczorkiewicz, *Rydz-Śmigły na Placu Czerwonym w Moskwie w 1940 roku. Co by było, gdyby Polska przyjęła żądania niemieckie?*, w: Paweł Wieczorkiewicz, Marek Urbański, Arkadiusz Ekiert, *Dylematy historii. Nos Kleopatry, czyli co by było, gdyby...*, Warszawa 2004.

²⁰ Piotr Zychowicz, *Pakt Ribbentrop-Beck, czyli jak Polacy mogli u boku III Rzeszy pokonać Związek Sowiecki*, Poznań 2012.

uznano, że należy jednoznacznie odciąć się od faszystowskiej przeszłości, i do konstytucji wpisano, iż państwo chorwackie jest spadkobiercą tradycji komunistycznej partyzantki Tity. Dzisiejsze państwo chorwackie odwróciło się od tradycji ustaszki w sferze prawnej i symbolicznej. Chorwacja właśnie wchodzi do UE... Ciekawe, jakiego wyboru dokona Ukraina?

Marcin Zaremba:

Przyznam się, że nie podzielam strachu, który dawało się wyczuć w wypowiedziach m.in. Tomasza Łubieńskiego, Andrzeja Nowaka i Dariusza Gawina: jesteśmy państwem między dwoma mocarstwami – Niemcami i Rosją. Musimy być czujni. Powinniśmy reagować na obcą nam politykę historyczną. Obraz Niemiec tutaj przedstawiony jest anachroniczny, zupełnie nie oddaje niemieckiej wrażliwości i stanu świadomości. W Niemczech wydawana jest olbrzymia liczba książek, w tym poświęconych niemieckim zbrodniom. Do Polski przyjeżdżają stypendyści Niemieckiego Instytutu Historycznego, którzy piszą o polskich ofiarach. Pomijanie tego wszystkiego i sprowadzenie niemieckiej polityki pamięci jedynie do jakiegoś serialu jest nieporozumieniem.

Wspominano tutaj o Jedwabnem i konsekwencjach dyskusji, która przetoczyła się przez Polskę po wydaniu książki Jana Tomasza Grossa. Jednak ja cofnąłbym się do słów Marii Janion, które padły na początku lat 90. Właśnie kończy się polski paradygmat romantyczny – stwierdziła. Nie będzie już Polski – Chrystusa narodów. Od teraz bierzemy się do pracy. Liberalizm. Gospodarka. Max Weber. Odnoszę wrażenie, że o ile w wielu sferach życia nie odnajdziemy już pierwiastków romantycznych, o tyle w sferze pamięci dominuje mówienie o własnym cierpieniu, ofiarach i nieszczęściu. Rozumiem kompensacyjną rolę tej narracji, przyznam jednak, że z coraz większym trudem jej słucham. Intelktualnie – jest to coraz bardziej jałowe. A jeśli patrzeć na nasze relacje z sąsiadami – szkodliwe.

Jeżeli jakaś społeczność zaczyna domagać się mówienia prawdy, to najczęściej ma na myśli nie tylko wyolbrzymianie własnego cierpienia, ale również sugeruje pomniejszanie cierpienia innych. Proszę spojrzeć, co na

temat Wołynia pisze się w prasie prawicowej. Nie mam na myśli „Arcanów”, o których mówił Andrzej Nowak, lecz tygodniki: „Uważam Rze”, „W sieci”.

Nie tak dawno wyszła w Polsce książka Elżbiety Janickiej *Festung Warschau*²¹. Czytelnik znajdzie w niej błędne interpretacje, autorka zwraca uwagę jednak na ważną rzecz – otóż koło warszawskiego pomnika Umschlagplatz znalazł się Pomnik Poległym Pomordowanym na Wschodzie. To nie jest przypadek, bo my Wołyniem chcemy niejako „zastąpić” Holocaust i „zakryć” Jedwabne. Mimo wszystkiego, co powiedziano w tej dyskusji, Wołyń dla polskiego społeczeństwa nie jest historią żywą. Nie jest to temat, o którym się dyskutuje.

Natomiast w narracji, zwłaszcza prawicowej, Wołyń jest używany instrumentalnie. Odwołam się do nacjonalizmu wykorzystywanego przez Polskę Ludową i komunistów jako sposobu ich legitymizacji. PRL stworzył własne święta oparte na historycznych manipulacjach. Trzeba się tego wystrzeżać.

Zgadzam się z Dariuszem Stolą, że źle się dzieje, gdy na rynku historycznym panuje monopolista. Historia to polifonia.

Michał Łuczewski:

Podczas jednego z seminariów Joanny Kurczewskiej Jan Kubik prezentował jeszcze niepublikowane badania, które pokazywały różne modele pamięci w krajach postkomunistycznych. Okazuje się, że Polska i Ukraina znalazły się w tej prezentacji obok siebie, jako kraje, gdzie pamięć jest podzielona. W obu państwach istnieją silni gracze, którzy znajdują się w nieustannym konflikcie, gdy idzie o ocenę i opis komunizmu oraz transformacji ustrojowej. Możemy się we wszystkim różnić, ale w tym, że mamy różne wizje przeszłości, jesteśmy podobni.

Zawsze staram się patrzeć na polską politykę pamięci w perspektywie pamięci niemieckiej, gdyż wydaje się, że podążamy śladem naszych zachodnich sąsiadów. Polska polityka pamięci jest opóźniona w stosunku do Niemiec o jakieś 10–15 lat. Mam na myśli budowanie instytucji rozliczających się z przeszłością (Instytut Gaucka i wzorowany na nim IPN) oraz dużych

²¹ Elżbieta Janicka, *Festung Warschau*, Warszawa 2011.

projektów muzealnych (w Niemczech zaczęły pojawiać się od 1990 roku, a odpowiadające im rozmachem Muzeum Powstania Warszawskiego powstało dopiero w 2004). Wpływ Niemiec widać również na poziomie semantyki. Przez długi czas odnosiłem się z dystansem do hasła „polityka pamięci”, które brzmiało dla mnie sztucznie. To kalka z języka niemieckiego. Nic dziwnego, że początkowo oddawano *Vergangenheitspolitik* po polsku opisowo jako „politykę wobec przeszłości”.

Konflikty o pamięć zapewne nigdy się nie skończą, bo przecież dotyczy naszej tożsamości i naszej moralności. Jak zawsze w takim konflikcie pojawia się pytanie o to, kto jest bardziej refleksyjny i bardziej moralny. Krytykując innych, zwiększamy własną moralność. Krytykując siebie, zwiększamy własną refleksywność. Za każdym razem to walka o to, czyje opowieści o przeszłości są bardziej otwarte, szczerze i prawdziwe. To walka o to, który obraz przeszłości jest bardziej racjonalny. Taka zaś walka w demokratycznym społeczeństwie nigdy się nie skończy.

Wasył Rasewycz:

Nasza dyskusja pokazuje, że jesteśmy do siebie bardzo podobni. Zarówno Polacy, jak i Ukraińcy mówią w sposób charakterystyczny dla tych, którzy wyszli ze społeczeństwa postkolonialnego. Ciągłe wydaje się nam, że tylko my byliśmy ofiarą, że tylko my cierpieliśmy, nikt inny oprócz nas nie może pretendować do statusu ofiary. Jednak nie ma narodów ofiar i narodów zbrodniarzy. Nasza dzisiejsza dyskusja – choć prowadzona racjonalnie – ciągle toczy się w perspektywie narodowości ofiary i zbrodniarza. Nie można jednak prowadzić rozmowy w kategoriach moralnych, jeśli na pierwszym miejscu stawiamy narodowość kata lub ofiary. Dlatego trzeba unikać podejścia nacjonalistycznego, bo w przeciwnym wypadku nasza dyskusja do niczego nie doprowadzi.

W nawiązaniu do mówienia „my”, chcę powiedzieć, że ani historycy, ani nikt inny nie ma prawa przemawiać w imieniu ofiar. Nikt też nie ma prawa mówienia w imieniu narodów. Nie istnieje zbiorowa odpowiedzialność. Natomiast jest kolektywna pamięć. I tu pomoc może nam pytanie: kogo

wyberamy na swoich bohaterów? Jeśli dla Ukraińców bohaterem ma być Dmytro Klaczkiwski, to pojawia się problem, bo to po prostu zbrodniarz. Jeżeli zatem we Lwowie czci się dywizję SS „Hałyczyna”, to oznacza, że zapędzamy się w ślepy zaułek.

Widziałem pokaz jednego z odcinków *Nasze matki...* Ten serial pokazuje zmiany, jakie zachodzą w Niemczech. Mija czas, kiedy Niemcy narzucali sobie ograniczenia. Było wiele rzeczy, których nie ośmielali się powiedzieć. Jednak teraz wyrosło nowe pokolenie i rozpoczął się okres rewidowania. W związku z tym w Niemczech pojawia się myślenie: przecież my nie mogliśmy dokonać sami tak wielkich zbrodni. Ktoś musiał nam pomóc. Polacy, bo wiele z nich dokonano na ich ziemiach, Ukraińcy, bo mieli „Hałyczynę” itd.

Joanna Kurczewska:

Chcę zwrócić uwagę na rolę w Polsce debaty o Romanie Dmowskim i Józefie Piłsudskim od 1989 roku do chwili obecnej. Ta debata to prawdziwy *evergreen*. Warto ją prześledzić w kontekście myślenia o polityce pamięci.

Jeśli natomiast widzimy różne czasy społeczne i dyskusje o polityce pamięci w Polsce i na Ukrainie, to warto zwracać uwagę na diagnozy przestrzenne polityki pamięci oraz na relacje między scenami, na których toczą się debaty: ogólnonarodowa, kameralna oraz elitarna. Warto również zauważyć, że różnica między konfliktem a stanem hybrydyzacji, który się w tej chwili rozgrywa, jest nowym elementem diagnozy.

Sądzę, że w narracjach historycznych powinniśmy staranniej analizować emocje, z którymi mamy do czynienia w przypadku polityki pamięci. Mamy znakomite narzędzia, aby to przebadać. Wydaje się, że niezmiernie ważne jest w tym przypadku udzielenie odpowiedzi na pytanie, czy politykę pamięci analizujemy w kontekście kultury strachu, czy też kultury wstydu.

Ostatnia uwaga dotyczy polityki zapominania. Mówiliśmy dziś o polityce pamiętania, a chcę powiedzieć, że jest nam potrzebna również rozważna polityka zapominania.

Aleksander Smolar:

Nawiązując do ostatniej uwagi Joanny Kurczewskiej, dodam, że Tony Judt pisał, iż budowanie Unii Europejskiej oparte było na amnezji. Trzeba umieć dostrzec również pozytywne efekty procesu zapominania. Podobnie konserwatywny niemiecki myśliciel Hermann Lübbe podkreślał, że w Niemczech po wojnie było możliwe przeprowadzenie demokratycznych zmian m.in. dlatego, że przez długi czas nie powracano do przeszłości, nie mówiono o odpowiedzialności za czasy nazizmu – wszystkim obciążano samego Hitlera. Dlatego też trzeba bardzo uważać, zwłaszcza w przypadku Ukrainy – to jest apel skierowany przede wszystkim do polskich autorów – na postulaty, jakie pod adresem Ukraińców są formułowane. I należy pamiętać o niebezpieczeństwach z nimi związanych, także tych wynikających z manipulacji przeprowadzonych przez Rosję. Nie można też zapominać o uwarunkowaniach formowania się nowego ukraińskiego społeczeństwa, które znajduje się w innej fazie rozwoju niż polskie. Zatem porównywanie Ukrainy do Polski, jeśli chodzi np. o stosunek do Europy, ma ograniczoną wartość. Trzeba wreszcie pamiętać o tym, że Ukraina nie ma szansy – i to w dłuższym okresie – znalezienia się w Unii Europejskiej. Ma to oczywiste konsekwencje ekonomiczne, polityczne, ale również wpływa na kierunek i tempo ewoluowania pamięci.

Kilka uwag na temat Polski. Jeden z wielkich twórców kultury amerykańskiej, Ralph Waldo Emerson, mówił, że istnieją w istocie dwie partie: partia pamięci i partia nadziei. Odnoszę wrażenie, że lata 90. ubiegłego stulecia były w Polsce czasem partii nadziei. Paradoksalnie od momentu wstąpienia do Unii Europejskiej ten paradygmat się zmienia. Na znaczeniu zyskuje partia pamięci. Tym tłumaczyłbym m.in. popularność wydawnictw historycznych i historycznych dodatków do pism. Przyszłość, po wstąpieniu do UE, przestała być klarowna, cele nie są jasne; wraz z kryzysem przyszłość całej Unii zdaje się zablokowana. W tej sytuacji zwrócenie ku przeszłości, ku wspólnotce narodowej i problemom jej tożsamości, wydaje się rzeczą naturalną.

Wraz z ową zmianą pojawiły się rozmaite niepokoje i lęki. A to polskie zwrócenie się ku przeszłości ma także wpływ na odnoszenie się do Ukrainy.

W latach 90. ten stosunek był niestety ostrożny. Z różnych względów, także politycznych, szeroko podzielano pogląd, że Ukraina jest bardzo ważna dla Polski. Dzisiaj to przekonanie osłabło. Zmiana ta związana jest także z rozczarowaniem procesami, które zachodzą na Ukrainie. A za tym przyszło zwątpienie, czy Ukraina idzie w tym samym kierunku, co Polska.

Zmianę, o której mówię, widać m.in. w polskiej polityce zagranicznej. Ukraina nie odgrywa już w niej tak istotnej roli, jak choćby przed paru laty. To sprzyja odblokowaniu języka, który nie jest zresztą językiem nieprawdy. Formułowane postulaty wobec strony ukraińskiej, jeżeli chodzi o masakrę wołyńską, mają realne podstawy. To w istocie była straszliwa zbrodnia. Zaczem faktem jest, że Polacy niechętnie mówią o polityce narodowościowej w okresie międzywojennym, o zamordowanych Ukraińcach podczas drugiej wojny światowej czy akcji „Wisła”. Przejawia się w tym swoisty narcyzm bólu, który chętniej mówi o winach innych, a mniej chętnie o swoich.



Mykoła Ridnyj, *Pomnik (Monument)* [kadr z filmu], 2012, zbiory Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Część III

Spory o pamięć na Ukrainie

Heorhij Kasjanow

Między pragmatyką a idealizmem

Istnieją – jak dobrze wiadomo – dwa modele budowania tożsamości narodowej. Pierwszy – tak zwany inkluzywny. W myśl tego podejścia wszyscy, którzy wyrażają różne poglądy, nawet o charakterze konfrontacyjnym, muszą być włączeni w naszą pamięć, bo są obywatelami jednego państwa. Zatem podstawą jest zasada lojalności obywatelskiej – możemy się ze sobą nie zgadzać i być skonfliktowani, ale powinniśmy mieć na uwadze to, że jesteśmy obywatelami jednego państwa i sami siebie – niezależnie od naszej przynależności etnicznej – nazywamy Ukraińcami. Problem stanowi to, że często pewne fragmenty „pamięci zbiorowej” są poddawane instrumentalizacji przez polityków. To skutecznie przeszkadza we wdrożeniu tego modelu w życie.

Drugi wariant – ekskluzywny – opiera się na tożsamości etnicznej. Ukraińska historia oraz pamięć historyczna to dzieje etnicznych Ukraińców. Realia współczesnej Ukrainy udowadniają, że w oparciu o takie założenia nie jest możliwe, by w tym państwie zbudować tożsamość narodową typu obywatelskiego. Dlatego ukraińscy intelektualiści od lat przekonują – wciąż pozostając w mniejszości – do projektu inkluzywnego.

Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, iż w dyskusji o Ukrainie dominuje oczekiwanie, że sytuacja w naszym kraju nareszcie się znormalizuje. Tymczasem do tego konieczny jest kontrakt społeczny – na coś się umówimy i nie będziemy raz po razie „wywracać” naszej tożsamości do góry nogami.

Od wielu lat słyszę także, że Ukraina pogrążona jest w kryzysie tożsamości. Ale przecież Polacy też przeżywają swój kryzys tożsamości – oczywiście ma on inny charakter, bo trzeba na nowo określić swoją tożsamość w zjednoczonej Europie. Podobnie jest na Słowacji, w krajach bałtyckich czy we Francji, gdzie możemy mówić o kryzysie tożsamości związanym z określoną polityką migracyjną, która okazała się nieefektywna. Gdzie nie spojrzeć, tam kryzys tożsamości. A zatem może to nie jest cecha charakterystyczna jedynie dla Ukrainy...

Przez długi czas wydawało mi się, że polityka historyczna – podobnie jak inne polityki – uzależniona jest od osobowości naszych prezydentów. Ukraińskich prezydentów dzielę na dwie grupy: Leonida Krawczuka i Wiktora Juszczenkę określiłbym mianem ideokratów, bo w swoich wyborach kierowali się w znacznym stopniu wyznawaną przez siebie ideologią. Natomiast Leonida Kucznię i Wiktora Janukowycza uznałbym za technokratów, gdyż ich decyzje podyktowane były przede wszystkim interesami poszczególnych grup, związanych z różnymi sektorami ukraińskiej gospodarki. Jednak okazuje się, że dla kształtowania polityki historycznej najwięcej zrobił „technokrata” Leonid Kuczma. To za jego prezydentury udało się ukształtować pewne standardy ukraińskiej pamięci. Być może stało się tak, ponieważ pełnił on urząd prezydenta najdłużej, 10 lat, miał zatem czas na ukształtowanie swej względnie rozważnej polityki pamięci. Warto przypomnieć, że to właśnie Kuczma pierwszy podjął próbę uznania Wielkiego Głodu za ludobójstwo na arenie międzynarodowej. Poza tym to właśnie on patronował decyzjom, które wprowadzały Wielki Głód do rytuałów ukraińskiej pamięci. To on jest autorem książki: *Ukraina to nie Rosja*. Wreszcie to on postawił tezę, że na Ukrainie wciąż nie zaistniała idea narodowa. Zakładał, że podstawą dla tej idei będzie komponent etniczny. I było to zwieńczenie jego ideologicznej kariery. To prawda, Kuczma nie wkładał w te działania serca, jak to robili Juszczenko czy Krawczuk, był raczej pragmatykiem, a nie idealistą, ale obiektywnie to on zrobił najwięcej.

Wiktor Janukowycz przypomina Leonida Kucznię, bo w wystąpieniach publicznych trzyma się ambiwalentnej pozycji. W ten sposób usiłuje

integrować społeczeństwo – chodzi o swoisty leseferyzm w dziedzinie polityki pamięci, kiedy wszyscy mogą obstawiać swoją wersję pamięci w przestrzeni publicznej. Wiktor Janukowycz stosuje praktykę, jaką z powodzeniem stosował Juszczenko, który np. nigdy nie pozwolił sobie publicznie na stwierdzenie, że Rosja jest odpowiedzialna za Wielki Głód. Jednocześnie tę tezę propagowały osoby z jego najbliższego otoczenia oraz sojusznicy polityczni. Podobnie Janukowycz nigdy nie powie, że ktoś nie może być ukraińskim bohaterem, bo każdy ma prawo do swoich bohaterów. Jednocześnie jego najbliższe otoczenie i przedstawiciele Partii Regionów nieustannie wypowiadają się na temat konkretnych idei i postaci, skutecznie dzieląc i podburzając ukraińskie społeczeństwo oraz odwracając uwagę od innych, o wiele poważniejszych problemów. Ważne jest też to, że, wbrew ideologizacji przeszłości, polityka pamięci na Ukrainie jest z całym cynizmem traktowana utylitarnie, a „ideologiczne” na pozór konflikty tak naprawdę okazują się technologią manipulacji i sposobem prowokacji używanym przez różne grupy biorące udział w grze politycznej.

Kost' Bondarenko

Gra w historię

W ciągu ostatnich 20 lat zaszło wiele zmian w sposobie kształtowania pamięci historycznej na Ukrainie. Wynikały one m.in. ze stylu działania kolejnych prezydentów. Zupełnie inaczej swoją politykę wobec przeszłości kształtował Wiktor Juszczenko, który – mając powierzchowną wiedzę – prowadził aktywną politykę pamięci i usiłował zaszcześcić wśród Ukraińców dość prymitywną koncepcję historii. Z kolei Leonid Kuczma czy Wiktor Janukowycz, którzy nie mieli i nie mają wiedzy historycznej, zostawili rzeczy swojemu biegowi. Jednak każdy z nich wykorzystywał bądź wykorzystuje pamięć historyczną do swoich celów politycznych, traktując ją instrumentalnie.

Nie mogę powiedzieć, że dziś na Ukrainie istnieje ustrukturalizowana i wyrazista polityka historyczna. W naszym kraju funkcjonuje raczej wiele mitów i stereotypów, które są używane do prowokowania siebie nawzajem. Przedstawiciele przeciwnych obozów politycznych wykorzystują najbardziej drażliwe kwestie, a jeszcze częściej konkretne postaci z przeszłości, aby skupić na sobie uwagę, podkreślić odmiennność polityczną i społeczną, a tym samym zbić kapitał polityczny. W związku z tym środowiska polityczne na Ukrainie Zachodniej nie podejmują kwestii, które mogłyby połączyć ze sobą różne części Ukrainy, lecz odwołują się do takich postaci jak Stepan Bandera czy Roman Szuchewycz, które nigdy nie zostaną zaakceptowane przez mieszkańców jej wschodniej części. To samo dzieje się na wschodzie, gdzie politycy doskonale wiedzą, że Ukraina Zachodnia nie zaakceptuje jako

swoich bohaterów działaczy komunistycznych czy postaci z panteonu imperium rosyjskiego, jak Katarzyna II, Iwan Paskiewicz czy Grigorij Potiomkin. Takie właśnie są zasady tej politycznej gry w historię, np. przedstawiciele Partii Regionów, którzy w mediach poruszają temat OUN i UPA i świadomie kłamią po to, by zdobyć sobie punkty na wschodzie Ukrainy. Podobnie robią przedstawiciele opozycji, kiedy podnoszą kwestie związane z okresem sowieckim czy rosyjskimi rozdziałami w dziejach Ukrainy. Polityków interesują ich własne interesy i bardzo często zmyślona własna pamięć o przeszłości.

Tymczasem Ukraina potrzebuje mitu, który powinien być niepodważalny przez większość. Tylko taki mit może stać się podstawą dla sformułowania jakiejś spójnej koncepcji przeszłości. U nas zaś każdy mit zawiera w sobie wiele sprzeczności, które niekoniecznie odpowiadają rzeczywistości i nie muszą być potwierdzone ani przez dokumenty, ani przez świadków danych wydarzeń. Nasze mitotwórstwo nie wytrzymuje ani krytyki źródeł, ani czasu.

Można powiedzieć, że na tym polega unikalność Ukrainy. Ukraina musi ustawicznie balansować między różnymi tendencjami. To odróżnia nas od Polski, Rosji i wielu innych krajów. Może, do pewnego stopnia, z podobną sytuacją musiały zmierzyć się Belgia, Szwajcaria bądź Kanada. Ciągłe uczymy się budowania zbalansowanego systemu między różnymi siłami politycznymi i różnymi tożsamościami. Wciąż nie znaleźliśmy wspólnego mianownika dla ukraińskiej historii. Dopóki Ukraińcy nie rozumieją, że na nią składają się w równym stopniu Stepan Bandera i Wołodymyr Szczerbycki, Bohdan Chmielnicki i Jarema Wiśniowiecki, i że wszyscy oni powinni znaleźć swoje miejsce w ukraińskiej historii, to nie ma szans na osiągnięcie jakiegoś *consensusu*. I będziemy nieustannie udowadniać sobie nawzajem, że jeden bohater jest ważniejszy od drugiego lub że dla innego nie ma w naszej historii miejsca.

Wołodymyr Kułyk

Kociół pamięci

Nie zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że Ukraina nie prowadzi polityki pamięci. Polityka pamięci jest realizowana – nawet jeśli nie padają jasne i klarowne deklaracje. Wiadomo bowiem, kto jest upamiętniany, komu stawia się pomniki i jakie narracje są promowane w ukraińskich podręcznikach.

Wielu jest także graczy na polu polityki historycznej. Jednym z nich są media. Przy czym nikt z polityków, zwłaszcza rządzących, nie musi oficjalnie deklarować: ta i ta osoba to nasi bohaterowie. Nie muszą tego robić również dziennikarze czy kierujący mediami. Wystarczy, że będą prezentowane określone programy, filmy i seriale oraz że nastąpi odpowiedni podział kanałów telewizyjnych i radiowych. To prezydent przecież ustala skład Rady Ukrainy ds. Radia i Telewizji, która wydaje licencje i ustala wymogi dotyczące m.in. obecności programów kulturalnych w ofercie danej stacji. I to Rada, gdyby tylko chciała, mogłaby np. narzucić ograniczenia, jeśli chodzi o obecność w programach produkcji z zagranicy, w tym z Rosji.

Media mają zresztą – co jest truizmem – największy wpływ na to, co i jak pamiętamy o przeszłości. Wielu tego jednak nie zauważa. Pamięć historyczna dziś jest przede wszystkim kształtowana przez filmy i seriale, które – choć część z nich to ukraińska produkcja – ukraińskimi nie są, jeżeli przeanalizujemy przekazywane przez nie treści. Niedawno byłem świadkiem znaczącej scenki: w Kijowie kręcono serial przeznaczony równocześnie na ukraiński i rosyjski rynek. Asystent zaklejał właśnie ukraińskie numery rejestracyjne

samochodów rosyjskimi. Okazuje się, że film, chociaż przeznaczony na oba rynki medialne, ma wyglądać na rosyjski lub „wschodniostowiański” we wszystkim, poczynając od języka (rosyjskiego oczywiście), po drobiazgi scenografii. Nie ma zatem potrzeby, by w mediach wprost krytykować Stepana Banderę i wychwalać Józefa Stalina. Można o nich w ogóle nie mówić. Wystarczy, że pokażemy odpowiedni obraz z czasów drugiej wojny światowej, np. sowiecki kontrwywiad dzielnie walczący przeciwko Niemcom, i osiągniemy większy wpływ na pamięć historyczną widzów.

Nastąpiła też degeneracja debaty publicznej. W mediach elektronicznych w znacznej mierze zastąpiły ją programy typu *talk-show*. Ten proces zaczął się w czasach pomarańczowej rewolucji. Wówczas zauważono, że społeczeństwo interesuje się polityką. Uznano jednak, że tym, co najlepiej zaspokoi społeczne oczekiwania, jest ostra konfrontacja. Bardzo szybko te programy określono mianem „cyrku”. Dyskusje nie były prowadzone tak, by ich uczestnicy słuchali siebie nawzajem i prowadzili merytoryczny spór. Przyzwyczajono nas do tego, że konieczne są demagogia i populistyczne prezentowanie swojego stanowiska, połączone z wyśmianiem czy deprecjacją przeciwnika. Prowadzący te programy zapraszają skandalistów z obu stron, bo w ten sposób najłatwiej spełnić te oczekiwania. Sadza się więc Wadima Kolesniczenkę, posła z Partii Regionów reprezentującego opcję prorosyjską, i Irynę Farion z partii „Swoboda” i tylko podżega się do kłótni. Taka jest „filozofia” naszych mediów, które są podporządkowane wynikom oglądalności/słuchalności, bo za tym idą dochody. Jednak te programy mają także przynieść określony efekt polityczny. Chodzi o przekonanie widza, że dyskusje są jałowe, a nawet niebezpieczne, zatem może w ogóle lepiej byłoby zrezygnować z debaty publicznej. W efekcie dzisiaj ukraińskie media – także jeżeli chodzi o historię – przypominają wielki kocioł, do którego wrzucono wszystko bez zastanawiania się, bez postawienia pytania o to, kogo wybieramy na naszego bohatera, a kogo odrzucamy, i jakimi kryteriami kierujemy się przy tych wyborach. To wielkie wysypisko, które – pod hasłem uznania różnych poglądów – pozwala na utrzymanie się *status quo*.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Nie należę do zwolenników łatwego, jednoznacznego etykietowania polityki pamięci prowadzonej przez kolejnych ukraińskich prezydentów. Przy bliższym przyjrzeniu okazuje się, że polityka Leonida Kuczmy: „nie kłóćcie się i nie przeszkadzajcie mi w rządzeniu”, która bywa określana mianem inkluzywnej, nie dopuszczała do obecności w sferze publicznej pewnych wydarzeń i postaci. Owszem, to ten prezydent przyczynił się do pluralizmu w patrzeniu na przeszłość i do pogodzenia się z obecnością różnych głosów w dyskusji na te tematy. Mówiono wówczas: po prostu taka jest nasza historia. To prawda, ona składa się z różnych, czasami sprzecznych ze sobą opowieści. Jednak trzeba było wykonać kolejny krok i tę historię ocenić. Poważnie o niej porozmawiać i zastanowić się, dlaczego oceniamy ją w ten, a nie inny sposób. Zabrakło jednak refleksji na temat tego, jak mówimy o przeszłości. Wtedy też można było spróbować stworzyć prawdziwą telewizję publiczną. Nic takiego nie zrobiono.

Zadowoliliśmy się inkluzywnym podejściem – jedni mają swoich bohaterów, inni swoich. Jednak Wiktor Juszczenko naruszył delikatny układ stworzony przez Kuczmę i zdecydował się na konfrontację. Z kolei Wiktor Janukowycz usiłuje wrócić do stanu sprzed prezydentury Juszczenki, a może nawet jeszcze wcześniejszego, cofając się w stronę pamięci sowieckiej. To zrodziło napięcia społeczne. Jednak nie wierzę w możliwość zwrotania jakiegoś „okrągłego stołu o pamięci”. Pokazałby on bowiem, że nie możemy dojść do porozumienia. Dlaczego? Bo stan napięcia politycznie się opłaca. Politycy mogliby doprowadzić do zgody, gdyby zmusili ich do tego wyborcy. Ale większość nie chce zmiany. Zatem dalej będziemy mieszały w tym kotle.

Mykoła Kniażycki Co się pamięta?

Dziś, gdy spojrzymy na stan ukraińskiej pamięci historycznej, zwłaszcza gdy chodzi o narody, które żyły we Lwowie (poza Ukraińcami) – o Polaków, o Żydów – okaże się, że zostaliśmy daleko w tyle. Dlaczego tak się stało? Być może wynika to z faktu, że nie mamy historii, która mogłaby nas połączyć.

Tereny, które składają się na dzisiejszą Ukrainę, wchodziły w obręb różnych państw: Związku Radzieckiego, Austro-Węgier, Rzeczypospolitej. Żyjemy na terytorium, które przez dekady pozostawało pod wpływem propagandy radzieckiej. Dzisiaj nikt nie pamięta powstań Bohdana Chmielnickiego czy Iwana Mazepy. Ludzie natomiast pamiętają Wielki Głód. Dlatego ukaz prezydenta Wiktora Juszczenki o ustanowieniu dnia pamięci ofiar Wielkiego Głodu został tak pozytywnie przyjęty przez ukraińskie społeczeństwo. Ta tragedia bowiem była doświadczeniem wielu ukraińskich rodzin. Ludzie pamiętają także tragedię drugiej wojny światowej, bo cierpieli, doświadczali okupacji i widzieli, jak giną ich bliscy – ta pamięć istnieje w naszych rodzinach. Pamiętają też okres UPA i to, co na Ukrainie nazywa się „walką wyzwoleniczą”. To niezwykle tragiczna pamięć, która łączy i dzieli.

Można wiele mówić na temat np. francuskiego multikulturalizmu, jednak trzeba pamiętać, że we Francji istnieją instytucje oraz ustawodawstwo, które troszczy się o pamięć. Na Ukrainie niby mamy Instytut Pamięci Narodowej, jednak nie widać, aby on coś robił w tej dziedzinie.

Jakie są konsekwencje tych zaniechań? Przede wszystkim takie, że my do dziś żyjemy wśród radzieckich stereotypów. Próbuje się nam narzucić radzieckie wzorce i wartości. Nikt nie protestuje, gdy ukraiński minister oświaty Dmytro Tabacznuk składa propozycję, aby zamiast pomnika ukraińskiego kompozytora Mykoły Łysenki postawić na Ukrainie pomnik Piotra Stołypina. Stawianie pomnika to przecież odpowiedź na pytanie o bohatera i wartości, które chcemy kultywować. Okazuje się, że tym bohaterem ma być Stołypin – antysemita i wróg ukraińskiej kultury. Jednocześnie mamy innych bohaterów, o których nasze państwo pamiętać nie chce, wśród nich takich, którzy ratowali Polaków podczas drugiej wojny światowej. O niektórych pamięta społeczeństwo, o niektórych pamiętają nasze Kościoły. Jednak w większości na Ukrainie zwycięża spuścizna radziecka, „wzbogacona” o rosyjskich bohaterów w rodzaju Piotra Stołypina czy Grigorija Potiomkina.

Niestety na Ukrainie nie prowadzi się dyskusji o pamięci. Politycy nie prowadzą debat na temat kultury czy historii. Składają jedynie oświadczenia, budując polityczny kapitał i walcząc o elektorat. Mówią jedynie o tym, co może im pomóc zwyciężyć w wyborach w danym regionie. Dlatego na zachodzie mówią o UPA, a na południu o Katarzynie II i obronie Sewastopola. Nikomu nie przychodzi na myśl, by zorganizować ogólnoukraińską dyskusję o pamięci. Nie było próby zorganizowania okrągłego stołu, który przede wszystkim powinien być poświęcony temu, co z naszej przeszłości chcemy pamiętać i w jaki sposób. Jestem bowiem przekonany, że nie tylko kultura i język, ale również wartości są w stanie pogodzić ludzi, którzy działają w różnych regionach Ukrainy. Natomiast ci, którzy wpisują się w politykę nienawiści, niezależnie od tego, jakim językiem mówią, powinni zostać napiętnowani. Jednak na Ukrainie nie ma zbyt wielu zwolenników takiego myślenia. Jest czymś akceptowalnym, że przewodniczący Rady Ministrów Krymu Anatolij Mohyliow oświadcza, iż cały naród krymski był pomocnikiem nazistów, zatem Stalin dobrze zrobił, wypędzając Tatarów z Krymu. Gorzej, nikt z władz państwowych nie protestuje wobec tego typu oświadczeń. Taka jest ukraińska rzeczywistość.

Na koniec coś na temat mediów. Z ich punktu widzenia ukraińska historia i kultura są nieciekawe. Większość przestrzeni medialnej w tej sferze jest wypełniana przez produkcję rosyjską. Eter został zdominowany przez rosyjskie seriale, na półkach stoją DVD z rosyjskimi filmami. Próbowałem to zmieniać i pokazywać polskie programy na Ukrainie. Niestety spotkało się to z brakiem zrozumienia ze strony polskiej telewizji publicznej. Zaproponowano nam tak wysokie ceny, że nie mogliśmy kupić licencji. Tymczasem Rosja ma bardzo jasną i klarowną politykę w tej sferze. I w ten sposób wygrywa. Stale ma wpływ na to, co i w jaki sposób pamięta się na Ukrainie.

Wiaczesław Briuchowiecki

Pytanie, które stało się banałem

Spory o pamięć są jedną z najważniejszych kwestii w życiu intelektualnym i politycznym Ukrainy. Oczywiście są one podnoszone na różne sposoby, ale każda poważna rozmowa o Ukrainie w ciągu ostatnich 20 lat sprowadzała się do pytania o ideę narodową. Pytanie o naszą tożsamość stało się wręcz banałem.

Jednocześnie mamy problem z określeniem tego, co dla nas oznacza idea narodowa. Jej wizja jest różna w różnych regionach Ukrainy. Nie zapominajmy jednak, że państwo ukraińskie, które pojawiło się na mapie Europy 20 lat temu, zaistniało w takim kształcie po raz pierwszy w historii. Przez wiele lat, a nawet stuleci Ukraina była rozerwana między różne państwa. Są jednak określone czynniki i cechy, które pozwalają stwierdzić, że jesteśmy jednym narodem. Potrzebny jest tylko czas, abyśmy to dostrzegli w sposób organiczny.

Rzadko mówi się o tym, że proces kształtowania się ukraińskiego narodu zachodzi w zupełnie innych warunkach niż w przypadku innych narodów Europy. Kiedy dziś mówimy o jedności narodu ukraińskiego jako czynnika narodowotwórczego, to nie uwzględniamy tego, że samo pojmowanie „państwa” i „narodu” w Europie ulega zmianie. Nam trudno to dostrzec, bo jesteśmy w trakcie tego procesu.

Próby określenia czynników jedności narodowej na podstawie różnych pragmatycznych bądź ideologicznych postulatów do niczego nie prowadzą.

Z jednej strony, mówimy bowiem, że jedność Ukrainy polega na tym, aby wszyscy uznali siebie za ukraińskich patriotów, podobnie jak np. Francuzi są patriotami swojego państwa. Jednak taki sposób myślenia odzwierciedla tylko część problemu. Z drugiej strony, pojawiają się głosy, że idea narodu dziś to dbanie jedynie o ekonomiczny rozwój kraju: jeżeli Ukraina stanie się dostatnia i bogata, to wtedy wszyscy będą zadowoleni. Taki sposób myślenia nie jest pozbawiony sensu, jednak nie daje odpowiedzi na podstawowe pytanie. Na Ukrainie są ludzie bardzo zadowoleni ze swojej pozycji finansowej, wiele ukradli, stali się niewyobrażalnie bogaci, jednak trudno uważać ich za potencjalnych twórców nowej wspólnoty narodowej. Dla nich ważne jest tylko bogacenie się. Można dać przykład tak zwanych „ukraińskich” oligarchów. Ukraina bardzo różni się od Rosji, bo tam każdy oligarcha powie, że jest Rosjaninem. Na Ukrainie natomiast nie jest oczywiste, że ukraiński oligarcha uzna się za Ukraińca, a tym bardziej nie będzie ukraińskim patriotą. Zapewne częściej usłyszymy odpowiedź: „tak naprawdę jesteśmy Rosjanami” – chociaż w rzeczywistości mentalnie oni Rosjanami nie są. Zatem powodzenie finansowe nie może stać się podstawą kształtowania idei narodowej.

Jak zatem Ukraina może zjednoczyć się wewnątrz i ukazać światu swój potencjał, jeśli wciąż nie radzi sobie z ideą narodową? To niemożliwe. Oczywiście nie oznacza to, że Ukraina przestanie istnieć. Pytanie dotyczy raczej tego, jaka ta Ukraina będzie.

Dzisiaj w kręgach rosyjskich ekspertów jest oczywiste, że niczego nie da występowanie przeciwko niepodległości Ukrainy. Jednak ci, którzy uważają się za przeciwników istnienia Ukrainy bądź uważają ją za historyczne nieporozumienie – a takich ludzi jest wielu – stawiają sobie inny cel: zbudowanie rosyjskiej Ukrainy. Nie chodzi tu tylko o tak zwany *ruszkij mir*, ale o to, że Ukraina ma być rosyjska, a przede wszystkim rosyjskojęzyczna. I niestety ta rosyjska Ukraina ma wielu rzeczników w ukraińskiej Radzie Najwyższej oraz w różnych kręgach politycznych. Proces budowania właśnie takiej Ukrainy postępuje, zwłaszcza że część elity politycznej, która się temu przeciwstawia, nie proponuje jakiegś wspólnej koncepcji, lecz kilka konkurencyjnych.

W efekcie skutecznie tworzona jest nie rosyjska (bo to niemożliwe), ale zrusyfikowana Ukraina.

Uważam, że ten plan „rosyjskiej Ukrainy” nie ma szans powodzenia, ponieważ jest wiele elementów, które nie pozwolą na jego pełną realizację. Natomiast jeśli nie nastąpi samoidentyfikacja ukraińskiego narodu, to proces tworzenia nowoczesnego ukraińskiego narodu będzie długotrwały, złożony i pełen konfliktów.



Mykoła Ridnyj, *Pomnik (Monument)* [kadr z filmu], 2012, zbiory Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Część IV

Ukraina: pamięć a relacje z sąsiadami

Mykoła Riabczuk

Granice kompromisu

Ukraina oczywiście ma wielu sąsiadów, ale realnie – jeżeli popatrzymy na problem pamięci i tożsamości – jedynie dwóch: Polskę i Rosję. To wobec nich się samookreśla.

Nie zapominajmy, że tożsamość ma wymiar wartościowy. Tymczasem w rozmowach o polityce tożsamości i polityce pamięci na Ukrainie o tym często się zapomina. A przecież za wyborem tożsamościowym kryje się jeszcze jeden fundamentalny wybór: cywilizacyjny. I przed takim wyborem Ukraina wciąż stoi. Jeżeli zatem mówi się o inkluzywnej metodzie tworzenia współczesnej ukraińskiej tożsamości – do czego nas często nawołują – to chciałbym zapytać: co to oznacza w praktyce?

Narody mogą mieć wspólne wartości, jednak ich interesy nigdy nie są takie same. Można je uzgodnić na drodze kompromisów, osiągnąć pragmatyczne pojednanie, taką sobie zgodę na wzajemną niezgodę.

W obu wymiarach – wewnętrznym i zewnętrznym – kluczowe jest pytanie o granice możliwego kompromisu. Łatwo powiedzieć: bądźmy inkluzywni, niech sobie zachodnia Ukraina ma jednych bohaterów, a wschodnia drugich. Ale gdzie przebiega granica moralnej akceptacji tych bohaterów? Jak to się ma do wartościowego wymiaru jednej tożsamości i drugiej? Czy bohaterem może być Stalin? I czy w takim razie inni mogą sobie zrobić bohatera, powiedzmy, z Hitlera? Jakie są granice tolerancji?

Ukraińcy mogą uzgodnić swoje interesy zarówno z Polakami, jak i z Rosjanami, znaleźć pole kompromisu. Gdy chodzi o tożsamość, łatwiej przychodzi porozumienie z tymi pierwszymi, bowiem przy całym dramatyzmie wspólnej przeszłości, dzisiejsza Polska nie stanowi zagrożenia dla ukraińskiej tożsamości. Rosja takim zagrożeniem jest, bo nadal kwestionuje ukraińską tożsamość.

Dzisiejsza Ukraina jest częścią medialnego i kulturowego *rusckiego mira* (i podlega propagandowemu naciskowi Moskwy). Nadal nie może wydostać się z tego „rosyjskiego świata”. W tej sytuacji konflikty wokół pamięci na Ukrainie w niewielkim stopniu zależą od poglądów lewicowych czy prawicowych. Główny podział jest nacechowany fundamentalną sprzecznością między antykolonialną, narodowowyzwoleńczą ideologią a postawą kolonialną czy neokolonialną. Z tego podziału wynikają paradoksy związane z wyborem bohaterów–symboli. Opowiadający się za Leninem widzą w nim nie tyle symbol lewicy, ile kolejnego – po Piotrze I i Katarzynie II, Paskiewicz i Stołypinie – budowniczego rosyjskiego państwa. To ono, a nie solidarność ludzi pracy, stanowi dla nich główną wartość. Natomiast dla obozu opozycyjnego, zwanego „nacjonalistycznym”, Lenin jest przede wszystkim symbolem kolonialnej dominacji. W taki sam sposób Stepan Bandera jest złoczyńcą dla jednych i bohaterem dla drugich – nie ze względu na jego poglądy polityczne i nawet nie z powodu jego działalności, a przede wszystkim dlatego, że jest symbolem ukraińskiego oporu, uosobieniem narodowowyzwoleńczej, antykolonialnej walki.

Mamy zatem do czynienia z dwoma przeciwstawnymi i diametralnie różnymi podejściami: narracja wyzwolenia narodowego i narracja dominacji. W ostatnich latach na Ukrainie polityka pamięci, a zwłaszcza „wojna pomnikowa” – dążenia do upamiętnienia i dezawuacji pamięci – są częścią tej symbolicznej walki. Właśnie ideologia – antykolonialna czy neokolonialna – a nie język lub etniczność, wyznacza podziały tożsamościowe na Ukrainie. W Irlandii Północnej podobnymi wyznacznikami są protestantyzm i katolicyzm, wcale niewskazujące na sprzeczności konfesyjne (w stosunku do praktyk religijnych czy dogmatów), lecz na wierność określonym narracjom

i koncepcjom interpretacji przeszłości. Podobnie jest na Ukrainie. Tylko jednych uczestników sporu w dużym uproszczeniu nazywa się rosyjskojęzycznymi, a drugich ukraińskojęzycznymi, w ten sposób określając o wiele głębsze podziały ideologiczne.

Należy także pamiętać, że upamiętnianie bohaterów komunistycznych jest częścią ogólnorosyjskiej polityki pamięci. Dlatego nie bez znaczenia jest to, czy mówimy np. „Wielka Wojna Ojczyzniana” czy „druga wojna światowa”. To nie są niewinne nazwy. Oczywiście nie nawołuję do wydania zakazu używania pierwszego z tych terminów, ale należy otwarcie mówić, skąd pochodzi ta formuła i co ona oznacza. „Wielka Wojna Ojczyzniana” jest częścią rosyjskiej narracji imperialnej, która *a priori* neguje istnienie Ukrainy.

Ostatnia uwaga. Stosunki z sąsiadami niewątpliwie komplikują się z powodu ukraińskiej regionalizacji pamięci i niezakończonych ukraińskiej wojny o kanon historyczny. To powoduje, że polsko-ukraińskie problemy z przeszłością w rzeczywistości są polsko-zachodnioukraińskimi sporami, bo tylko na tym terenie Ukrainy zachowały one swą aktualność. Natomiast w centrum i na wschodzie kraju te spory są po prostu niezrozumiałe. Bardziej niepokojąca na Ukrainie jest żywotność antyokcydentalnej tradycji (niegdyś jej komponentem była antypolskość, ale obecnie znalazła się na marginesie). Chodzi o żywotność tradycji wywodzącej się z kozactwa, z silnym antyzachodnim kierunkiem i przywiązaniem do tak zwanych wartości tradycyjnych.

W tym momencie należałoby postawić pytanie: cóż to są ukraińskie wartości tradycyjne? Nie znam dobrej odpowiedzi. Łatwiej mi natomiast odpowiedzieć na pytanie o wartości europejskie. Łączą się one z wartościami liberalnej demokracji – są to: wartość indywidualnego życia, wolność przekonań, wolność słowa, nienaruszalność prawa własności etc. Wszystkie one nie mieszczą się w rosyjskim czy tak zwanym eurazjatyckim systemie wartości.

Podam tylko jeden przykład, który pokazuje sposób, w jaki te ogólne zasady przekładają się na konkretne sytuacje. Zastanawiający jest dla mnie kult Stalina wśród obywateli Rosji (w odróżnieniu od Ukrainy, gdzie on nie jest tak rozpowszechniony). Co ciekawe, mówi się tam wiele na

temat dokonanych przez niego zbrodni. Zatem aprobata ta nie bierze się z niewiedzy, lecz raczej z przyjęcia idei wielkopaństwowej, której Stalin jest jednym z wcieleni; idea ta bowiem okazuje się ważniejsza od wszelkich innych wartości.

Wróć do idei inkluzywności. Tworząc ukraińską tożsamość, musimy ustalić pewne jej granice. Można zatem zgodzić się – w imię szacunku dla przekonań innych – np. na pozostawienie istniejących już na Ukrainie pomników Lenina. Jeżeli jednak chce się stawiać kolejne, a w dodatku jeszcze Stalina czy Stołypina, to takimi działaniami w sposób nieunikniony prowokuje się zimną wojnę obywatelską.

Andrij Portnow

Ukraina, Rosja i inni sąsiedzi

Ukraina i sąsiedzi? W dyskusjach na ten temat skupiamy się zazwyczaj na relacjach z Polską i Rosją. Trochę zapominamy, że Ukraina graniczy z większą liczbą państw: Węgrami, Rumunią, Słowacją, ale też Mołdawią i Białorusią. O nich niewiele wiemy, co już powinno nam dawać do myślenia. Robimy tak również wtedy, gdy rozmawiamy o pamięci i historii. Wciąż ograniczamy się do relacji dwustronnych. To błąd, ponieważ do rozmowy o stosunkach polsko-ukraińskich czy ukraińsko-rosyjskich tak naprawdę konieczny jest trzeci człón: w zależności od sytuacji to będzie Polska lub Rosja. Powinniśmy pamiętać o innych sąsiadach.

Obecnie w dominujących ukraińskich dyskursach o przeszłości – politycznych, medialnych, naukowych – przeważa tematyka rosyjska i sowiecka. Rosja i ZSRR często są ze sobą utożsamiane. Natomiast inne tematy są podporządkowane tym rosyjskim/sowieckim kwestiom. Dotyczy to również Polski i relacji polsko-ukraińskich. Stanowi to zresztą poważne wyzwanie dla polskiej historiografii, ale też dla debaty publicznej. Nie chce się bowiem często zauważyć, że np. rzeź wotyńska nie znajduje się na pierwszym planie w ukraińskich dyskusjach o drugiej wojnie światowej ani o UPA. Gorzej, że w ogólnie nie jest ona istotnym tematem w ukraińskiej debacie, lecz wątkiem podporządkowanym kwestii oceny i wagi antysowieckich walk UPA, które trwały co najmniej do połowy lat 50. Dlaczego jest to takie ważne? Otóż Ukraina ma ciągle problem ze stworzeniem narracji umożliwiającej

taki rodzaj samoprezentacji, który w zrozumiały sposób oddzielałby ją od Rosji i Związku Sowieckiego.

Kolejny sąsiad – Białoruś. Trudno znaleźć w historii przykłady istotnych konfliktów ukraińsko-białoruskich, chociaż można przywołać np. spór między Ukraińską Republiką Ludową i Białoruską Republiką Ludową o Polesie po rewolucji 1917 roku. Mimo tego braku napięć rzuca się w oczy brak jakiegokolwiek poważniejszego białorusko-ukraińskiego dialogu o przeszłości, debat, publikacji czy projektów badawczych. Nie udała się próba odwołania do wspólnego dziedzictwa I Rzeczypospolitej, chociaż wiele wysiłków podejmował m.in. lubelski Instytut Europy Środkowo-Wschodniej. Białoruś pozostaje krajem, gdzie – co wie każdy na Ukrainie – rządzi Aleksandr Łukaszenka. I tyle. A jest to ciekawy przypadek, jeżeli popatrzymy na tamtejszą politykę tożsamości, która została oparta na tożsamości postsowieckiej, bez języka oraz tradycji narodowej. To ważny *casus*, jeśli weźmiemy pod uwagę ukraińskie poszukiwania idei narodowej itd. Innymi słowy, na Białorusi mamy najostrzejsze zaprzeczenie modnej tezy o krajach postsowieckich jako *nationalizing states*.

Są wreszcie trzy kraje unijne – pozostawiam teraz na boku przypadek Polski – czyli Słowacja, Węgry i Rumunia (Mołdawię traktuję – w sensie historycznym, językowym i kulturowym – jako część tej ostatniej). Jeżeli popatrzymy na dialog z Ukrainą o historii (nie tylko zresztą), to w przypadku Rumunii pozostaje on na poziomie zerowym. Nie ma nawet nowej historii Rumunii wydanej po ukraińsku. Polska przez całe lata zapraszała ukraińskich badaczy, organizowała konferencje. Rumunia nie zrobiła nic. Można zapytać: a jakie praktyczne znaczenie ma brak debat o przeszłości? W Rumunii dominuje dziś negatywny stereotyp Ukraińca połączony z brakiem jakiegokolwiek głębszej wiedzy o tym kraju. Zresztą o ukraińskim wizerunku Rumunii można powiedzieć to samo. W Galicji określenie „Rumun” jest na poziomie języka codziennego uznawane za obraźliwe. Ten brak wiedzy i kontaktów może nieść ze sobą poważne następstwa polityczne. Mamy bowiem do czynienia z dwiema ignorancjami, a taka sytuacja prędzej czy później może skończyć się kłopotami.

Słowacja – tu także trudno mówić o jakimkolwiek konsekwentnym i widocznym dialogu. Nie ma poważniejszych sporów historycznych czy tożsamościowych.

Ciekawy natomiast jest przypadek Węgier. Na terenie Zakarpacia można mówić o niebywalej węgierskiej obecności, nieporównywalnej z terenami ekspolskimi czy eksrumuńskimi na Ukrainie. Liczba pomników węgierskich postawionych tam w czasach postsowieckich, instytucji i inicjatyw kulturalnych jest wyjątkowa. Tyle że obecność Węgier na Ukrainie ogranicza się do Rusi Zakarpackiej (Rusi Podkarpackiej według Węgrów), czyli historycznych Węgier. Gorzej jest z dialogiem, który wykraczałby poza te terytorialne ramy (powstały co prawda projekty napisania nowego podręcznika historii z udziałem naukowców z obu stron, ale zobaczymy, co z nich wyniknie).

Ciekawe może być porównanie węgierskiej i polskiej polityki. Ta pierwsza ma jedynie wymiar regionalny. Polsce zależy zaś nie tylko na dialogu prowadzonym na Wołyniu czy w Galicji Wschodniej, lecz na rozmowie między dwoma państwami i dwiema wspólnotami.

Do listy państw-sąsiadów należałoby jeszcze dopisać Turcję. Tu także nie ma dialogu historycznego, choć przecież wspólne dzieje są bardzo bogate, a historyczna obecność imperium osmańskiego na Ukrainie sięgała Kamieńca Podolskiego. Na ten temat jednak w ogóle się nie rozmawia.

Dzisiaj Ukraina prowadzi rozmowę o przeszłości z Rosją i Polską, z dominacją tej pierwszej. Polskie tematy pojawiają się sporadycznie i to w kontekście mniej lub bardziej ważnych wydarzeń politycznych. Zaryzykowałbym tezę, że dialog polsko-ukraiński jest uzależniony od kształtu dialogu ukraińsko-rosyjskiego (jego intensywności w danych momentach i braku w innych). Jednak mówiąc o „Ukrainie”, tak naprawdę należy zawsze mówić o Ukrainach w liczbie mnogiej (o wielu, nie dwóch, by przywołać tytuł znanego eseju Mykoły Riabczuka). Bo o jednej pamięci czy wizji historii w tym przypadku raczej nie wypada mówić.

Taras Wozniak

Historia czy historie?

Nieustannie mówimy o pamięci historycznej. To tautologia, bo przecież historia jest pamięcią, zapisaną lub niezapisaną, opowieścią o tym, co się niegdyś zdarzyło. Piszemy ją na nowo. Nieustannie ją przepisujemy. Te same wydarzenia widzimy dzisiaj inaczej niż przed 10, 20 laty. Inaczej, niż widzieli je nasi przodkowie. Dotyczy to zwłaszcza wydarzeń z naszej względnie niedawnej przeszłości, a nie tego, co się wydarzyło ponad 100 lat temu. Porównajmy chociażby obecne wyobrażenia o Wołyniu czy akcji „Wisła” z tymi sprzed dekady.

Historia, czy raczej sposób pamiętania o niej, świadczy przede wszystkim o nas samych, a nie o wydarzeniach, które opisujemy. Bardzo często także mówimy: „nasza historia”. „Nasza”, czyli czyja? Moja, Tarasa Wozniaka? Czy narodu ukraińskiego? Czy Galicjan, Wołynian jako wspólnoty?

Moja historia o tych czy innych wydarzeniach, wynikająca z osobistego doświadczenia i własnych wspomnień, jest różna od pamięci opisywanej w oficjalnych podręcznikach i od pamięci innych osób. Moja rodzinna pamięć o drugiej wojnie światowej różni się od tej, która obecnie jest uważana za historię ukraińską czy za ukraiński sposób widzenia tych wydarzeń. Musimy zatem zawsze uwzględniać, kto jest nosicielem danej pamięci. Druga wojna jest inaczej widziana przez Wołynian, inaczej przez Galicjan, inaczej przez mieszkańców Doniecka. Inaczej przez pojedyncze osoby, a inaczej przez całą tamtejszą społeczność. Na te wszystkie pamięci

nakłada się wreszcie oficjalna, „kanonizowana” historia, pisana przez państwo i wykładana w podręcznikach. Piszę o tym nie po to, aby relatywizować historię, lecz aby przypomnieć, że jest ona konstruktem, który ustawicznie podlega zmianom.

Istnieje jeszcze jeden element, którego nie należy pomijać: polityka. Ze zderzenia mojego osobistego widzenia historii z innym osobistym widzeniem może, chociaż nie musi, wyniknąć jakiś spór, a nawet personalny konflikt. Inny wymiar mają decyzje państw, uchwały parlamentów *etc.* Wynikają z nich także prawne konsekwencje. Bo takie decyzje o „kanonizacji” to często próba postawienia przysłowiowej kropki nad „i” nad pewnymi zdarzeniami historycznymi, zamknięcia ich w litych, nienaruszalnych ramach (co nie jest przecież wykonalne).

Historia jest też rzeczą złożoną. Musimy się z tym pogodzić. Niekoniecznie musi być osiągnięta zgoda co do oceny poszczególnych wydarzeń, wszyscy bowiem w różny sposób na nie patrzymy. Jednak jako wspólnota, chcąc zachować pokój tak wewnątrz naszych społeczeństw, jak i na poziomie międzynarodowym, musimy czasami zawrzeć pakt o nieagresji, którego częścią jest uznanie: w taki sposób widzicie swoją historię, uczycie swoje dzieci, odwołujecie się do określonej tradycji kulturowej – lecz my także musimy mieć prawo do swojego widzenia historii. Problem na Ukrainie polega na tym, że są to bardzo różne spojrzenia, które w rzeczywistości konstytuują dwie różne wspólnoty.

Można to napięcie pokazać na przykładzie polityki poszczególnych miast czy władz obwodów w stosunku do tych lub innych zdarzeń dziejowych. Wspomnę chociażby debaty w radzie miejskiej Lwowa dotyczące „polskich grobów wojskowych na Łyczakowie” (Cmentarz Orłąt), trwające od 1995 roku, odnoszące się do upamiętnienia ofiar spalonej w roku 1944 polskiej wsi Huta Pieniacka czy rocznic wydarzeń wotyńskich obchodzonych w 2003 i 2013 roku. Jak zauważył Kost’ Bondarenko, historia to mit, który tworzymy, a potem uważamy, że opowiada ona dokładnie o rzeczywistych wydarzeniach. Oprócz tego – dodałbym – te mity utwierdzają nas w słuszności obecnych czynów. Ale to tylko mity.

Owa lokalna polityka pamięci ma bardzo realny wymiar. Lwowska, łucka czy tarnopolska rada miejska wypracowują swoje mity, które przekładają się na konkretne działania, jak sposób uhonorowania kombatanów UPA, uroczystości im poświęcone, wypłaty świadczeń pieniężnych. Ta polityka różni się od tej uprawianej przez Kijów na poziomie państwowym, ale jest tolerowana. W ten sposób *de facto* stwarza się nieoficjalny kompromis między różnymi widzeniami przeszłości. Tym samym zbliżamy się do jakiegoś ukraińskiego paktu o nieagresji dotyczącego pamięci historycznych.

Prowadzenie tych lokalnych polityk pamięci ma wreszcie wpływ na relacje z sąsiadami. Często te rozmaite zderzenia ukraińskich pamięci historycznych, tych upaństwowionych i tych lokalnych, przekładają się na dialog między oficjalną pamięcią polską i ukraińską. Tylko strona polska czasami tego nie zauważa. Nie dostrzega, że ma do czynienia nie tylko z oficjalną pamięcią Kijowa, ale także z regionalną pamięcią Iwano-Frankiwska czy Lwowa. Różnice i napięcia między tymi pamięciami są wykorzystywane do manipulowania stosunkami ukraińsko-polskimi, nie tylko przez Kijów, ale też strony trzecie, a nawet czwarte.

Maksym Stricha

Triada Maksyma Rylskiego

Wiele uwagi poświęcamy współczesności. Chciałbym jednak wrócić do bardziej odległych czasów. W latach 50., jak wiadomo, ukraińska literatura radziecka znajdowała się w niezwykle trudnej sytuacji: podlegała silnemu naciskowi ideologicznemu i ostrej cenzurze. W tym to czasie Maksym Rylski, wybitny poeta, centralna postać ówczesnej literatury i jeden z nielicznych ocalałych z wielkich represji lat 30., w swych tekstach umieszczał Tarasa Szewczenkę w jednym rzędzie z Aleksandrem Puszkinem i Adamem Mickiewiczem. Podkreślał bliskość tych trzech poetów, ale też w ten sposób starał się podkreślić podmiotowość Ukrainy i zaznaczyć, że obok wielkiego rosyjskiego sąsiada jest jeszcze ktoś inny – Polska. Próbował pokazać, że Ukraina funkcjonuje między tymi narodami.

Maksym Rylski jednakowo cenił Puszkina i Mickiewicza, czego dowiódł swoimi kongenialnymi przekładami *Eugeniusza Oniegina* i *Pana Tadeusza*. To drugie tłumaczenie, opublikowane w 1927 roku, ukazało się w języku ukraińskim w Warszawie w roku 1934 w setną rocznicę wydania poematu Mickiewicza – jako najlepsze ze wszystkich przekładów tego dzieła na inne języki, które wówczas istniały. Dzisiaj Myrośław Popowycz, jeden z czołowych ukraińskich intelektualistów, osoba o niewątpliwie liberalnej orientacji, podkreśla, że teza Rylskiego w XXI wieku brzmi dość anachronicznie. Dla większości ludzi pokolenia samego prof. Popowicza, którzy ukończyli już szkołę radziecką, Puszkina był „swoim”, zaś Mickiewicz raczej „obcym”.

Jednak dla większości współczesnych Ukraińców, którzy literatury klasycznej nie czytają, obcy są już obaj pisarze.

Dlaczego się tak stało? Odwołam się do własnego doświadczenia. Nie jestem typowym kijowianinem ani też typowym przedstawicielem centralnej Ukrainy. Miałem bowiem możliwość kontaktu z pokoleniem moich dziadków (a nawet z jedną prababcią). Większość, ze względu na wojny, masowy głód, represje, takiego szczęścia nie miała. Mój dziadek, wybitny uczonek, opowiadał mi o Kijowie lat 20., gdzie obok języka rosyjskiego, którego używano w codziennych rozmowach, i ukraińskiego, którego obecność wzmocniał napływ przybyszy ze wsi, trzeba było znać przynajmniej podstawy języka polskiego. Mniejszość polska w Kijowie była wówczas niewielka, liczyła około 5–6 proc. wszystkich mieszkańców miasta, ale nadal pozostawała widoczna. Dopiero represje lat 30. wymazały Polaków z krajobrazu Kijowa. Obecny był także język jidisz. Jednak większość żydowskich mieszkańców miasta padła ofiarą Holocaustu. I dopiero dziś widzimy próby odtwarzania tej kultury. Wreszcie w wyniku polityki rusyfikacji, realizowanej z sukcesami w latach 60. i 70., ukraiński w Kijowie stał się „językiem pisarzy i dozorców”, czyli językiem niewielkiej grupy inteligencji, świadomej swej tożsamości narodowej, oraz prostego ludu, który nie zdążył się zrusyfikować.

W ostatnich dekadach próbowano doprowadzić do odrodzenia obecności polskiej kultury w Kijowie. Było to rodzajem wyzwania rzuconego rosyjskiemu dyskursowi i próbą odtworzenia triady Ukraina–Polska–Rosja zaproponowanej przez Ryłskiego. Niewiele jednak udało się zrobić. Inaczej jest z Rosją i z jej obecnością/nieobecnością na Ukrainie. To jest zresztą, moim zdaniem, przyczyna problemów, z którymi dzisiaj Ukraina się boryka, nie tylko dotyczących kwestii tożsamościowych, ale także jej cywilizacyjnego wyboru.

Nie jest to oczywiście nowy problem. Mykoła Kostomarow, ale także Wołodymyr Antonowycz i inni sięgali po dyskurs kozacki, zasadniczo antyokcydentalny (choć czasami pojawiały się w nim też wątki okcydentalistyczne). Z kolei np. Jewhen Małaniuk, w latach 20. i 30. ubiegłego stulecia osiadły w Warszawie, konsekwentnie pisał o odrodzonej ukraińskiej okcydentalności, którą przeciwstawiał temu, co wschodnie – rosyjskości.

Dzisiaj Rosja na Ukrainie – co zrozumiale – jest obecna przede wszystkim w dyskursie krzywdy. Oficjalnie nikt np. nie oskarżał Rosjan o ludobójstwo, ale o niszczenie języka ukraińskiego – tak, bo nie brakuje oficjalnych aktów z ostatnich 200 lat będących tego dowodem, jak cyrkularz wałujewski z 1863 roku, wprowadzający na terenie Ukrainy Naddnieprzańskiej ostre ograniczenia w wydawaniu literatury pięknej w języku ukraińskim oraz całkowity zakaz druku podręczników. Oczywiście podkreślano też momenty narodowych zwycięstw nad Rosjanami, jak bitwa pod Konotopem z 1659 roku, które – z różnym skutkiem – próbowano upowszechniać w świadomości zbiorowej.

Ukraina ma też nadal problem z pokazaniem swej odrębności. Dzisiaj możemy mówić o obecności w kulturze światowej czterech postaci z Ukrainy: Iwana Mazepy jako bohatera różnych dzieł europejskiego romantyzmu, Dmytra Bortniańskiego często postrzeganego jako rosyjskiego kompozytora, Aleksandra Archipenki (Ołeksandr Archypenko) nadal utożsamianego przede wszystkim z kulturą rosyjską i Ołeksandra Dowżenki jako ważnego twórcy radzieckiego kina. Tylko oni. I trzeba wiele zrobić, by oni byli inaczej postrzegani oraz by zauważono inne postacie. Niestety w obecnym stanie państwa ukraińskiego to mało realne.

Jest jeszcze jeden istotny element ukraińskiej tożsamości, o którym często zapominamy: Ukraina i Orient, Ukraina i step. Dzisiaj ten nurt orientalistyczny ponownie się odradza. Niezbyt może spektakularnie, ale też jest obecny w kulturze masowej (np. nadawany był w ukraińskiej telewizji serial turecki o Roksolanie). Co kryje się za tym zainteresowaniem? Część elit intelektualnych uważa, że trzeba szukać innej orientacji, nie zachodniej ani wschodniej. Dlatego ich spojrzenie zwróciło się na południe. Pojawiły się koncepcje, by zamiast integracji z Europą (nie wiadomo, czy w ogóle możliwej) lub z Rosją, czy zamiast koncepcji międzymorza, czyli stowarzyszenia państw położonych wokół Morza Czarnego (co się też nie udało), myśleć o związku z Turcją, która podobnie jak Ukraina (tylko o wiele dłużej) myśli o Unii Europejskiej, ale nie jest tam przez Europejczyków mile widziana.



Mykoła Ridnyj, *Pomnik (Monument)* [kadr z filmu], 2012, zbiory Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Część V

Wołyń i pojednanie

Dyskusja

Grzegorz Pac:

Dyskusja o wydarzeniach z lat 1943–1944, które miały miejsce na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, o tym, co działo się później na obecnych południowo-wschodnich terenach Polski, oraz – szerzej – o relacjach polsko-ukraińskich w XX wieku, od dawna już nie jest tylko dyskusją o przeszłości, ale też o naszej teraźniejszości. Jak zatem bolesne doświadczenia historyczne między Polakami i Ukraińcami wpływają na dzień dzisiejszy? W jakim miejscu znalazł się proces polsko-ukraińskiego pojednania? A odnosząc się bezpośrednio do 70. rocznicy wydarzeń na Wołyniu: czy wykonaliśmy krok wstecz, czy – jak diagnozują niektórzy komentatorzy – nastąpiło „cofnięcie” w naszym dialogu?

Łukasz Kamiński:

Czy wykonaliśmy krok wstecz? Trafniej byłoby powiedzieć: w ostatnich kilku latach nie posunęliśmy się do przodu. Stoimy w miejscu. Natomiast – wracając do pytania o pamięć – można się zastanawiać, czy powinniśmy mówić o pamięci zbrodni wołyńskiej, czy raczej o niepamięci. Jeśli nie bralibyśmy pod uwagę elit, środowisk intelektualnych, politycznych czy religijnych, moglibyśmy uznać, że ta zbrodnia nie jest pamiętana. Bardzo ciekawe są wyniki badań opinii publicznej przeprowadzone przez CBOŚ w roku 2003

i 2008¹, które pokazują, że stan wiedzy był bardzo niski – co więcej: malał wraz z upływem czasu.

Można się zastanawiać, jak ów stan niewiedzy wpływa na proces pojednania. Moim zdaniem istotnie go utrudnia. Doprowadzenie do prawdziwego pojednania jest bardzo trudne w sytuacji, kiedy większość obu społeczeństw nie wie, w jakiej sprawie mamy się jednać i co mamy sobie wzajemnie przebaczyć.

Uważam też, że poprzednie próby pojednania miały jedną zasadniczą wadę. Padały ważne deklaracje, zarówno w wymiarze politycznym, jak i religijnym, natomiast za nimi szło stosunkowo niewiele. Mało się wydarzyło w realnej drodze do pojednania, a taka droga zawsze jest trudna i bolesna. Nie uda się doprowadzić do pojednania wokół trudnych spraw z przeszłości bez ciężkiej pracy, i to niewygodnej.

Sądzę także, że istotnym wyzwaniem – zarówno dla Polaków, jak i dla Ukraińców – będzie odpowiedź na pytanie: jakie miejsce zbrodni wotyńska zajmuje w polskiej i ukraińskiej historii, nie tylko w dziejach wzajemnych, ale także w historii każdego z naszych narodów osobno? Czy stanie się istotnym punktem odniesienia, czy też nie? Czy chcemy pamiętać, czy też zapomnieć o tych wydarzeniach?

Kolejny punkt: czy podejmiemy realny wysiłek, który mógłby prowadzić do zbliżenia? Moim zdaniem droga do pojednania mogłaby prowadzić przez wspólne badania nad liczbą ofiar oraz prace nad sporządzeniem ich imiennej listy. Dzisiaj to jeden z podstawowych przedmiotów sporu między historykami polskimi i ukraińskimi (obecnie opieramy się przede wszystkim na szacunkach, sporządzanych różnymi metodami). Oczywiście dzisiaj już nie jesteśmy w stanie odtworzyć pełnych list ofiar, ale powinniśmy starać się zrobić możliwie wszystko, by ustalić z imienia i nazwiska zamordowanych, zarówno po polskiej, jak i ukraińskiej stronie. Dzięki temu także szacunki będą bardziej precyzyjne.

¹ Raporty z obu badań dostępne są na stronie www.cbos.pl. W lipcu 2013 roku przeprowadzono kolejny sondaż, w którym odnotowano znaczący wzrost wiedzy, wywołany zapewne żywą debatą publiczną w poprzedzających miesiącach.

Uważam również, że pamięć o ofiarach mogłaby stać się przedmiotem wspólnej troski, i to pamięć wyrażana w sposób materialny, choćby poprzez zadbanie o miejsca pochówku ofiar. Jeśli uda się podjąć przynajmniej część z tych inicjatyw, to jestem przekonany, że przy okazji następnej rocznicy będziemy mogli powiedzieć: zrobiliśmy postęp. Jeśli pozostaniemy jedynie w sferze deklaracji, to bardzo prawdopodobne, że będziemy skazani na ponowne wracanie – przy kolejnych rocznicach – do tej sprawy w tak emocjonalny i dzielący oba narody sposób.

Grzegorz Pac:

Powiedział Pan: nie zrobiliśmy kroku wstecz, lecz nie zrobiliśmy też kilku kroków naprzód. Jakie są – poza niewiedzą – przyczyny takiego stanu rzeczy?

Łukasz Kamiński:

Powiem wprost: zabrakło woli politycznej, aby zrealizować jakieś wspólne projekty. Padały wspólne deklaracje, ale zabrakło realnych działań. Ponadto mamy do czynienia z brakiem równowagi w stanie badań prowadzonych w obu krajach. To na pewno stanowi istotną przeszkodę w prowadzeniu dialogu.

Grzegorz Pac:

A jak jest w przypadku Ukrainy? Czym różnią się tegoroczne obchody rzezi na Wołyniu od tych z 2003 roku?

Jarosław Hrycak:

Po pierwsze, jak w 2003 roku, w wypadku Wołynia na Ukrainie trzeba raczej mówić o niewiedzy. Dyskusja o Wołyniu i rocznicy tych wydarzeń toczy się przede wszystkim na zachodniej Ukrainie, dokładniej mówiąc: na Wołyniu i w Galicji. Oczywiście coś się odbywa w Kijowie, szczególnie wśród polityków i intelektualistów, jednak poza tymi miejscami trudno mówić o debacie wołyńskiej. W odróżnieniu od 2003 roku politycy teraz w większości uciekają od tego tematu: boją się go, nie chcą zrażać swego elektoratu. Nie

wszyscy oczywiście. Temat Wołynia podejmują przedstawiciele „Swobody” oraz partia władzy – Regiony. Nie cała, tylko to jej prorosyjskie skrzydło, którego doskonałym reprezentantem jest Wadym Kolesniczenko, twórca Frontu Antyfaszystowskiego na Ukrainie. Dla niego Wołyń jest wielkim podarunkiem, ten polityk bowiem oskarża przedstawicieli pomarańczowej rewolucji, że są spadkobiercami autorów rzezi.

Jest wreszcie grupa historyków i przedstawicieli inteligencji, która próbuje prowadzić dyskusję na temat Wołynia. Jednak trzeba podkreślić, że przed 10 laty, przy okazji poprzedniej rocznicy, w dyskusji brało udział więcej osób. Niemalże każdy ważny polityk napisał tekst na ten temat, by wymienić Wiktora Medwedczuka² czy Wołodymyra Łytwyna³. Wydarzenia wołyńskie były omawiane w telewizji.

Ale nawet wtedy, po zakończeniu tych wszystkich dyskusji, badania pokazały, że ponad połowa Ukraińców w ogóle nic nie wie o tych wydarzeniach. Od 20 do 30 proc. wie, że coś się stało, ale nic więcej nie potrafi powiedzieć. Jedynie około 20 proc. osób wiedziało, że doszło do konfliktu polsko-ukraińskiego, ale nie zna szczegółów. Od tego czasu niewiele się zmieniło. Jednak uważam, że ten brak wiedzy nie jest – koniecznie czy wyjątkowo – czymś złym. Paradoks polega na tym, że im więcej amnezji, tym łatwiej doprowadzić do pojednania.

Po drugie, w roku 2013 doszło do innej, smutnej zmiany. Gorszy niż przed 10 laty jest ton dyskusji, bardziej arogancki, wyniszczający. Wołyń stał się kartą w wewnętrznych dyskusjach ukraińskich. To spowodowało, że zaczęły powstawać teksty na temat tych wydarzeń. Ale jakie? Najlepszym przykładem jest *Druga wojna polsko-ukraińska 1942–1947* Wołodymyra Wiatrowycza⁴, książka skandalizująca, która relatywizuje zbrodnię wołyńską. Wiatrowycz stał się gwiazdą sfery publicznej, jest zapraszany przez różne

² Wiktor Medwedczuk, *Wołyń – nasz spільny bil*, „Den”, 2 kwietnia 2003.

³ Wołodymyr Łytwyn, *Tysjaczka rokiw susidstva i wzajemodij*, „Hołos Ukrainy”, 12 listopada 2002.

⁴ Wołodymyr Wiatrowycz, *Druga wojna polsko-ukraińska 1942–1947*, przeł. Mirosław Iwanek, Warszawa 2013.

środowiska i ma wpływ na poglądy o tych wydarzeniach. Jeżeli zatem można mówić o jakiejś nowej wiedzy, to jest wiedza, która ma negatywny wpływ.

Po trzecie, w 2003 roku mieliśmy do czynienia z Ukrainą przed pomarańczową rewolucją. W 2013 roku jest to kraj, który doznał porażki. Słowo „porażka” jest tutaj kluczowe. Przynajmniej połowa Ukraińców znajduje się dzisiaj w stanie depresji, a niektórzy nawet na granicy rozpacz. Nie udało się spełnić wielu oczekiwań związanych z pomarańczową rewolucją, w tym dotyczących pamięci historycznej. Jednym z głównych punktów programu Wiktora Juszczenki było przywrócenie pamięci o Wielkim Głodzie. Tymczasem następny prezydent stara się tę pamięć wyciszyć. Ukraińcy znaleźli się w trudnej sytuacji: świat nie chce przyznać, że Wielki Głód był ludobójstwem. Jednocześnie wymaga się od nich, by za taką zbrodnię uznali Wołyń, powiedzieli, że dopuścili się tam ludobójstwa. Nie osiągnęliśmy tego, co uważaliśmy – zasadnie – za słuszne (Wielki Głód), a teraz jeszcze tracimy dobre imię (rzeź wołyńska). To także sprawia, że debata o Wołyniu na Ukrainie przybrała tak ostry ton.

Co zatem trzeba zrobić, aby zmienić sytuację? Ukraina musi otrzymać europejską perspektywę. Obserwuję toczące się w Polsce – dość regularnie – dyskusje o Holocauście i o stosunku Polaków do Zagłady. Przebiegają one może nie całkiem spokojnie, ale postępują w dobrym kierunku. Trudno jednak wyobrazić sobie podobne debaty podczas stanu wojennego. Polacy teraz znaleźli się w luksusowej sytuacji: są w Unii, nikt im nie zagraża. Mogą dyskutować bez poczucia, że na tym tracą. Ukraińcy tego luksusu nie mają. Dyskutując o Wołyniu, boją się, że utracą coś ważnego: swoją tożsamość. Nie chodzi bowiem o sam Wołyń, lecz o związaną z nim sytuację polityczną, o to, że ta debata może stać się częścią większej politycznej gry.

Po czwarte wreszcie, chciałbym powiedzieć o pozytywnych aspektach. Społeczeństwo obywatelskie zachowuje się inaczej niż politycy. Wymienię tylko wspólną deklarację Kościołów – rzymsko- i greckokatolickiego⁵. To bezprecedensowe wydarzenie. Działa Grupa „Pierwszego grudnia”, którą

⁵ Wspólna deklaracja Kościołów katolickiego i greckokatolickiego w sprawie zbrodni na Wołyniu z 28 czerwca 2013 roku, <http://episkopat.pl/dokumenty/pozostale/5227.1,Deklaracja.html>.

reprezentuje m.in. Myrośław Marynowycz. Wspólnie z nim przygotowaliśmy w dniach 7–8 lipca uroczystości w Porycku/Pawliwce oraz w Łucku⁶.

Spółeczeństwo zaczyna „brać sprawy w swoje ręce”. Podczas uroczystości w Porycku/Pawliwce w 2003 roku „pojednanie” odbywało się za kordonami milicji, która chroniła prezydentów Kuczmę i Kwaśniewskiego przed zgromadzonymi tam ludźmi. To był akt polityczny, pozbawiony wymiaru społecznego. Teraz, kiedy wchodzi w grę społeczeństwo obywatelskie, jest przynajmniej niewielka nadzieja na krok ku prawdziwemu pojednaniu.

Grzegorz Pac:

Czy rzeczywiście mamy do czynienia z niepamięcią o Wołyniu?

Bogumiła Berdychowska:

Łukasz Kamiński postawił tezę o niepamięci, która narasta. Polemizowałabym z tą opinią. O ile w pewnej mierze jest ona prawdziwa w przypadku Ukrainy – podkreślam: „w pewnej mierze” – o tyle inaczej jest w Polsce. Można przywołać inne badania, przeprowadzone przez Muzeum II Wojny Światowej⁷. Ich wyniki są zaskakujące i pokazują, że respondenci pytani o wrogów Polaków w latach 1939–1945 na pierwszym miejscu wymienili Ukraińców. Znaleźli się oni przed Niemcami oraz Związkiem Sowieckim. Okazuje się, jak mocno zakorzeniona jest pamięć o zakończonym dramatycznie polsko-ukraińskim sąsiedztwie. Również inne badania pokazują, że o Wołyniu wie znacząca grupa polskich respondentów.

Natomiast co wydarzyło się w ostatnich latach? Zaczynając od negatywnych aspektów – pojawiły się próby zakwestionowania, przede wszystkim w Polsce, ale również na Ukrainie, dotychczasowego dorobku

⁶ Marcin Wojciechowski, *Polacy i Ukraińcy jednali się nad grobami ofiar zbrodni wołyńskiej*, „Gazeta Wyborcza”, 8 lipca 2013; Piotr Kosiewski, *Przy grobach*, „Tygodnik Powszechny”, 14 lipca 2013.

⁷ Lech M. Nijakowski, *Pamięć o II wojnie światowej a relacje Polaków z innymi narodami, w: Między codziennością a wielką historią. Druga wojna światowa w pamięci zbiorowej społeczeństwa polskiego*, Gdańsk–Warszawa 2010, s. 244–245.

polsko-ukraińskiego dialogu. Okazuje się, że o wydarzeniu – na którego temat powstały dziesiątki książek, szereg filmów dokumentalnych, tysiące artykułów prasowych i w Internecie, zrealizowano niezliczone audycje radiowe i telewizyjne, po spotkaniu prezydentów Aleksandra Kwaśniewskiego i Leonida Kuczmy oraz uroczystościach w Porycku/Pawliwce – można powiedzieć: nic do tej pory się nie wydarzyło, temat zbrodni wołyńskiej pozostaje tabu. A takie jest stanowisko części, nie mówię całości, środowisk kresowych.

Natomiast na uroczystości w 2003 roku patrzę w sposób bardziej zniuansowany. Na początek drobna polemika z Jarosławem Hrycakiem. Owszem, w Porycku/Pawliwce kordony milicji odgradzały prezydentów i zaproszonych gości od zgromadzonych tam ludzi. A ci ostatni trzymali transparenty z hasłami typu: *Niech żyje przyjaźń polsko-ukraińska*. To był paradoks ówczesnej sytuacji. Można było odnieść wrażenie, że duża część obecnych tam osób została po prostu zwieziona. Dostali transparenty do ręki i stali, nie do końca zdając sobie sprawę, czego byli świadkami.

Jednak, mimo tych zastrzeżeń, odsłonięcie pomnika w Porycku/Pawliwce było bardzo ważnym wydarzeniem. Pozwoliło ono części środowisk kresowych, krewnym i potomkom osób, które tam zginęły, oddać hołd bliskim. Wspomnę tylko o jednym fragmencie tej uroczystości, w moim przekonaniu symbolicznym: otóż kompania honorowa ukraińskiego wojska stała na warcie podczas składania kwiatów przed pomnikiem upamiętniającym zamordowanych polskich mieszkańców Porycka. Widziałam reakcje osób tam obecnych. Nikt z wówczas obecnych, od prof. Władysława Filara po senator Marię Berny, nie mówił wtedy o rozliczaniu Ukraińców ani o zemście. Wszyscy byli głęboko wzruszeni. To było spotkanie się z cieniami pomordowanych.

Trzeba także powiedzieć, że społeczeństwo ukraińskie nie było przygotowane do tamtego spotkania. Zabrakło też w Porycku/Pawliwce ważnych dla Ukrainy osób, chociaż chcę zaznaczyć, że przyjechała tam jedna szczególnie ważna – kardynał Lubomyr Huzar (a mógł przecież powiedzieć: Wołyń to ziemia prawosławna, a nie greckokatolickie). Dla wielu zgromadzonych tam Polaków stał się on reprezentantem tej części ukraińskiego społeczeństwa, która z empatią i zrozumieniem podchodzi do polskiego bólu.

Co jeszcze negatywnego wydarzyło się w ciągu ostatnich lat? W debacie publicznej, której ton nadaje najbardziej radykalna część środowisk kresowych, mamy do czynienia z dewaluacją słów i pojęć. Nagle okazuje się, że żadnego określenia, z wyjątkiem słowa „ludobójstwo”, nie można użyć do nazwania tamtych wydarzeń. Nie wolno już mówić: „eksterminacja”, „zbrodnia wojenna”, „czystka”, bo te wszystkie określenia według części tego środowiska są kłamstwem. Odnoszę też wrażenie, że część kresowian uważa, że ich cierpienie jest wciąż niedocenione. Stąd zapewne słowa o „zapomnianej zbrodni”. Tymczasem, jak już mówiłam, można pokazać, ile na ten temat powiedziano i napisano. Przywołam tylko słowa Władysława Filara, który w rozmowie dla „Gazety Wyborczej” pytał: jaka zapomniana zbrodnia? Tyleśmy już o niej napisali, tyle już o niej wiemy⁸.

Oczywiście ten dyskurs kresowy pojawił się wcześniej. Jednak teraz część środowisk kresowych eskaluje swoje oczekiwania. Po pierwsze, powtarzam, oczekuje uznania Wołynia za najbardziej okrutne ludobójstwo (*genocidum atrox*). Po drugie, domaga się potępienia wszystkich formacji ukraińskich i wszystkich instytucji, które nie tylko brały udział w tych wydarzeniach, ale miały z nimi cokolwiek wspólnego. Klasycznym przykładem jest stosunek do Kościoła greckokatolickiego i metropolity Andreja Szeptyckiego. Wiemy – są opublikowane dokumenty na ten temat – że metropolita widział tragedię, którą przyniosła okupacja. Informował papieża, wydawał listy pasterskie, w których wprost przypominał dekalogowe przykazanie: „Nie zabijaj!”. To wszystko jednak dla części kresowian nie ma znaczenia. Powielane są natomiast zarzuty, być może prawdziwe w stosunku do jednostek, ale z całą pewnością nie dla całości Kościoła greckokatolickiego jako instytucji.

Po trzecie, przeważa stanowisko, swego czasu najmocniej wyartykułowane przez abp. Mieczysława Mokrzyckiego, że zamiast formuły zastosowanej w liście biskupów polskich do biskupów niemieckich: „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”, powinno domagać się innej: „Niech Ukraińcy przepraszają i proszą o wybaczenie”. Muszę powiedzieć, że w postawie wysokiego

⁸ Wypowiedź Władysława Filara, „Gazeta Wyborcza”, 22–23 czerwca 2013.

hierarchy Kościoła mało można znaleźć empatii czy roztropności, jestem jednak przekonana, że podobnie myśli również część środowiska kresowego. Więcej, niektórzy byliby zadowoleni, gdyby ostatecznie uznano, że Ukraińcy po prostu byli genetycznie uwarunkowani do mordowania Polaków.

Natomiast po stronie ukraińskiej można odnieść wrażenie, że część osób rozmowę o Wołyniu odbiera jako próbę „rzucenia na kolana” i za oczywiste uważa, że Polacy działają w złej woli. W 2003 roku dużą popularnością cieszył się pogląd, że Polacy chcą oddać hołd swoim zabitym współziomkom, bo odkryto zbrodnię popełnioną przez Polaków w Jedwabnem. W tej sytuacji pragną Wołyniem „przykryć” tę zbrodnię. W tym roku także – jestem świeżo po lekturze rozmaitych internetowych wydań ukraińskich – zamiast dyskutować *ad rem*, pojawia się teza, że Polsce nie chodzi o upamiętnienie ofiar, tylko mamy do czynienia z wewnątrzpolityczną polską rozgrywką: oto PSL i PiS chcą umocnić swój elektorat.

Mimo wszystkiego, co do tej pory powiedziałam, muszę zaznaczyć: obraz nie jest czarny. Po pierwsze, doszło do uspołecznienia rocznicy. Pojawiło się coś, co można nazwać poczuciem obywatelskiej odpowiedzialności za rocznicę Wołynia. Jest ono znacznie większe niż w 2003 roku. Jarosław Hrycak mówił już o postawie Kościołów. To istotne *novum*. Przed dekadą główną rolę odgrywali politycy i państwo, obecnie, dzięki odważnej decyzji hierarchów, Kościoły mogą przemówić zdecydowanym głosem. Chciałabym zwrócić uwagę na postawę arcybiskupa większego Lwowa, zwierzchnika Kościoła grekokatolickiego, Światostawa. Jego wywiad opublikowany przez Katolicką Agencję Informacyjną, a przede wszystkim wspomniany już wspólny list Kościołów stanowią bardzo dobry punkt wyjścia do zrobienia kolejnego kroku w kierunku polsko-ukraińskiego pojednania, chociaż wolałabym mówić o „normalizacji” relacji między Polską a Ukrainą.

Po drugie, ukazał się szereg tekstów wybitnych intelektualistów ukraińskich, będących bardzo ważnymi głosami⁹. One pokazują, że nasi partnerzy

⁹ Zob. m.in. Antin Borkowski, *Gorzkie chleby rzek wołyńskich*, „Nowa Europa Wschodnia”, http://www.new.org.pl/2013-05-16,gorzkie_chleby_rzek_wolynskich.html; Wasyl Rasewycz, *Dziecinada*, „Kurier Galicyjski”, <http://www.kuriergalicyjski.com/index.php/polemiki/2160-dziecinada>;

od 2003 roku zrobili ważny krok. Przy czym z wielkim szacunkiem odnoszę się do inicjatyw społeczeństwa obywatelskiego, wiele nadziei wiąże z aktywnością Kościołów. Nie uważam jednak, iż należy zwolnić świat polityki z myślenia o kształcie polsko-ukraińskiego dialogu. Politycy odgrywają i będą odgrywali w nim znaczącą rolę.

Co do przyszłości, to mam dwie rekomendacje. Po pierwsze, nasi ukraińscy przyjaciele muszą przyjąć do wiadomości, że Polacy będą pamiętali o Wołyniu w sposób niekoniunkturalny, ponieważ ta pamięć jest elementarną powinnością żywych wobec umarłych – musimy zapewnić godny pochówek pomordowanym i oddać im hołd. Po drugie, dla nas wszystkich: musimy pamiętać, że po 70. rocznicy antypolskiej akcji UPA na Wołyniu będzie dzień następny. Powinniśmy zatem roztropnie ważyć słowa, by się nie okazało, że *the day after* nie możemy ze sobą rozmawiać.

Myrośław Marynowycz:

Muszę wyznać, że jestem zmęczony tematem wołyńskim. Nie dlatego, że nie chcę przyznać: popełniono zbrodnię. Przeciwnie. Jednak dla mnie powodem do powiedzenia: tak, to tam się wydarzyło i trzeba nazwać rzeczy po imieniu – nie jest to czy inna rezolucja polskiego Sejmu lub Senatu (do których to uchwał mam krytyczny stosunek), lecz słowa metropolity Andreja Szeptyckiego. On mówił: my, jako Rusini, powinniśmy protestować jak najgłośniej przeciwko samej myśli, że świętej sprawie narodu można służyć zakrwawionymi nożami. Moje zmęczenie wynika z tego, że stoję na polu, nad które nadciągają chmury, już pada deszcz i biją gromy. I nic nie mogę zrobić. Tej burzy nie potrafię zatrzymać. Innymi słowy, spóźniliśmy się z dyskusją o Wołyniu. I została ona przejęta przez środowiska radykalne.

Muszę przy tym zaznaczyć, że rozumiem koła kresowe, którym zabraniać nie mówić o ich bólu. To nie była dobra sytuacja. Jeżeli komuś długo odmawia się prawa głosu, a potem nagle taka możliwość się pojawia, to naturalne,

Taras Wozniak, *Wołyń 1943 – co dalej?*, „Kurier Galicyjski”, <http://www.kuriergalicyjski.com/index.php/polemikii/2031-woy-1943-co-dalej>.

że pierwsze wypowiedzi zostaną wykrzyczane. Polskie społeczeństwo ma prawo do mówienia na ten temat. Chciałbym jednak, by uważnie przyglądało się następstwom wypowiedzania prawdy. Można bowiem to robić w różny sposób i czasami prawda agresywnie wypowiedziana przestaje nią być. Nieprzypadkowo Benedykt XVI mówił – jego słowa nie po raz pierwszy przywołuję – o prawdzie, która nie jest możliwa bez miłości, i o miłości, która nie jest możliwa bez prawdy. Jedno i drugie jest niezbędne.

Rozumiem też ból Polaków, gdy słyszą w ukraińskiej telewizji słowo „Lachy”. Czy można dzisiaj w ten sposób mówić o naszych sąsiadach? Jednak gdy obserwuję sposób prowadzenia w Polsce dyskusji o Wołyniu, o tych „rezunach” i „zbrodniarzach”, to boję się, że dopiero teraz zacznie się zmaganie o najostrzejsze słowa. Tymczasem wszystkie te słowa wywołują emocje, które potem trzeba będzie studzić.

Na zesłaniu, w obozie do grona moich najlepszych przyjaciół należeli dysydenci, którzy byli członkami Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów albo z nimi sympatyzowali. Dzisiaj mówi się o tym, że podobnie jak potępiono nazizm, trzeba potępić ideologię OUN. Rozumiem to, ale myślę, że rzeczywistość jest bardziej złożona. Rozmawiamy nie tylko o ideologii, ale też o konkretnych ludziach. I spotkani przeze mnie w obozie ludzie – jak Mychajło Horyń czy Iwan Hel – na początku lat 90. robili pierwsze kroki ku polsko-ukraińskiemu pojednaniu. Nie należało z nimi rozmawiać, bo byli nacjonalistami?

Martwi mnie poziom rozmów o Wołyniu i ich wymiar duchowy. Więcej, przeraża mnie dechrystianizacja naszych dusz. Punktem odniesienia staje się dla nas przede wszystkim Stary, a nie Nowy Testament. Słucham Polaków i Ukraińców. Obie strony mówią, że ich działania były następstwem działań innych. Zarówno w polskiej, jak i w ukraińskiej świadomości funkcjonuje pojęcie „akcji odwetowych”, które niweluje negatywny, moralny wymiar tych działań. Nagle stają się one uzasadnione.

Przyjmujemy zasadę „oko za oko, ząb za ząb”. Ukraińcy mówią, że nie ponoszą żadnej winy wobec Polaków, Polacy to samo mówią w stosunku do Ukraińców. Tymczasem w chrześcijaństwie absurdalne jest twierdzenie:

nie ma naszej winy. I to chrześcijaństwo jest jedyną platformą pozwalającą na szukanie sensu tej historii. Nie jest dobrą rzeczą zapominanie, mówienie: nic się nie stało, tam były zwykłe potyczki. W ten sposób nosi się w sobie grzech.

Bogumiła Berdychowska przypomniała słowa hierarchy rzymskokatolickiego. Uważam je za pomyłkę, ale też pewien hierarcha greckokatolicki co roku przychodzi do pomnika Stepana Bandery i tam wygłasza jego apologię. Zatem problemy są w obu Kościołach. I wiele pozostało do zrobienia. Jestem jednak przekonany, że po fali radykalizmu zawsze przychodzi odpływ. Zawsze też pamiętam słowa Jacka Kuronia skierowane do Ukraińców, które są więcej warte niż dziesiątki uchwał Sejmu czy Senatu. Musimy postarać się, by takie słowa padły także na Ukrainie wobec Polaków.

Grzegorz Pac:

Mówimy wiele o pamięci, ale Jarosław Hrycak proponuje: mówmy także o amnezji, która czasami pomaga.

Łukasz Kamiński:

Zgodziłbym się: amnezja i niepamięć ułatwiają pojednanie. Tylko pozostaje pytanie: czy jest to prawdziwe pojednanie? Łatwiej wygłaszać deklaracje o pojednaniu, gdy brakuje dyskusji o przeszłości. Jednak czy do pojednania naprawdę dochodzi? Wreszcie: czy we współczesnym świecie amnezja jest możliwa? Dziś siła świadectwa ofiar jest ogromna. Widzimy, że ono wcześniej czy później powraca. Natomiast spychanie głosu ofiar na plan dalszy, by nie utrudniał dialogu, może spowodować, że to świadectwo zostanie przejęte przez siły radykalne. One zaś w całkiem innym celu będą mówiły o przeszłości. Na pewno nie myśląc o szukaniu pojednania.

Podtrzymałbym swój sceptycyzm co do stanu wiedzy i stanu badań. Oczywiście powstaje wiele opracowań, w tym znaczących pozycji dotyczących Wołynia. Jednak pozostaje pytanie, na ile ta kwestia jest obecna w sferze symbolicznej, kulturze czy przestrzeni publicznej. Jeśli porównamy te wydarzenia z innymi zapisanymi w polskiej pamięci o XX wieku, to uważam, że

wiele jest bardziej obecnych niż rzezie na Wołyniu. Zatem można zrozumieć poczucie wyparcia czy zapomnienia.

Padło tu kilka gorzkich słów pod adresem części środowisk kresowych. Rozumiem je, jednak trzeba pamiętać, że głos zduszony często radykalizuje się i następnie jest wypowiedzany z większą siłą. Owszem, te głosy utrudniają dialog, lecz bez nich dialogu prowadzić się nie da. Nie można zadekretować: ten głos nie może być słyszany i nie powinien być brany pod uwagę.

Myrośław Marynowycz ma rację: mówienie o tej przeszłości wywołuje ból. Natomiast nie wiem, jak można byłoby o tej przeszłości inaczej opowiadać. To bardzo bolesna przeszłość. Jeżeli chcemy o niej mówić, to ten ból musi powrócić. Jednak, moim zdaniem, wypowiedzenie i przeżycie bólu nie tyle wywoła konflikt, ile pozwoli nam uniknąć gorszych relacji w przyszłości.

Jarosław Hrycak:

Rozdzielam dwie rzeczy: historię i pamięć historyczną, bo one często wzajemnie się wykluczają. Pamięć historyczna nie potrzebuje szczegółowego poznania przebiegu wydarzeń, przeciwnie, posługuje się obrazami, które czasem mają mało wspólnego z tym, co się naprawdę stało. Inaczej jest w przypadku historii: historykom chodzi o to, aby wyjaśnić, w miarę sił i możliwości, co się naprawdę stało. W niektórych wypadkach historycy są chodzącym zagrożeniem dla pamięci narodowej.

Mówiąc o amnezji, miałem na myśli pamięć historyczną, a nie historię. Jak pokazuje *casus* Hiszpanii po śmierci generała Franco, amnezja pomaga w przypadku społeczeństw, które wychodzą z reżimów totalitarnych. Nie dokonuję tu oceny moralnej. Nie mówię: amnezja jest dobra czy zła – lecz: amnezja bywa efektywnym sposobem na pokonywanie podziałów.

Niestety tego sposobu nie da się już użyć na Ukrainie. Leonid Kuczma próbował prowadzić grę o zapomnianie, ale to się nie powiodło. A dlaczego dzisiaj dyskusje o przeszłości tak bardzo się zaostrzyły? Ponieważ coraz mniej jest amnezji. W ostatnim dziesięcioleciu w Polsce, na Ukrainie i w Rosji pojawiła się polityka pamięci historycznej. Wiąże się to z działaniami

śp. Lecha Kaczyńskiego, Wiktora Juszczenki i Władimira Putina. Wszyscy ci politycy nie uciekali się do amnezji, odwrotnie, nieustannie przypominali o przeszłości.

Kiedy myślę o polsko-ukraińskim pojednaniu, przypomina mi się fragment znanej opowiadki dla dzieci: „Im bardziej Puchatek zaglądał do środka, tym bardziej Prosiaczka tam nie było”. Zbyt mocno jesteśmy skoncentrowani na wzajemnych relacjach, by dostrzec szerszy kontekst, ale także możliwe rozwiązania. Przywołam książkę Timothy’ego Snydera *Skrwawione ziemie*²⁰. Mam poczucie, że wielu ją przeczytało, lecz mało kto ją zrozumiał. Autor zaproponował inne spojrzenie. Ukraińcy widzą polskie ludobójstwo, Polacy ukraińskie. Tymczasem na Ukrainie doszło do kilku różnych ludobójstw. One wydarzały się w tym samym miejscu i niekiedy w tym samym czasie. Takie spojrzenie niesie ze sobą poważne implikacje dla patrzenia i pisania o naszej historii, ale także dla tego, w jaki sposób winniśmy się pojednać. Proszę się nie obrażać, ale póki co jesteśmy prowincjonalni w naszym myśleniu o historii, zamknięci w narodowych paradygmatach.

Przywołałbym w tym kontekście jeszcze jedną książkę: *Wina narodów* Karoliny Wigury²¹. Ona pokazuje to, w jaki sposób jednano się w powojennej Europie. Trzeba się zastanawiać, w jaki sposób wykorzystać praktykę tych pojednań do przypadku polsko-ukraińskiego.

Bogumiła Berdychowska:

Myrośław Marynowycz – jak się domyślam – miał na myśli przede wszystkim złożony przez Polskie Stronnictwo Ludowe projekt uchwały Sejmu RP na okoliczność 70. rocznicy antypolskiej akcji na Wołyniu. Była tam mowa o potępieniu OUN, UPa i wszystkich innych. Chciałabym dla porządku dodać, że ten projekt nie został przyjęty. Nie uważam też – przepraszam, że się powtarzam – iż możemy zwalniać polityków z odpowiedzialności, ciesząc

²⁰ Timothy Snyder, *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, przeł. Bartłomiej Pietrzyk, Warszawa 2011.

²¹ Karolina Wigura, *Wina narodów. Przebaczenie jako strategia prowadzenia polityki*, Warszawa–Gdańsk 2011.

się, że społeczeństwo chce wziąć na siebie część odpowiedzialności. Przykład tego projektu pokazuje, że ekstremalne pomysły zostały ostatecznie odrzucone.

Czy znamy już fakty? Nie mówiłam o tym wcześniej, ale należy to wyraźnie podkreślić – rok 2013 różni się od 2003 także tym, że pojawia się historyk, który wprost deklaruje: na Wołyniu nic specjalnego się nie wydarzyło. Po prostu mieliśmy do czynienia z kolejną odstoną polsko-ukraińskiej wojny. Owszem, być może dochodziło tam do jakiegoś zbrodni, co naganne, ale to nic wyjątkowego. Mam na myśli książkę Wołodymyra Wiatrowycza, o której krytycznie mówił już Jarosław Hrycak.

Dla mnie wydanie tej pozycji to wyjątkowo smutne wydarzenie. Dlaczego? Ponieważ nie spotkała się ona ze zdecydowaną odpowiedzią ukraińskiego środowiska historycznego. Owszem, były krytyczne oceny, ale książka Wiatrowycza zebrała także, niestety, znaczące pozytywne głosy.

Przechodząc do kolejnych spraw: uważam za bardzo cenny postulat Łukasza Kamińskiego, by policzyć, po raz pierwszy wspólnie, wszystkie ofiary. W 2003 roku postulował to Jarosław Isajewycz. Jest to bardzo ważne, bo prawa ludzkiej pamięci powodują, że przede wszystkim zapamiętaliśmy to, co dotknęło nas, nasze rodziny, naszych znajomych. Niekoniecznie pamiętamy o krzywdzie, która dotknęła sąsiada z trzeciej ulicy czy czwartego domu. Ukraińcy bardziej pamiętają swoich, Polacy swoich.

Nie można się łudzić: taki wspólny rejestr z całą pewnością nie będzie pełny. Upiętnoło zbyt wiele czasu od tamtych wydarzeń, wielu świadków zmarło, a w przypadku niektórych miejscowości nigdy ich nie było, bo tamtejsi mieszkańcy zostali wyrżnięci w pień. Niemniej trzeba taki rejestr zestawić.

Co do uwagi prezesa Kamińskiego o udziale kresowiaków w dialogu o Wołyniu, to oczywiście, że oni muszą w nim uczestniczyć. Podobnie jak nie można dyskutować o akcji „Wisła” bez udziału ofiar tej akcji. Inna sprawa, co z niektórymi postulatami środowisk kresowych zrobią instytucje państwowe oraz politycy. Czy przyjmijemy zasadę, że każdy postulat akceptujemy, czy poddajemy go roztropnej refleksji?

Oczywiście o takich wydarzeniach jak rzeź na Wołyniu nie sposób mówić bez bólu. Natomiast trzeba zrobić możliwie wiele, by nie uruchamiać dodatkowych negatywnych emocji. Znana jest fotografia zamordowanych dzieci, które drutem kolczastym przywiązano do pnia drzewa. Dariusz Stola i Ada Rutkowska¹² udowodnili, że nie dotyczy ono tych wydarzeń, lecz przedstawia ofiary kobiety, która w 1923 roku w szaleństwie zabiła czwórkę swoich dzieci. Zdjęcie zostało następnie zamieszczone w „Roczniku Psychiatrycznym” w 1928 roku, inne ujęcie znalazło się *Podręczniku medycyny sądowej* wydany w 1948. Tymczasem przez wiele lat to zdjęcie było główną ilustracją rzezi wołyńskich. Dobrze wiemy, że antypolska akcja na Wołyniu i w Galicji jest tak bolesna, iż nie ma potrzeby opatrywania jej dodatkowymi „fałszywymi” zdjęciami. Tymczasem niedawno w audycji Tomasza Sekielskiego, nadanej w I programie TVP (!), znów to zdjęcie zostało użyte.

Przypominam też, że część środowisk kresowych postulowała, by pomnik upamiętniający Wołyń przedstawiał właśnie dzieci opasane drutem kolczastym wokół drzewa. W chwili, gdy pojawił się ten pomysł, zadałam sobie pytanie: czy chodzi o oddanie hołdu tym, których zamordowano, czy też o wzbudzenie najgorszych emocji wobec Ukraińców?

W sprawie Wołynia są autentycznie zaangażowane osoby, które zajmują nieprzejednane stanowisko wobec Ukraińców. I, szczególnie w przypadku rodzin ofiar, nawet nie śmiałabym domagać się od nich, aby wybaczyły. To musi być decyzja każdej pojedynczej osoby. Inna jest sytuacja w przypadku kolejnych pokoleń, a szczególnie osób zupełnie młodych. Część z nich, wykorzystując tę tragedię, próbuje na nowo napisać historię XX wieku. To szczęśliwie marginalna część opinii publicznej... Jako przykład można przytoczyć funkcjonujący od lat portal „IV rozbiór Polski”, gdzie obok Hitlera i Stalina umieszczony jest Bandera. W tej sytuacji pytam: co to ma wspólnego z historią?

¹² Dariusz Stola, Ada Rutkowska, *Fałszywy opis, prawdziwe zbrodnie*, „Plus-Minus” [dodatek do „Rzeczpospolitej”], 19 maja 2007.

Myrośław Marynowycz:

Chciałbym też powiedzieć o jednej rzeczy: bardzo ważne jest odróżnienie bólu od nienawiści. Oba te stany często idą w parze, ale powinniśmy pamiętać, że ból wymaga empatii i miłości, a nienawiść nie może żądać od nas szacunku. I chcę zacytować słowa abp. Józefa Michalika, przewodniczącego Episkopatu Polski, który podczas aktu pojednania między dwoma narodami w 2005 roku powiedział: „Czy można pisać historię narodu nienawiścią i śmiercią? Można, ale wtedy takie społeczeństwo będzie cywilizacją śmierci, której nie można przyjąć. Takie coś woła o pomstę, krew woła krew, przekleństwa wołają inne przekleństwa. Trzeba przeprosić i zacząć od początku, miłosierdzie jest zawsze najlepsze i daje perspektywę”.



Mykoła Ridnyj, *Pomnik (Monument)* [kadr z filmu], 2012, zbiory Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Piotr Kosiewski

Monument

Najazd kamery. Widzimy fragment wielkiego pomnika. Przedstawia dwójkę mężczyzn i kobietę. Patrzą dumnie przed siebie. Jeszcze. Robotnicy powoli, fragment po fragmencie, usuwają elementy tego monumentu. Oglądamy film wideo Mykoły Ridnego *Pomnik (Monument)* z 2012 roku.

Urodzony w 1985 roku Mykoła Ridnyj, autor instalacji, obiektów i prac wideo, współtwórca istniejącego od 2005 roku kolektywu artystycznego SOSka, postanowił przyjrzeć się rozbiórce stojącego na charkowskim placu Konstytucji Pomnika dla Uczczenia Ogłoszenia Władzy Radzieckiej na Ukrainie. Ten powstały w 1975 roku monument (autorzy: Wasyl Ahibalow, Jakiw Ryk, Michaił Owsiakın), będący dobrym przykładem polityki symbolicznej ery Breżniewa, olbrzymi w swej skali – podobnie jak inne powstałe w tym czasie pomniki, został rozebrany we wrześniu 2011 roku. Nastąpiło to dwie dekady po ogłoszeniu przez Ukrainę niepodległości.

Pytanie o pomniki – pochodzące z dawnego systemu i nowe, wznoszone po upadku komunizmu – jest wspólne dla całego byłego bloku sowieckiego. We wszystkich tych krajach obserwowaliśmy obalanie starych i wznoszenie nowych. Polityka upamiętniania, znoszenia (lub też nie) dawnych pomników oraz to, kto jest (kto zaś nie) wynoszony na piedestał, stanowi jeden z najwyraźniej widocznych i spektakularnych przejawów polityki tożsamościowej. To pomniki, podobnie jak nazwy ulic (czasami całych dzielnic, a nawet miast), w ostatnim dwudziestolecu nasyciły przestrzeń

publiczną nową symboliką. Działo się tak w całej Europie Środkowej, a także w krajach tworzących niegdyś ZSRR. Nie przypadkiem też zdjęcia obalania pomników, jak Feliksa Dzierżyńskiego w 1989 roku w Warszawie, były ikonocznymi obrazami zachodzących przemian (w Kijowie natychmiast po ogłoszeniu niepodległości rozebrano stojący na Majdanie¹ gigantyczny pomnik Lenina, operujący zresztą podobną do charkowskiego stylistyką zmodernizowanego socrealizmu).

W 2004 roku litewski artysta Deimantas Narkevičius stworzył kilkunastominutowy film *Once in the XX Century*. Jest słoneczny dzień. Wielki tłum w parku obserwuje, jak dźwig powoli zaczyna podnosić fragmenty ogromnego posągu. To wileński pomnik Lenina. Oglądamy krok po kroku jego... odbudowę. Publiczność oklaskuje figurę wodza rewolucji unoszącą się nad ich głowami.

Narkevičius – podobnie jak grupa artystów z naszego regionu – przygląda się pamięci o dawnym systemie, jego dziedzictwu, doświadczeniu wychodzenia z komunizmu. Nie poprzestaje na oficjalnym przekazie, lecz łączy go z jednostkowym doświadczeniem. I pokazuje, że przeszłość nas nie opuszcza. W obrazie *Once in the XX Century* nie organizował odbudowy wileńskiego pomnika Lenina. Wykorzystał jedynie archiwalne nagranie i przemontował kolejność wydarzeń. Zaburzył w ten sposób opowieść, wprowadzając do niej element niepewności czy zaskoczenia. „Každy wydaje się myśleć, że usunięcie tych przedmiotów może doprowadzić do natychmiastowej zmiany w społeczeństwie”² – podkreśla Narkevičius. Jednak usunięcie pomników nie spowodowało radykalnej przemiany rzeczywistości.

Robotnicy na filmie Ridnego krok po kroku, systematycznie rozbierają pomnik. Powoli rozkruszają beton spajający monumentalną rzeźbę. Początkowo widzimy wielkie postacie sowieckich robotniczych bohaterów. Pod koniec zostaje jedynie bezkształtna masa stanowiąca dawniej trzon pomnika. Narkevičius pokazuje emocje. Akcja burzenia (w jego filmie wzniesienia) monumentu jest dla uczestniczących w tym wydarzeniu istotnym

¹ Oficjalna nazwa obecnego Majdanu Niepodległości do roku 1991 to plac Rewolucji Październikowej.

² Cytat za: <http://www.skulptur-projekte.de/kuenstler/narkevicius/?lang=en>.

przeżyciem, formą swoistego *katharsis*. U Ridnego robotnicy spokojnie, wręcz beznamyślnie niszczą rzeźbę. Przechodnie mijają pomnik otoczony zwykłym parkanem. Nie zwracają uwagi na to, co się za nim dzieje. To dla nich zwykłe roboty budowane. Usunięcie monumentu stało się jedynie kolejnym etapem porządkowania miasta przed zbliżającymi się rozgrywkami Euro 2012.

W tym samym 2011 roku Nikita Kadan – inny reprezentant młodego pokolenia ukraińskich artystów – w kijowskim Pinchuk Art Center pokazał pracę nazwaną *Postument. Praktyka wyciskania*. Wielka podstawa do pomnika wypełniła całe pomieszczenie. Niemożliwe stało się umieszczenie na nim jakiegoś upamiętnienia i tym samym nadanie temu obiektowi jakichkolwiek określonych znaczeń. Rzeźba stała się jedynie zapowiedzią czegoś, co nie zostanie zrealizowane. Z kolei w pawilonie ukraińskim na Biennale Sztuki w Wenecji w 2013 roku znalazł się *Pomnik pomnika* Żanny Kadyrowej – instalacja wideo pokazująca ukryty pomnik. Komu czy czemu poświęcony, tego się nie dowiadujemy. Oba te projekty łączy pustka – artyści pokazują pomniki jeszcze nienasycone znaczeniami. To swoiste „puste znaki”. Podobnym pustym znakiem stał się charkowski pomnik sfilmowany przez Ridnego (pracę tę także pokazano w Wenecji). Reliktem dawnej epoki, na tyle obojętnym, że jego rozbiórka nie wzbudza żadnych namiętności. Podobnie jak sam film. Próżno szukać w nim nostalgii za minionym czasem, o której pisała swego czasu Svetlana Boym. Nie ma ostrego potępienia systemu ani jego gloryfikacji. Dominuje tu dokumentalna, zimna rzeczowość.

„Wraz z demontażem pomników starego reżimu od razu pojawia się problem z wyniesieniem nowych bohaterów na postument, z poszukiwaniem nowych heroicznych postaci, które zjednywałyby poróżnione społeczeństwo” – zauważa Ołeksandr Myched³. Można spojrzeć na prace Ridnego, Kadyrowej i Kadana jako na opowieść o społeczeństwie, które na nowo próbuje opisać siebie, konstruując swoją tożsamość i szukając dla niej wizualnej reprezentacji. Na Ukrainie od dwóch dekad trwa swoista „gra

³ Ołeksandr Myched, *W poszukiwaniu konwencji ukraińskiej sztuki współczesnej*, w: *Raport o stanie kultury i NGO w Ukrainie*, red. Mykoła Riabczuk, Andrij Saweneć, Lublin 2012, s. 96.

w pomniki”. W jednym państwie koegzystują upamiętnienia Lenina i Stepana Bandery. Pomniki komunistów i nacjonalistów. To, kto jest upamiętniany, a kto pomijany, wyznacza podziały ideologiczne istniejące na Ukrainie.

Ale to tylko jedna z możliwych interpretacji. Ridnyj pokazuje, że efektem tej gry staje się aksjologiczna pustka. Następuje proces zapominania. Tymczasem, jak napominał Paul Ricoeur, możemy duchy przeszłości zepchnąć w odległe zakamarki pamięci. Jeżeli jednak nie damy im odpowiedniego miejsca, to objawią się w przyszłości⁴.

Pomniki są narzędziem władzy – zdaje się przypominać Ridnyj, w swej twórczości stale przyglądając się relacjom władza–społeczeństwo. W *Pomniku* oglądamy robotników, którzy zrzucają z piedestału symbole władzy proletariatu. Tych, którzy mieli reprezentować ich klasę społeczną. Ten film „jest przewrotnym pytaniem o wartość pracy w dzisiejszych społeczeństwach, jest też komentarzem do sytuacji, w której usuwane monumenty nieaktualnej ideologii robią miejsce dla nowych manifestacji o charakterze państwowym” – zauważa Marta Dziewańska⁵. Widzimy trud robotników, usunięcie pomnika wymaga wiele wysiłku. Tyle że sami robotnicy zdają się jedynie niemymi świadkami wydarzeń. Wykonawcami cudzej woli. Powstaje przestrzeń, której można nadać nowe ideologiczne znaczenia. Pozostaje pytanie, kto będzie to robił i w czyim imieniu na nowo będzie przepisywał historię.

⁴ W grudniu 2013 roku można było zobaczyć obalanie przed demonstrantów pomnika Lenina, stojącego przy bulwarze Szewczenki w Kijowie, autorstwa Siergieja Mierkurowa.

⁵ Por. *W sercu kraju* [publikacja towarzysząca wystawie zbiorów Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie], Warszawa 2013, s. 99.

Od redakcji

W ostatnich dwóch dekadach, zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie, trwają spory o rolę państwa w budowaniu tożsamości i kultywowaniu pamięci. Dyskutuje się o tym, na ile państwo może i powinno wpływać na to, co i jak pamiętają obywatele. Jaki powinien być model edukacji i w jakim zakresie powinna ona kształtować postawy obywateli.

Tym właśnie pytaniom zostało poświęcone spotkanie *Forum Polska–Ukraina: Polityka pamięci*, zorganizowane przez Fundację im. Stefana Bato-rego w dniu 20 czerwca 2013 roku w Warszawie. Rozmowa podczas spotkania dotyczyła polskich i ukraińskich doświadczeń z polityką historyczną oraz polityką pamięci, a także roli, jaką te doświadczenia odgrywały i jaką odgrywają w polityce wewnętrznej i zagranicznej, zwłaszcza w relacjach z sąsiednimi krajami.

W książce znalazły się wystąpienia wprowadzające oraz obszernie fragmenty dyskusji. Poza osobami, których wypowiedzi przytoczono w publikacji, w spotkaniu uczestniczyli: Bogumiła Berdychowska, Bogdan Borusewicz, Jan Jacek Bruski, Grzegorz Gromadzki, Paweł Kowal, Adam Pomorski, Mykoła Riabczuk, Andrzej Rychard, Barbara Szacka, Marcin Świącicki, Edmund Wnuk-Lipiński, Taras Wozniak i Tatjana Żurzenko.

Dodatkowo w dalszych rozdziałach znalazły się wystąpienia podczas publicznej konferencji *Pamięć o XX wieku a współczesność. Ukraińskie spory o przeszłość*, która odbyła się 21 czerwca 2013 roku i towarzyszyła spotkaniu

Forum. Książkę uzupełniliśmy również o fragmenty debaty *Wołyń i pojednanie*, zorganizowanej przez Fundację 23 czerwca tegoż roku.

Dziękujemy Mirosławowi Czechowi za współprowadzenie *Forum Polska–Ukraina*, Bogumile Berdychowskiej, Oli Hnatiuk i Andrijowi Portnowowi za pomoc w merytorycznym przygotowaniu spotkań, Międzynarodowej Fundacji Odrodzenia w Kijowie za współpracę przy organizacji *Forum* oraz wydaniu publikacji, Departamentowi Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej Ministerstwa Spraw Zagranicznych za udzielone nam wsparcie finansowe oraz Mykole Ridnemu i Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie za udostępnienie zdjęć pracy artysty.

Noty biograficzne

Wołodimir Baran (ur. 1956) – historyk, prof. Kierownik Katedry Historii Najnowszej Ukrainy na Wydziale Historycznym Wotyńskiego Uniwersytetu Państwowego im. Łesi Ukrainki w Łucku. Wcześniej m.in. prorektor tego uniwersytetu. Badacz powojennej historii Ukrainy. Autor licznych publikacji, m.in. *Ukrajina 1950–1960-h rr. Ewolucja totalitarności systemu* (1996), *Ukrajina: nowitnia istorija (1945–1991 rr.)* (2003).

Bogumiła Berdychowska (ur. 1963) – publicystka, członkini redakcji kwartalnika „Więź”. Wcześniej kierowała Biurem ds. Mniejszości Narodowych w Ministerstwie Kultury i Sztuki, była zastępczynią dyrektora V Programu Polskiego Radia. Publikowała m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Krytyce” (Kijów), „Kulturze” (Paryż), „Rzeczpospolitej”, „Tygodniku Powszechnym”. Autorka licznych publikacji dotyczących Ukrainy.

Kost' Bondarenko (ur. 1969) – historyk, politolog, dr, twórca i prezes Instytutu Ukraińskiej Polityki oraz Fundacji Ukraińska Polityka. Działacz polityczny. Był wiceszefem partii Serhija Tihipki Silna Ukraina, kierował Kijowskim Instytutem Strategii Narodowej, później Instytutem Gorszenina. Był także konsultantem politycznym sztabu Wiktora Juszczenki, a od 2003 roku jest związany ze środowiskiem Wiktora Janukowycza.

Antin Borkowski (ur. 1977) – dziennikarz i publicysta. Absolwent filozofii na Uniwersytecie Lwowskim, obecnie wykładowca tej uczelni. Członek kolegium redakcyjnego Niezależnego Czasopisma Kulturoznawczego „Ji”. Pracuje w dzienniku „Postup”, współpracuje z gazetą „Ukrajina Mołoda”. Prowadzi program telewizyjny „Lustracja”. Obecnie w Zachodniej Informacyjnej Korporacji (ZIK).

Wiaczesław Briuchowiecki (ur. 1947) – literaturoznawca, filolog, pedagog, prof. Honorowy prezydent Uniwersytetu Akademia Kijowsko-Mohylańska. Działacz społeczny. Inicjator odrodzenia Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, w latach 1991–2007 rektor, a następnie prezydent tej uczelni. Członek Rady Fundacji Rinata Achmetowa Rozwój Ukrainy. Jeden z inicjatorów powstania Grupy „Pierwszego grudnia” – deklaracji ukraińskich intelektualistów w 20. rocznicę referendum o niepodległość Ukrainy.

Mirostaw Czech (ur. 1962) – publicysta, komentator polityczny „Gazety Wyborczej”, członek Zarządu Fundacji Batorego. Członek władz Związku Ukraińców w Polsce. W latach 1993–2001 poseł na Sejm RP. Działacz Unii Demokratycznej, a następnie Unii Wolności, gdzie pełnił m.in. funkcję sekretarza generalnego.

Andrzej Friszke (ur. 1956) – historyk, prof. dr hab., członek Rady Instytutu Pamięci Narodowej. Pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Od 1982 roku związany z redakcją czasopisma „Więź”. Współpracował z wydawnictwami emigracyjnymi, szczególnie „Zeszytami Historycznymi”. W latach 1999–2006 był członkiem Kolegium IPN. Napisał m.in. *O kształt Niepodległej* (1989), *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980* (1994), *Życie polityczne emigracji* (1999), *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi* (2010), *Adam Ciołkosz – portret polskiego socjalisty* (2011).

Dariusz Gawin (ur. 1964) – historyk idei, filozof, prof. Od 1993 roku pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, obecnie kierownik Zakładu Społeczeństwa Obywatelskiego IFiS PAN. Od 2005 roku zastępca dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego. Członek kolegium redakcyjnego „Teologii Politycznej”. Publikował m.in. w „Przeglądzie Politycznym”, „Res Publice Nowej”, „Teologii Politycznej”, „Znaku”. Wydał m.in. *Polska, wieczny romans. O związkach literatury i polityki w XX wieku* (2005), *Blask i gorycz wolności. Eseje o polskim doświadczeniu wolności* (2006), *Granice demokracji liberalnej. Szkice z filozofii politycznej i historii idei* (2007).

Ola Hnatiuk (ur. 1961) – ukrainistka, prof. Wykładowczyni Uniwersytetu Akademia Kijowsko-Mohylańska oraz Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. Związana z Instytutem Slawistyki PAN. Pracowała jako I radca Ambasady RP w Kijowie. Autorka publikacji naukowych i publicystycznych, tłumaczka, animatorka polsko-ukraińskich spotkań kulturalnych i naukowych. Autorka esejów i tekstów krytycznoliterackich na łamach m.in. „Znaku”, „Kultury”, „Kresów”, „Literatury na Świecie” oraz wielu czasopism wydawanych na Ukrainie.

Jarostaw Hrycak (ur. 1960) – historyk, profesor i szef katedry historii Ukrainy na Ukraińskim Uniwersytecie Katolickim we Lwowie, dyrektor Instytutu Badań Naukowych Uniwersytetu Lwowskiego. Profesor wizytujący w Środkowoeuropejskim Uniwersytecie w Budapeszcie.

W Polsce ukazały się przekłady jego książek: *Historia Ukrainy 1772–1999: Narodziny nowoczesnego narodu* (2000), *Nowa Ukraina. Nowe interpretacje* (2009), *Ukraina. Przewodnik Krytyki Politycznej* (z Izą Chruślińską, 2009), *Prorok we własnym kraju. Iwan Franko i jego Ukraina (1856–1886)* (2010).

Łukasz Kamiński (ur. 1973) – historyk, dr. Prezes Instytutu Pamięci Narodowej. W Instytucie od 2000 roku, był m.in. zastępcą dyrektora Biura Edukacji Publicznej. Adiunkt w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Członek redakcji półrocznika „Pamięć i Sprawiedliwość”, „Encyklopedii Solidarności”, członek kolegium „Biuletynu Instytutu Pamięci Narodowej”. Członek Rady Naukowej Instytutu Badania Reżimów Totalitarnych (Czechy). Zajmuje się problematyką opozycji i oporu społecznego wobec reżimu komunistycznego w latach 1944–1989. Wydał m.in. *Polacy wobec nowej rzeczywistości 1944–1948. Formy pozainstytucjonalnego, żywiołowego oporu społecznego* (2000), *A Handbook of the Communist Security Apparatus in East-Central Europe 1944–1989* (red., 2005), *Drogi do wolności Zagłębia Miedziowego* (2006).

Heorhij Kasjanow (ur. 1961) – historyk, prof. Kierownik Zakładu Historii Najnowszej i Polityki w Instytucie Historii Ukrainy UAN. Wykładowca Uniwersytetu Akademia Kijowsko-Mohylańska. Dyrektor Programu Edukacyjnego w Międzynarodowej Fundacji Odrodzenia w Kijowie. Stypendysta m.in. uniwersytetów: Harvardzkiego, Cambridge oraz Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie. Autor wielu publikacji poświęconych historii Ukrainy w XX wieku.

Mykoła Kniażycki (ur. 1968) – deputowany do Rady Najwyższej Ukrainy z list Zjednoczonej Opozycji „Batkiwszczyna”. Dziennikarz. Wcześniej kierownik telewizji TV-i, obecnie przewodniczący Rady Redakcyjnej tej telewizji, członek Międzynarodowego Instytutu Prasy w Wiedniu. Absolwent dziennikarstwa i stosunków międzynarodowych. Pracował m.in. jako dyrektor generalny Agencji Informacyjnej UNIAN oraz członek Krajowej Rady Ukrainy ds. Radia i Telewizji.

Piotr Kosiewski (ur. 1967) – historyk sztuki, krytyk. Pracownik Fundacji im. Stefana Batorego – obecnie kieruje programem debat Fundacji Batorego oraz spotkaniami Forum Polska–Ukraina. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”. Publikował m.in. w „Arteonie”, „Dzienniku”, „Krytyce” (Kijów), „Nowej Europie Wschodniej”, „Nowych Książkach”, „Odrze”, „Rzeczpospolitej”, magazynie „Szum” i „Znak”.

Wołodimir Kułyk (ur. 1963) – politolog, historyk, dr. Pracownik Instytutu Politologii i Etnologii Ukraińskiej Akademii Nauk. *Visiting professor* na wielu zachodnich uniwersytetach, wśród nich m.in. Harvard, Stanford, Columbia oraz Woodrow Wilson Center. Wcześniej dziennikarz. Był zastępcą redaktora naczelnego dziennika „Den”, kierował także redakcją polityczną agencji informacyjnej UNIAN.

Joanna Kurczewska – socjolożka, historyczka idei, prof. dr hab. Pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN oraz w Ośrodku Badań nad Kulturą Antyczną Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się pograniczem socjologii kultury i socjologii polityki, w tym szczególnie problematyką narodową, oraz zagadnieniami różnych form wspólnotowości i relacji między tradycją a nowoczesnością.

Jacek Kurczewski (ur. 1943) – socjolog, specjalizujący się w socjologii i antropologii prawa oraz obyczajów, prof. dr hab. Wicemarszałek Sejmu RP I kadencji. Kieruje Katedrą Socjologii Obyczajów i Prawa w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych UW. W czasach PRL działacz opozycji demokratycznej. Członek polskiego Komitetu Helsińskiego. Autor kodeksu etycznego służby cywilnej. Wydał m.in. *Przeciw-obyczaje* (2006).

Tomasz Łubieński (ur. 1938) – prozaik, dramaturg, eseista, tłumacz. Redaktor naczelny miesięcznika „Nowe Książki”. Wieloletni członek redakcji tygodnika „Kultura”, współpracował z „Res Publiką”, „Aneksem” i „Zeszytami Literackimi”. Opublikował m.in. *Bić się czy nie bić? O polskich powstaniach* (1978), *Czerwonobiałe* (1983), *Bohaterowie naszych czasów* (1986), *Ani tryumf, ani zgon. Szkice o Powstaniu Warszawskim* (2004), *Wszystko w rodzinie* (2004) oraz *1939. Zaczęło się we wrześniu* (2009).

Michał Łuczewski (ur. 1978) – socjolog, dr. Kierownik Instytutu Badawczo-Naukowego Centrum Myśli Jana Pawła II. Adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Członek redakcji „44/Czterdzieści i Cztery”. Wspólnie z Adrianną Kupidurą i Przemysławem Kupidurą wydał *Wartość krajobrazu. Rozwój przestrzeni obszarów wiejskich* (2011). W 2013 roku otrzymał Nagrodę im. księdza Józefa Tischnera za książkę *Odwieczny naród. Polak i katolik w Żmijce* (2013).

Myrośław Marynowycz (ur. 1949) – religioznawca, dziennikarz, tłumacz, pedagog, prorektor Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie, działacz społeczny. Od 2010 roku prezes Ukraińskiego PEN Clubu. W czasach ZSRR działacz na rzecz praw człowieka, jeden ze współzałożycieli Ukraińskiej Grupy Helsińskiej i ukraińskiej Amnesty International. Założyciel Instytutu Religii i Społeczeństwa w Akademii Teologicznej we Lwowie, późniejszym Uniwersytecie Katolickim. Członek kapituły redakcyjnej Niezależnego Czasopisma Kulturalnego „Ji”. Laureat Nagrody imienia Sérgio Vieira de Mello za 2013 rok.

Wołodimir Maslijczuk (ur. 1974) – historyk, dr. Pracownik naukowy filii Międzynarodowego Uniwersytetu Solomona w Charkowie, wcześniej m.in. w państwowym Uniwersytecie w Charkowie oraz w Ukraińskiej Akademii Nauk, a także Uniwersytecie Akademia Kijowsko-Mohylańska. Do 2011 roku był sekretarzem czasopisma „Ukraina Moderna”. Obecnie redaktor portalu historians.in.ua.

Andrzej Mencwel (ur. 1940) – historyk i krytyk literatury oraz kultury polskiej, antropolog kultury, eseista, publicysta, prof. dr hab. Wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1992 roku kierownik Katedry Kultury Polskiej UW, a następnie, w latach 1998–2005, dyrektor Instytutu Kultury Polskiej UW, obecnie przewodniczący Rady tego Instytutu. Ostatnio wydał m.in. *No! Io non sono morto... Jak czytać Legendę Młodej Polski?* (2001), *Kaliningrad, moja miłość. Dwa pokrewne eseje podróżne* (2003), *Wyobraźnia antropologiczna* (2006), *Rodzinną Europą po raz pierwszy* (2009).

Oleg Miedwiediew (ur. 1969) – wiceprzewodniczący Ukraińskiej PR-Ligi, konsultant polityczny, publicysta. W latach 2003–2005 doradca Wiktora Juszczenki, od 2005 roku współpracuje z Julią Tymoszenko. Od 2012 roku doradca Arsenija Jaceniuka, przewodniczącego parlamentarnej frakcji „Batkiwszczyna”. Regularnie publikuje w ukraińskiej prasie.

Grzegorz Motyka (ur. 1967) – historyk, prof. Od 2011 roku zastępca przewodniczącego Rady Instytutu Pamięi Narodowej. Pracownik naukowy Instytutu Studiów Politycznych PAN, wykładowca akademicki m.in. na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był pracownikiem Biura Edukacji Publicznej IPN. Prowadzi badania nad stosunkami polsko-ukraińskimi 1939–1989, zwalczaniem ruchu oporu na Litwie, Łotwie, Białorusi, Ukrainie i w Estonii oraz polityką organów bezpieczeństwa PRL wobec mniejszości narodowych. Otrzymał nagrodę Memoria Iustorum za „budowę pomostów w kulturowym dialogu pomiędzy Polską a Ukrainą”.

Andrzej Nowak (ur. 1960) – historyk, publicysta, nauczyciel akademicki, sowietolog, prof. dr hab. Kierownik Pracowni Dziejów ZSRR i Europy Wschodniej Instytutu Historii PAN oraz Zakładu Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Były redaktor naczelny dwumiesięcznika „Arcana”. Członek licznych rad i kolegiów redakcyjnych, m.in. Rady Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, „Kwartalnika Historycznego”, a także Polsko-Rosyjskiej Komisji Historycznej PAN-RAN. Ostatnio opublikował: *Ab Imperio: nowe spojrzenia na historię Europy Wschodniej* (2004), *Historie politycznych tradycji. Piłsudski, Putin i inni* (2007), *Strachy i Lachy. Przemiany polskiej pamięci* (2012). Laureat licznych nagród, m.in. „Przeglądu Wschodniego”, Rektora UJ oraz Nagrody im. Jerzego Giedroycia.

Andrzej Olechowski (ur. 1947) – polityk i ekonomista, dr. W 1992 roku minister finansów, w latach 1993–1995 minister spraw zagranicznych, następnie kandydat na Prezydenta RP w 2000 i 2010 roku. Jeden z założycieli Platformy Obywatelskiej. Obecnie przewodniczący Rady Nadzorczej Banku Handlowego. Członek władz licznych organizacji, m.in. ECFR – Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych.

Grzegorz Pac (ur. 1982) – historyk, publicysta, dr. Zastępca redaktora kwartalnika „Więź”, a w latach 2007–2008 sekretarz redakcji. Pracownik Zakładu Historii Średniowiecznej Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Publikował m.in. w: „Mówią Wieki”, „Przeglądzie Historycznym”, „Tygodniku Powszechnym” i „W drodze”.

Andrij Portnow (ur. 1979) – historyk, dr. Obecnie gościnnie na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Redaktor i współzałożyciel portalu historians.in.ua. W latach 2007–2010 redaktor naczelny czasopisma „Ukraina Moderna”, wcześniej doradca w Narodowym Instytucie Studiów Strategicznych. Autor książek i licznych artykułów dotyczących pamięci historycznej oraz historiografii w Europie Środkowej i Wschodniej.

Wasył Rasewycz (ur. 1966) – historyk, bloger i eseista, dr. Pracownik Wydziału Historii Najnowszej Ukrainy UAN, wykładowca Szkoły Dziennikarskiej Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie. Kierownik działu publikacji portalu Zaxid.net. Badacz ukraińskiego nacjonalizmu, zwłaszcza w Galicji, oraz polityki historycznej i polityki pamięci.

Mykoła Riabczuk (ur. 1953) – krytyk literacki, eseista i publicysta, poeta, wiceprezes Ukraińskiego PEN Clubu, współpracownik Centrum Studiów Europejskich Uniwersytetu Akademia Kijowsko-Mohylańska oraz Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. Był zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika „Wseswit” oraz szefem działu krytyki czasopisma „Suczasnist”. Współzałożyciel kijowskiego miesięcznika „Krytyka”. W Polsce ukazały się przekłady jego książek: *Od Matorosji do Ukrainy* (2002), *Dwie Ukrainy* (2004), *Ogród Metternicha* (2010). Laureat nagrody POLKFUL Foundation za działanie na rzecz dobrych stosunków ukraińsko-polskich, a także laureat polsko-ukraińskiej Nagrody Pojednania.

Adam Daniel Rotfeld (ur. 1938) – politolog, prawnik, prof. dr hab. Członek Grupy Ekspertów NATO do przygotowania Nowej Koncepcji Strategicznej Sojuszu, współprzewodniczący Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych. Przewodniczący Kolegium Doradczego Sekretarza Generalnego ONZ do Spraw Rozbrojenia. W latach 2001–2003 wiceminister, a następnie minister spraw zagranicznych (2005). Wcześniej pracownik Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, następnie dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem.

Aleksander Smolar (ur. 1940) – politolog, publicysta. Prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. Członek Zarządu ECFR. Zastępca przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Był doradcą premiera Tadeusza Mazowieckiego, a następnie doradcą ds. polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej. Wydał m.in. *Tabu i niewinność* (2010).

Dariusz Stola (ur. 1963) – historyk, wykładowca akademicki, prof. dr hab. Związany z Instytutem Studiów Politycznych PAN, Collegium Civitas, członek Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego i Komitetu Badań nad Migracjami PAN. Członek m.in. Stowarzyszenia Wolnego Słowa i stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita. Wydał m.in. *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968* (2000), *Złote lata PZPR: finanse partii w dekadzie Gierka* (2008) i *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989* (2010).

Maksym Stricha (ur. 1961) – akademik, polityk, działacz społeczny, pisarz, prof. Współpracownik Instytutu Fizyki UAN oraz Katedry Tłumaczeń Wydziału Humanistycznego Kijowskiego Uniwersytetu im. Hrinchenki. W latach 2008–2010 był wiceministrem nauki. Zasiada w licznych radach, m.in. Stowarzyszenia Pisarzy Ukrainy, Obywatelskiej Rady przy Państwowej Agencji ds. Nauki, Innowacji i Informatyzacji Ukrainy, wiceprzewodniczący Akademii Nauk Wyższej Szkoły Ukrainy. Członek kolegiów redakcyjnych czasopisma literaturoznawczego „Wseswit”, „Ukraińskiego Czasopisma Fizyków”. Redaktor naczelny czasopisma „Horyzonty Nauki”.

Tomasz Stryjek (ur. 1964) – historyk, politolog, prof. Związany z Instytutem Studiów Politycznych PAN. Wykładowca w Collegium Civitas. Wydał m.in. *Ukraińska idea narodowa okresu międzywojennego* (2000), *Jakiej przeszłości potrzebuje przyszłość? Interpretacje dziejów narodowych w historiografii i debacie publicznej na Ukrainie 1991–2004* (2007).

Robert Traba (ur. 1958) – historyk, politolog, kulturoznawca, prof. Dyrektor Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie. Członek Zarządu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Specjalizuje się w historii pogranicza polsko-niemieckiego, a także Europy Środkowo-Wschodniej i Niemiec XIX i XX wieku. Honorowy profesor Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. Założyciel olsztyńskiego stowarzyszenia Wspólnota Kulturowa „Borussia” i redaktor naczelny kwartalnika „Borussia”. Współprzewodniczący Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. Wcześniej pracował m.in. w Niemieckim Instytucie Historycznym w Warszawie.

Władysław Werstiuk (ur. 1949) – historyk, prof. Kierownik Katedry Historii Ukraińskiej Rewolucji lat 1917–1921 w Instytucie Historii UAN. W latach 1997–2005 był wicedyrektorem Instytutu Badań Wschodnioeuropejskich UAN. Był także wicedyrektorem Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej. Autor wielu publikacji z historii Ukrainy XX wieku.

Rafał Wnuk (ur. 1967) – historyk, dr hab. Wykładowca akademicki, obecnie w Instytucie Historii KUL, gdzie kieruje Katedrą Dziejów Systemów Totalitarnych, wcześniej pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Pracownik naukowy Muzeum II Wojny Światowej. Redaktor naczelny półrocznika IPN „Pamięć i Sprawiedliwość”. Był redaktorem *Atlasu polskiego podziemia*

niepodległościowego 1944–1956 (2007). Opublikował m.in. „*Za pierwszego Sowietą*”. *Polska konspiracja na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej (wrzesień 1939 – czerwiec 1941)* (2007).

Taras Wozniak (ur. 1957) – kulturoznawca, politolog, założyciel i redaktor naczelny wydawanego od 1989 roku Niezależnego Czasopisma Kulturoznawczego „Ji”. W czasach ZSRR działacz społeczny, m.in. organizował nielegalne publikacje kulturoznawcze. Regularnie publikuje w wielu ukraińskich gazetach i czasopismach, m.in. „Suczastnist”, „Krytyka”, „Den”, „Dzerkało Tyzhnia”, „Ukraina Mołoda”. Zasiada w Zarządzie Międzynarodowej Fundacji Odrodzenia oraz Fundacji PAUCI. Od 2012 roku dyrektor Ukraińskiego Centrum Międzynarodowego PEN Clubu w Kijowie.

Henryk Wujec (ur. 1940) – polityk, doradca Prezydenta RP ds. społecznych. Działacz opozycji w czasach PRL. Współpracownik Komitetu Obrony Robotników, następnie członek Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Działacz „Solidarności”. Członek, a w latach 1988–1990 sekretarz Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie. Uczestnik obrad okrągłego stołu. W latach 1989–2001 poseł na Sejm RP. W latach 1999–2000 wiceminister rolnictwa. Przewodniczący Forum Polsko-Ukraińskiego.

Paweł Zalewski (ur. 1964) – polityk, historyk, poseł do Parlamentu Europejskiego. Wiceprzewodniczący Komisji Handlu Międzynarodowego. Inicjator i szef EU–Ukraine Link Group w Parlamencie Europejskim. Był sprawozdawcą umowy stowarzyszeniowej z Ukrainą z ramienia Komisji INTA. W latach 1991–1993 i 2007–2009 poseł na Sejm RP. W latach 2005–2007 przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych. Działacz m.in. Prawa i Sprawiedliwości oraz wiceprezes tej partii. Obecnie członek Platformy Obywatelskiej.

Marcin Zaremba (ur. 1966) – historyk, socjolog, dr, badacz dziejów najnowszej historii Polski. Pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN, wykładowca Instytutu Historii UW. Regularnie publikuje artykuły historyczne na łamach „Gazety Wyborczej” i tygodnika „Polityka”. Opublikował m.in. *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm: nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce* (2001), *Wielka trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys* (2012).

Leonid Zaskilniak (ur. 1949) – historyk, prof. Wicedyrektor Instytutu Ukrainoznawstwa im. Krypjakewycza UAN. Studiował m.in. na Moskiewskim Uniwersytecie im. Łomonosowa, Uniwersytecie Warszawskim oraz Środkowoeuropejskim Uniwersytecie w Budapeszcie. Autor ponad 250 prac naukowych. Członek kolegiów redakcyjnych, m.in. „Ukraina Moderna”, „Hałyczyna”. Członek Komisji Historyków Polski i Ukrainy.

Indeks nazwisk

- Achmetow Rinat 190
Ahibalow Wasyl 183
Ajtmalow Czingiz 87
Aksionow Wasilij 108
Antonowycz Wołodymyr 156
Archipenko Aleksander (Archypenko Ołeksandr) 157
Arkas Mykoła 43
Assmann Aleida 49
Azarow Mykoła 23
- Bandera Stepan 22, 24, 33–35, 37, 39, 44, 45, 61, 125, 126, 128, 144, 174, 178, 186
Baran Wołodymyr 58, 189
Beauvois Daniel 89
Beck Józef 109
Betza Władysław 51
Benedykt XVI (Joseph Ratzinger), papież 103, 173
Berdychowska Bogumiła 51, 168, 174, 176, 187–189
Berling Zygmunt, gen. 86
Berny Maria 169
Blacker Uilleam 25
Blaiwe Muriel 92
Bondarenko Kost' 42, 125, 152, 189
- Borkowski Antin (Borkowskyj Antin) 55, 103, 106, 171, 189
Boroweć Taras, pseud. „Taras Bulba” 38
Bortniański Dmytro 157
Borusewicz Bogdan 187
Boym Svetlana 185
Breżniew Leonid 43, 183
Briuchowiecki Wiaczesław 59, 135, 190
Bruski Jan Jacek 187
Buber Martin 104
Bytnar Jan, pseud. „Rudy” 109
- Chmielnicki Bohdan, hetman 16, 17, 85, 126, 131
Chruszczow Nikita 43
Chruślińska Iza 191
Ciotkosz Adam 190
Cisyk Kwitka 35
Cyryl (Władimir Michajłowicz Gundiajew), patriarcha 22
Czech Mirosław 106, 188, 190
Czernowecki Leonid 22
- Davis Norman 42
Dmowski Roman 113
Doncow Dmytro 32

- Dowbeszka-Korobka – patrz: Perehiniak
Hryhorij
Dowhi Oleś 22
Dowżenko Ołeksandr 157
Dyhas Marta 52
Dzierżyński Feliks 184
Dziewańska Marta 186
- Ekiert Arkadiusz 109
Elias Norbert 77
Emerson Ralph Waldo 114
Etkind Alexander 25
- Farion Iryna 57, 128
Faulenbach Bernd 92
Fedor Julie 25
Filar Władysław 169, 170
Franco Francisco (właśc. Francisco Paulino Hermenegildo Teóduło Franco y Bahamonde Salgado Pardo), gen. 175
Franko Iwan 16, 24, 191
Friszke Andrzej 65, 71, 73, 78, 81, 82, 84, 86, 90, 92, 95, 96, 190
- Gawin Dariusz 79, 110, 190
Gierek Edward 195
Gromadzki Grzegorz 187
Gross Jan Tomasz 68, 76, 96, 110
- Halbwachs Maurice 39
Hel Iwan 173
Hilberg Raul 74, 114
Hitler Adolf 32, 109, 143, 178
Hnatiuk Ola 51, 59, 87, 94, 188, 190
Horyń Mychajło 173
Hruszewski Mychajło 16, 17, 19, 24
Hrycak Jarosław 53, 101, 165, 169, 175, 177, 190
Hurwic Eduard 33
Huzar Lubomyr, kardynał 169
- Iljuszyn Ihor 101
Isajewycz Jarosław 177
Isakowicz-Zaleski Tadeusz, ks. 57
Iwanek Mirosław 101, 166
- Jaceniuk Arsenij 193
Janicka Elżbieta 111
Janion Maria 110
Janukowycz Wiktor, prezydent 18, 22, 23, 35, 41, 122, 123, 125, 128, 189
Jarosław Mądry, książę 16
Jefferson Thomas 7
Judt Tony 114
Juszczenko Wiktor, prezydent 17, 18, 22, 38, 43, 61, 87, 122, 123, 125, 129, 131, 167, 176, 189, 193
- Kaczyński Lech, prezydent 90, 176
Kadan Nikita 185
Kadelbach Philipp 79
Kadyrowa Żanna 185
Kalniete Sandra 48
Kamiński Łukasz 95, 163, 165, 168, 174, 177, 191
Karazin Wasyl 35, 41, 45
Kasjanow Heorhij 52, 59, 60, 121, 191
Katarzyna II Wielka, caryca 33, 61, 126, 132, 144
Kauffmann Sylvie 93
Kedryn-Rudnycki Iwan 89
Kim Ir Sen (właśc. Kim Il-song) 42
Kiwałow Serhij 35
Klaczkiwski Dmytro (Roman), pseud. „Kłym Sawur” 58, 113
Kłym Sawur – patrz: Klaczkiwski Dmytro
Kniażycki Mykota 34, 41, 53, 56, 131, 191
Kolesniczenko Wadim 35, 52, 57, 128, 166
Kotakowski Leszek 7
Komorowski Bronisław, prezydent 82
Kosiewski Piotr 168, 183, 191

- Kostomarow Mykoła 156
 Kotyńska Katarzyna 51, 52
 Kowal Paweł 187
 Krastew Iwan 93
 Krawczuk Leonid, prezydent 16, 21, 22, 29, 33, 122
 Krzemiński Adam 79
 Kubik Jan 111
 Kuczma Leonid, prezydent 17, 18, 21, 22, 25, 122, 125, 129, 168, 169, 175
 Kula Marcin 97
 Kułyk Wołodymyr 24, 29, 32, 39, 40, 101, 127, 191
 Kupidura Adrianna 192
 Kupidura Przemysław 192
 Kurczewska Joanna 111, 113, 114, 192
 Kurczewski Jacek 85, 192
 Kuroń Jacek 69, 71, 174, 190
 Kwaśniewski Aleksander, prezydent 84, 168, 169
 Kyryczuk Jurij 101

 Lenin Włodzimierz (właśc. Władimir Iljicz Uljanow) 33, 43, 44, 144, 146, 184, 186
 Leopold I, król 42
 Lindenberger Thomas 92
 Lipski Jan Józef 69
 Lübbe Hermann 114

 Łubieński Tomasz 107, 192
 Łuczewski Michał 111, 192
 Łukaszenka Aleksandr, prezydent 36, 148
 Łysenko Mykoła 132
 Łytwyn Wołodymyr 166

 Małaniuk Jewhen 156
 Marynowycz Myrośław 53, 55, 56, 75, 102, 107, 168, 172, 176, 179, 192
 Maslijczuk Wołodymyr 44, 192

 Mazepa Iwan, hetman 16, 19, 22, 23, 131
 Mazowiecki Tadeusz 82, 192
 Medwedczuk Wiktor 166
 Mencwel Andrzej 49, 50, 84, 93, 193
 Mengele Josef 77
 Michalik Józef, abp 179
 Mickiewicz Adam 155
 Miedwiediew Oleh 21, 25
 Mierkurow Siergiej 186
 Moczar Mieczysław 71
 Modzelewski Karol 190
 Mohyliow Anatolij 132
 Mokrzycki Mieczysław, abp 170
 Motyka Grzegorz 57, 99, 102, 104, 106, 193
 Mouffe Chantal 75, 78
 Myched Oteksandr 185

 Narkevičius Deimantas 184
 Nye Joseph 9
 Nijakowski Lech M. 97, 168
 Nowak Andrzej 45, 49, 51, 68, 71, 76, 78, 88, 93, 103, 110, 111, 193

 Olechowski Andrzej 104, 193
 Owsiankin Michaił 183

 Pac Grzegorz 163, 165, 168, 174, 194
 Paskiewicz Iwan, gen. 19, 24, 126, 144
 Perekiniak Hryhorij, pseud. „Dowbeszka-Korobka” 57
 Petlura Symon, prezydent 22, 24
 Pietrzyk Bartłomiej 176
 Piłsudski Józef, marszałek 113
 Piotr I Wielki, car 144
 Pokrowski Michaił 43
 Polonsky Antony 74
 Pomian Krzysztof 79
 Pomorski Adam 187
 Popowycz Myrośław 155

- Portnow Andrij (Portnov Andriy) 25, 32, 45, 51, 75, 76, 88, 89, 94, 99, 104, 147, 188, 194
- Potiomkin Grigorij, książę 126, 132
- Proszkin Aleksander 55
- Puszkin Aleksander 155
- Putin Władimir, prezydent 72, 80, 102, 176
- Rasewycz Wasyl 36, 39, 112, 171, 194
- Renan Ernest 7
- Reymont Władysław 85
- Riabczuk Mykoła 21, 51, 52, 143, 149, 185, 187, 194
- Ribbentrop Joachim von 109
- Ricoeur Paul 186
- Ridnyj Mykoła 11, 117, 139, 159, 181, 183–186, 188
- Riepin Ilja 29, 41
- Rotfeld Adam Daniel 27, 32, 36, 41, 43, 45, 47, 51, 194
- Rupnik Jacques 93
- Rutkowska Ada 178
- Rutkowska Ewa 89
- Rutkowski Krzysztof 89
- Rychard Andrzej 187
- Ryk Jakiw 183
- Rylski Maksym 155, 156
- Sacharow Andriej 55
- Saweneć Andrij 185
- Sawur Kłym – patrz: Klaczkowski Dmytro
- Schöpflin György 93
- Schörner Ferdinand, feldmarszałek 108
- Sekielski Tomasz 178
- Semka Piotr 79
- Skoworoda Hryhorij 16
- Smolar Aleksander 7, 75, 93, 114, 194
- Snyder Timothy 176
- Stalin Józef (właśc. Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili) 128, 132, 143, 145, 146, 178
- Steinbach Erika 80
- Stola Dariusz 49, 53, 60, 89, 111, 178, 195
- Stołypin Piotr 24, 132, 144, 146
- Stricha Maksym 15, 23, 24, 26, 37–39, 41, 44, 155, 195
- Stryjek Tomasz 92, 105, 195
- Subtelny Orest 38
- Suchocka Hanna 194
- Suworow Aleksandr, marszałek 60
- Szacka Barbara 187
- Szałamow Warłam 56
- Szczerbycki Wołodymyr 126
- Szencew Dmytro 35
- Szeptycki Andrej, metropolita 170, 172
- Szewczenko Taras 16, 24, 43, 155
- Szporluk Roman 88
- Szuchewycz Roman 35, 37, 39, 45, 125
- Światosław (Światosław Szewczuk), abp 171
- Święcicki Marcin 187
- Tabacznuk Dmytro 24, 35, 52, 132
- Tito Josip Broz, prezydent 110
- Torzecki Ryszard 106
- Traba Robert 77, 80, 195
- Turczynow Ołeksandr 56
- Tusk Donald 87
- Tihipko Serhij 189
- Tymoszenko Julia 22, 193
- Ukraińska Łesia (właśc. Łarysa Kosacz-Kwitka) 16, 24
- Urbański Marek 109
- Wałęsa Lech, prezydent 82, 196
- Weber Max 110
- Welzer Harald 77
- Wernadski Wołodymyr 35
- Werstiuk Władysław 40, 195

Wiatrowycz Wołodymyr 101, 104, 166,
177

Wieczorkiewicz Paweł 109

Wigura Karolina 176

Wiśniowiecki Jarema, książę 126

Włodzimierz Wielki, książę 16

Wnuk Rafał 108, 195

Wnuk-Lipiński Edmund 187

Wojciechowski Marcin 168

Wolff Larry 89

Wozniak Taras 151, 172, 187, 196

Wujec Henryk 82, 196

Zalewski Paweł 105, 196

Zaremba Marcin 110, 196

Zaszkilniak Leonid 39, 42, 97, 101, 196

Ziemkiewicz Rafał 32, 45

Zychowicz Piotr 109

Żurzenko Tatjana 187

Fundacja im. Stefana Batorego wydała m.in.:

Pamięć i polityka zagraniczna (2006); publikacja poświęcona znaczeniu historii w stosunkach Polski z jej sąsiadami: Niemcami, Rosją i Ukrainą. W tomie znalazły się wystąpienia m.in. Klausa Bachmanna, Władysława Bartoszewskiego, Bogumily Berdychowskiej, Marka Borowskiego, Bronisława Geremka, Marka Jurka, Zdzisława Krasnodębskiego, Andrzeja de Lazari, Tadeusza Mazowieckiego, Jana Rokity, Adama Daniela Rotfelda, Aleksandra Smolara, Donalda Tuska, Kazimierza Michała Ujazdowskiego i Anny Wolff-Powęskiej.

Pamięć jako przedmiot władzy (2008); publikacja poświęcona relacjom pamięci i władzy w ostatnich latach w Polsce. Podejmuje problem polityki historycznej, zakresu ingerencji władzy państwowej w sferę pamięci, roli pamięci historycznej w tworzeniu tożsamości narodowej, a także jej znaczenia w naszych dzisiejszych relacjach z sąsiadami, przede wszystkim z Niemcami i Rosją. W tomie znalazły się wystąpienia Marka A. Cichockiego, Macieja Janowskiego, Zdzisława Krasnodębskiego, Marcina Króla i Joanny Tokarskiej-Bakir oraz obszernie fragmenty dyskusji zorganizowanej przez Fundację im. Stefana Batorego.

Sztuka jako rozmowa o przeszłości (2009); publikacja poświęcona obecności historii w debacie publicznej, sposobowi, w jaki mówią o przeszłości politycy, publicyści i intelektualiści, a także temu, jak przedstawiają ją artyści. W ostatnich latach w teatrze, filmie i sztukach plastycznych szczególnie często pojawiają się utwory krytycznie opisujące polską historię i pamięć. Jakże zatem są podobieństwa i różnice między traktowaniem historii przez artystów a tym, jak przeszłość jest

obecna w głównym nurcie debaty publicznej? W tomie znalazł się zapis dyskusji z udziałem m.in. Marka Beylina, Agnieszki Holland, Aleksandra Smolara, Adama Szymczyka i Krzysztofa Warlikowskiego.

Nowa twarz Rosji? (2012); publikacja poświęcona Rosji po wydarzeniach z lat 2011–2012: wyborach parlamentarnych i prezydenckich oraz wielkich demonstracjach na ulicach Moskwy i innych miast. W tomie znalazły się wystąpienia rosyjskich gości oraz obszerne fragmenty dyskusji podczas konferencji zorganizowanej przez Fundację Batorego w kwietniu 2012 roku. Uczestniczyli w niej: Siergiej Dawidis, Konstantin von Eggert, Masza Gessen, Władisław Inoziemcew, Aleksander Kyniew, Jekaterina Kuzniecowa, Nikołaj Pietrow, Ilja Ponomariow oraz Olga Romanowa.